

NIEPODLEGŁOŚĆ

CZASOPISMO POŚWIĘCONE NAJNOWSZYM DZIEJOM POLSKI

ZAŁOŻONE PRZEZ
LEONA WASILEWSKIEGO

REDAKTOR
TADEUSZ SZPOTAŃSKI

TOM XX - ZESZYT 2(55)
WRZESIEŃ — PAŹDZIERNIK

WYDAJE INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
POŚWIĘCONY BADANIU NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI
Sekretarz Redakcji: dr JÓZEF SKRZYPEK

WARSZAWA - 1939

TREŚĆ ZESZYTU 55-GO

- Dr Maria Złotorzycka* — Józef Karol Potocki (1854—1898) 233
Dr Henryk Jabłoński — Ministerium spraw polskich Ukrain-
 skiej Republiki Ludowej (1917—1918) 260

RELACJE LISTY DOKUMENTY

- Wywiad Feliksa Perla z Józefem Piłsudskim (oprac. *Stanisław Giza*) 269

LISTY JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

- Rok 1898 — NN. 126—128. Opracowali *Władysław Pobóg-Malinowski* i *Leon Wasilewski* 278

WSPOMNIENIA

- 60 *Feliks Wilski* — Garść wspomnień 290
Stanisław Lis-Błoński — Pięćdziesiąt dni na Podolu w 1920 r. 305

KRONIKA NAUKOWA

- Dr Zofia Krzemicka* — Czechosłowacja 363

MISCELLANEA

- Dr Henryk Wereszycki* — O niemieckie rozwiązanie sprawy
 polskiej. Memoriał polityka niemieckiego z r. 1916 380

SPRAWOZDANIA

- Z mynuloho — *J. S.*: str. 387. Anrich Ernst. Europas Diplomatie am Verabend des Weltkrieges — *Henryk Wereszycki*: str. 388. Ks. Karol Banzel. Komendant Batalionu Pierwszej Brygady Eugeniusz Słomka-Dreszer — *Dr Stefan Pomarański*: str. 391. Jan Rogowski. W obronie Lwowa — *J. S.*: str. 393. Obrona Lwowa, t. III — *J. S.*: str. 394. Eugeniusz Wawrzkówicz i Józef Klink. Walczący Lwów — *J. S.*: str. 394. v. d. Goltz graf Rüdiger. Als politischer general im Osten — *Z. Krzemicka*: str. 395. Lloyd George. Wspomnienia wojenne, t. III — *J. S.*: str. 396. Bolesław Waligóra. Walka o Wilno — *J. S.*: str. 397. Maliński Juliusz. Marszałek Piłsudski a Sejm — *J. S.*: str. 398. Schaub Condar Joachim. Kämpfer für ihr Volk — *Z. K.*: str. 398.

X-78961
29594 II

T. 20. 2. 2 (1939)



29594.20
II



Dr MARIA ZŁOTORZYCKA.

JÓZEF KAROL POTOCKI

(1854 — 1898).

Józef Karol Potocki, redaktor Głosu Warszawskiego, uczonec-socjolog, publicysta, polityk, poeta może o niezbyt wielkim talencie, ale o dużym zacięciu satyrycznym, tłumacz dzieł naukowych wywarł niemały wpływ na ukształtowanie się ideologii młodego pokolenia na gruncie warszawskim u schyłku XIX wieku¹⁾.

Urodził się dnia 4.IX.1854 r. w Prużanach z Aleksandra i Kasylidy z Jabłońskich. Ojciec jego, prawnuk Wawrzyńca, regimentarza konfederacji barskiej, należał do szlachty bezrolnej. Wczesne lata dzieciństwa spędził Józef wraz z trójgiem rodzeństwa²⁾ we względnym dobrobycie. W pamięci młodszej siostry Felicji utkwiał piękny szlachecki dwór, otoczony starym parkiem i obszernym dziedzińcem, do którego wiodła droga wysadzana smukłymi topolami, zwanymi w języku dzieci „wojskiem polskim”.

Józef Potocki miał dziewięć lat, gdy wybuchło powstanie 1863 r. Wtedy dowiedział się, że „nasi biją się z Moskalami” i był świadkiem przechodzenia partyj powstańczych, i wojsk rosyjskich. Pierwszych przyjmowano gościnnie, drudzy rabowali sami co się dało. Ojciec sprzyjał gorliwie powstańcom, aczkolwiek sam nie brał udziału w walce z bronią w rękę, wielu krewnych wyprawilo się do oddziałów powstańczych, a wśród nich i narzeczony ciotki Emilii

¹⁾ Dane biograficzne na podstawie Akt Archiwum Oświecenia Publicznego w Warszawie Nr 94 i Wspomnień Felicji z Potockich Popławskiej, znajdujących się w posiadaniu Waleriana Karwasińskiego w Warszawie.

²⁾ Marią (zmarłą w młodym wieku), Felicją, późniejszą żoną Jana Ludwika Popławskiego i Ksawerym, młodsze dzieci urodziły się po powstaniu (z nich Aleksandra i Julia zmarły w dzieciństwie, Antoni publicysta i literat żyje dotąd). Ojciec dzierżawił majątek Pusłowskich Barany pow. słonimski.

Jabłońskiej, Aleksander Moszyński, który poległ w pierwszej potyczce z Moskalami.

Niezatarte wspomnienie pozostawiła rewizja przeprowadzona we dworze, gdzie przetrząsnięto wszystko, a przy małych dzieciach postawiono straż. Przy tym zbito furmana Ustima, który woził powstańcom żywność i karczmarza Michela, ale ani Białorusin, ani Żyd nie wydali dziedzica.

Z chwilą upadku powstania styczniowego nastąpiły ciężkie dni. Ojciec, dzierżawca ogołoconego do cna majątku przez wojska rosyjskie, nie mógł się wywiązać ze swych zobowiązań, stracił nie tylko warsztat pracy, ale i został zlicytowany. Skromne resztki złożono na wielki długi wóz pokryty płócienną budą i wyruszono w poszukiwanie schroniska i pracy, jak pisze Felicja Popławska przestąpiono „krzyżowy próg polskiej drogi”. Znaleźli przystań chwilową najpierw w Iłkach, nie było tam dobrze, skoro nazwano je „Zgniłkami”, to znów w Kosowie i w Kojdanowie. Na koniec stanęli u kresu w Stołpcach, gdzie ojciec otrzymał posadę przy budującej się drodze żelaznej z Warszawy do Moskwy. Józef już wtedy nie był w domu rodzicielskim, z najstarszą siostrą, Marią przebywał w Mińsku, gdzie uczęszczał do gimnazjum.

Ojciec niewiele zarabiający i mający na swym utrzymaniu liczną rodzinę nie mógł dużo posyłać synowi, to też od trzeciej klasy Józef Potocki utrzymywał się z korepetycji. Był w piątej klasie, gdy spadł na niego obowiązek pomagania młodszemu bratu, Ksaweremu, ponieważ ojciec po stracie dwóch córek w czasie epidemii zmarł nagle na aneurizm serca w r. 1871. Matka co prawda otrzymała posadę telegrafistki w Stołpcach, ale zarobki były niewielkie, choć pomagała sobie szyciem ubrań dla wiejskich kobiet. Dopiero po przeniesieniu się do Mińska na stanowisko naczelniczki telegrafu trochę lepsze chwile nastąpiły, ale Potocki kończył już wtedy gimnazjum.

Gimnazjum mińskie przekształcone z dawnego kolegium jezuickiego gromadziło w swych murach młodzież kresową. Wyszło z niego w różnym okresie czasu wielu wybitnych ludzi³⁾, wśród nich Benedykt Dybowski, Włodzimierz Spasowicz, Adam Mahrburg, a z młodszych Napoleon Cybulski, Marian Zdziechowski, Marian Massonius.

Szkoła jednak nie była „świątynią wiedzy” jak pisze Felicja Popławska, „była to raczej kuźnia, w której z szatańską perfidią na

³⁾ Jan Offenberk: Stan umysłów wśród młodzieży akademickiej uniwersytetu warszawskiego w latach 1888—90. Warszawa 1929.

pozór lekkim młotem druzgotano polskość w duszach polskich dzieci". Placówka wybitnie rusyfikacyjna wskutek stosowania ucisku stała się szkołą czystych, szlachetnych charakterów. Młodzież, nie znajdując pokarmu dla swych umysłów w urzędowej wiedzy, zaspakajała je w kółkach samokształceniowych, czytano z zapałem Henryka Buckle'a, Draperów Johna i Henryka, Darwina i innych wielkich przyrodników i filozofów.

Z książek polskich Potocki najbardziej zachwycał się książkami historycznymi dla młodzieży Teresy Jadwigi, które do niego dotarły w ostatnich klasach gimnazjalnych, zrobiły na nim silne wrażenie i wywołały zachwyt jak w „tysięcznych sercach i głowach”⁴⁾ innych z pokolenia przedsienkiewiczowskiego i wydały mu się pisanymi jakby „przez księżniczkę czy królowę” z powodu pseudonimu złożonego z dwóch imion.

W ostatniej klasie tuż przed egzaminami ostatecznymi Potocki miał poważne zajście z prefektem ks. Sęczykowskim⁵⁾, znanym w Mińsku renegatem, który postawił uczniom pytanie, kto według nich powinien mianować duchownych na stanowiska w kościele. Potocki odpowiedział, że tylko władze duchowne. Rozgniewany ksiądz wystąpił z wnioskiem usunięcia go z gimnazjum i okazał się surowszym od dyrektora Rosjanina, który umiał ocenić swego ucznia. Dzięki niemu został dopuszczony do egzaminu, otrzymał maturę (w r. 1876), i wyjechał do Warszawy.

Na ogół młodzież kresowa nie studiowała w uniwersytecie warszawskim, Potocki był jednym z nielicznych. Uczelnie bowiem rosyjskie słynęły z wybitnych nazwisk profesorów, z wartkiego życia studenckiego i ruchu rewolucyjnego. Część młodzieży poza tym ulegała rusyfikacji i nie odczuwała potrzeby znalezienia się w środowisku polskim⁶⁾. Zresztą rząd rosyjski celowo stawiał poważne trudności przy wstąpieniu na uniwersytet. Młodzieniec musiał przedstawić zezwolenie swych władz miejscowych, przy czym należało wylegitymować się z posiadania krewnych albo podać jakąś inną ważną przyczynę przeniesienia się do Warszawy. Potocki krewnych w Warszawie nie miał, ale jakoś szczęśliwie ominął wszelkie trudności i zapisał się na wydział fizyko-matematyczny, który ukończył w r. 1880.

⁴⁾ Nauczyciel (Józef Potocki): Panny - Matki. „Głos” 1896/52.

⁵⁾ Felicja Popławska: Wspomnienie.

⁶⁾ Offenbergl. c.

Przez cały okres studiów szedł o własnych siłach, walcząc nieustannie z niedostatkiem, który i później towarzyszył mu do końca życia. Idealista — nigdy nie pomyślał o zapewnieniu sobie spokoju pod względem materialnym, nie mówiąc o karierze życiowej. Przez całe życie „gnieździł się pod niebem bez żadnych nadziei, aby ...zamieszkać o piętro niżej, przywdziać cały surdut i nieco dłuższe spodnie, które plątały mu się powyżej kostek, okrytych popękany najczęściej obuwie⁷⁾”.

Po ukończeniu studiów został nauczycielem matematyki w szkole żeńskiej Teresy Papi, książkami której tak zachwycał się. Wykładał też w szkole im. Kronenberga i innych. Przed oczami młodego nauczyciela przesunął się wtedy cały szereg szkół przeważnie żeńskich od renomowanych „salonów wychowawczych”⁸⁾ o niewielkiej ilości uczennic, a wybitnym personelu po przez „ogromne szopy pedagogiczne” gdzie przyprowadzano i zwożono do klasy dziewczęta w najrozmaitszym wieku nie tyle dla nauki ile dla polerunku, aż do maleńkich pensyjek. Szkoła, w której wykładał Potocki „robiła wrażenie warsztatu inteligencji, bojującej, przeświadczonej o niezbędności światła”, w której odychało się „atmosferą uczuć podniosłych”, a ciekawość uczenic była „niepospolicie rozumna, imponująca, stateczna i tak naturalnie zamieszkała w oczach jak oczy w głowie”.

Młody profesor pomimo powierzchowności niepozornej i raczej brzydkiej, niewielkiego wzrostu, lecz o inteligentnej twarzy był niezmiernie lubiany. Przyczyniła się do tego jego gruntowna wiedza oparta na szerokim światopoglądzie filozoficznym. Często przerywał lekcje z uszczerbkiem dla matematyki, prowadząc rozmowy i dyskusje, rozwijające serca i umysły⁹⁾. Nauczyciel tak ścisłego przedmiotu jak matematyka stał się ojcem duchownym nie tylko Joasi z „Ludzi bezdomnych” Żeromskiego, ale wielu jej podobnych z życia rzeczywistego.

Nauczanie nie było jednak głównym zajęciem Potockiego, zresztą wkrótce je porzucił. Jeszcze w czasie studiów uniwersyteckich pogłębiwszy znajomość języków francuskiego, niemieckiego a głównie angielskiego, zapoznał się z najnowszą literaturą filozoficzną i z prądami naukowymi zachodnio-europejskimi. Począł pisywać artykuły z dziedziny nauk przyrodniczych i socjologicznych. Łamy „Praw-

⁷⁾ Edward Paszkowski. Podniebie, Lwów, 1901, 89.

⁸⁾ „Głos” 52/1896.

⁹⁾ Grabiec (Józef Dąbrowski): „Czerwona Warszawa przed ćwierćwieczem oraz relacje Stefanii Sempołowskiej, uczennicy Potockiego.

dy”, „Przeglądu Tygodniowego” i „Tygodnika Powszechnego” otwo-
rzyły się dla niego. Aleksander Świętochowski powierzył mu pro-
wadzenie przeglądu tygodniowego ważniejszych wypadków z całego
kraju¹⁰⁾. Wkrótce młody felietonista, ukrywający się pod pseudoni-
mem Mariana Bohusza ujawnił talent publicystyczny. Z zacięciem
wielkim piętnował ciemnotę chłopów, zacofanie szlachty, przesady
i wady całego społeczeństwa. Ten sam Bohusz zasłynął z wierszy
satyrycznych. Najbardziej docinał szlachcie, wytykając jej lekko-
myślność, marnowanie czasu i majątków, brak obywatelskości. Szlach-
ta była według niego „dębem powalonym dziejowym piorunem”,
który „leżąc bezczynne nadgnił i spróchniał”, kłoda do zrąbania,
której tylko zdrowsze części należy „obciąć i przerobić na lepszy po-
żytek”¹¹⁾. Były to poglądy obozu pozytywistycznego, ale Potocki
bynajmniej nie był pozytywistą. Nie zachwycał się rozwojem kapi-
talizmu, który zdaniem jego „pochłonał ostatki feudalnego ustroju”
i stał „chorobą wieku”. Gniło, według niego, nie tylko „społecz-
stwo szlacheckie”, ale i „podpórki w formie przemysłu fabrycznego,
którymi obstawiono „wałącą się rudę”.

Czynna natura Bohusza-Potockiego nie mogła się pogodzić z ha-
słami pracy organicznej i z apatią polityczną głoszoną przez pozyty-
wistów. Przemyczał w felietonach „Prawdy” wyrazy potępienia na
„bezmyślność społeczeństwa”, wykpiwał wiarę organiczników, że
„za spokój ślimaczy, za sen głęboki, w jaki się pogrążamy Europa
wyrobi dla nas i ofiaruje nam kiedyś w darze najlepsze formy bytu
społecznego”. „Jak to — zapytywał — robienie pieniędzy podnieśli-
ście dzisiaj do godności patriotycznego sakramentu?”¹²⁾.

Młodzież zaś biorącą udział w budzącym się ruchu politycznym
kierowanym przez pierwszych socjalistów polskich (Waryńskiego
i innych) powtarzała znany wierszyk Bohusza-Potockiego:

Gdy darmozjadów sytych garść nieliczna,
Pracą milionów się wzbogaca,
Oto jest bracie praca organiczna,
Oto jest bracie organiczna praca...¹³⁾.

Zdawałoby się, że radykalnie nastrojonego Potockiego powinna
była porwać fala ruchu socjalistycznego, z którego wyłoniła się orga-
nizacja Proletariatu. Miał on wśród proletariaczyków wielu przy-
jaciół, sam interesował się ruchem i jego literaturą propagandową,

¹⁰⁾ „W perspektywie”, później „Na widnokręgu”.

¹¹⁾ „Prawda” 1884/2.

¹²⁾ Ibid.

¹³⁾ Grabiec I. c.

dawał do czytania między innymi Młota-Dikszejna „Kto z czego żyje”¹⁴⁾, ale do czynnych działaczy nie należał mimo, że łączyło go głębokie uczucie z jedną z najbardziej ofiarnych bojowniczek, Marią Bohuszewiczówną, która po znanych aresztowaniach czerwcowych 1884 r. weszła do Centralnego Komitetu partii. Od jej imienia i nazwiska przybrał sobie pseudonim.

Potocki pomimo głębokiej miłości do tak ofiarnej bojowniczk, która na całe życie pozostała jedyną jego „oblubienicą” i „snów jego panią”¹⁵⁾ poszedł inną drogą. Z proletariatem wiele go łączyło z poglądów, ale wiele też i różniło. Gorliwy wyznawca ewolucjonizmu Herberta Spencera — był przeciwnikiem doktryny gwałtownych przewrotów. Teorie z dziedziny nauk przyrodniczych oddziały na jego socjologiczne poglądy — podobnie jak i u jego mistrza Spencera, którego tłumaczeniem dzieł tak gorliwie zajmował się.

Pomimo całego uznania dla Karola Marksa zarzucał mu „pominięcie, czy też nie pojmowanie ciągłości sprawy ewolucyjnej”. „Przejście — pisał¹⁶⁾ — od ultra-kapitalizmu do socjalizmu, od najwyższych wybujałości gospodarki indywidualistycznej do współdzielczości największej — przejście jakiego spodziewał się Marks, mogłoby się dokonać jedynie za sprawą cudu. Nic tu nie pomogą frazesy o niezrozumiałym zresztą w takim co raz lepszym „organizowaniu się” klas pracujących, pogrążających się w coraz większą „sumę” zapowiadanej im „niewoli, nędzy, ucisku, wyzysku i poniżeniu”. Czynniki podobne mogą „wyćwiczyć” masy jedynie w kierunku bezmyślnych rzezi i buntów, po których jarzmo narzuconoby im z nową, a może większą siłą. Nawet, gdyby rozwój społeczeństwa szedł po drodze owych coraz bardziej zwiększających się zjawisk ucisku i wyzysku klas pracujących, to tym nie mniej Potocki uważał, że system markowski zapoznaje „ciągłość praw ewolucji”. Nie przypuszczał ani na moment, że przejście do socjalizmu, który według niego „jest najwyższym współdzielczości ideałem” może nastąpić „bez częściowego uprzednio wcielenia ideałów współdzielczych” i odrzucał możliwość osiągnięcia go tylko przy pomocy „ćwiczenia” mas pracujących. Zarzucał Marksovi, że nie doceniał działania uświadomionych czynników społeczeństw kapitalistycznych, które muszą stosować z czasem zasady częściowej współdzielczości.

¹⁴⁾ Relacja Waleriana Karwasińskiego.

¹⁵⁾ Marian Bohusz: „Bez obludy”. Głos 44/1887.

¹⁶⁾ J. K. Potocki: „Nowa krytyka Marxa”. „Głos” 13/1891.

Nie tylko zasada ewolucjonizmu socjologicznego odsuwała Potockiego od ruchu socjalistycznego, ale i głębokie uczucie patriotyczne, którego postulatów nie uwzględnili proletariatchycy w swym programie politycznym. Ostrożnie, o ile pozwalały stosunki cenzuralne akcentował je Potocki, w swych artykułach, a szczególnie w poezjach, bo tylko w ten sposób pod osłoną alegorii poetycznej¹⁷⁾ mógł w ówczesnych warunkach wypowiadać uczucie, które leżało na dnie duszy i opromieniało jego credo polityczne.

W miarę rozwoju ruchu rewolucyjnego na ziemiach polskich w zaborze rosyjskim stawało się widocznym, że hasła pracy organicznej zawiodły zupełnie. „Chłosta rzeczywistości — pisał Potocki¹⁸⁾ — stosowana wytrwale i w coraz większych dozach poruszyła nawet najbardziej uległe żywy”. Tą chłostą były prześladowania stosowane według jednego i tego samego systemu od wielu lat przy najmniejszym objawie ruchu politycznego, a które dowiodły, że w „najbardziej ograniczonej sferze” nie można nie tylko rozwijać, ale „podtrzymywać życie”. Program pracy organicznej, który „stanowić miał zwrot stanowczy w dziejach narodu”, bankrutował, odżegnywano się od haseł postawionych w widokach jednej warstwy mieszczańskiej i po śliskiej drodze kompromisu zsuwano się jak pisał Potocki „już nie w błoto”, ale „na krawędź przepaści”. Zjawiła się potrzeba szukania nowych drogowskazów.

Okolo 1886 roku, gdy po krótkim okresie rozwoju ruchu rewolucyjnego, nastąpiło jakby załamanie się go pod wpływem aresztowań, Potocki przystąpił do zorganizowania zespołu redakcyjnego pisma, które miałoby za zadanie stworzenie nowego programu społeczno-politycznego opartego na zasadach demokratycznych.

Najgorliwszą pomoc okazał mu Jan Ludwik Popławski, współpracownik „Prawdy”, który za udział w spisku Adama Szymańskiego z r. 1878 przebył kilka lat na zesłaniu w Rosji.

Najtrudniejszą sprawą było wynalezienie odpowiednich funduszy. Potockiemu udało się pozyskać dla tego projektu niezbyt wybitnego powieściopisarza, ale wielkiego zwolennika wszelkiej myśli postępowej Michała Wołowskiego, który zdołał namówić Władysława Kięlsza, spekulanta, lubiącego rzucać się na najrozmaitsze interesy. Kięlsz zgodził się finansować nowe czasopisma, za co otrzymał zaszczyt podpisywania się jako wydawca i redaktor.

¹⁷⁾ Grabiec 1. c.

¹⁸⁾ Przegląd społeczny, Lwów 1886/2.

Do komitetu redakcyjnego weszli prócz Potockiego i Popławskiego — Aleksander Więckowski, jeden z bardzo wybitnych działaczy z Proletariatu i świetny publicysta (Kniażyc, Siemieniecki), Mieczysław Brzeziński, słynny później działacz na polu oświaty ludowej, Zygmunt Heryng, młody ekonomista, Edward Paszkowski, prawnik i publicysta¹⁹⁾ i inni.

Rozesłano przed wydaniem programowego numeru zawiadomienia do pisarzy, publicystów i uczonych, a między innymi do Adolfa Dygasińskiego, Michała Bałuckiego, Zygmunta Jeża-Miłkowskiego, Elizy Orzeszkowej, Marii Konopnickiej, Kazimierza Bartoszewicza, Ludwika Finkla i do wielu innych.

Wiadomość o mającym się ukazać czasopiśmie, które stawiało sobie szeroki program demokratyczny, wywołała na ogół przychylnę przyjęcie. Wielu pisarzy obiecało poprzeć je swymi artykułami i nadesłało listy²⁰⁾, określając swój stosunek do nowego pisma.

Program, zawarty w prospekcie, ostrożnie napisany ze względu na stosunki cenzuralne, występował przede wszystkim przeciwko oportunistom, który polegał na „łataniu spraw i interesów bieżących”, przeciw obniżaniu ideałów i upadkowi całych grup społecznych²¹⁾. Przyjmując hasła pozytywistów oparte na wiedzy i postępie, wypowiadał się przeciw doktrynerstwu w nauce, a w postępie — przeciw wyłączości klasowej.

Jako główne zadanie stawiał pracę „nad spotęgowaniem i uświadomieniem tych sił, które w nowej przemianie bytu społecznego muszą z konieczności wystąpić jako naczelne, płodne i żywotne”. Główną siłą to — lud polski. Wskazując na niebezpieczeństwo potęgi germańskiej, która „olbrzymie środki swej kultury i organizacji państwowej” zwracała przeciwko polskiemu posiadaniu ziemi, program mówił: „Rozpoczynamy walkę już nie o byt odrębny, państwowy, ale o życie plemienne, walkę, do której wystąpić muszą wszystkie rezerwy narodu”.

Odwołując się do ideologii pozytywistów, którzy przed kilkunastu laty rzucili hasło odrodzenia i pracowali nad demokratycznym rozwojem myśli społecznej, program stawiał zasadę „uznania ludu za najgłówniejszy składnik społeczności narodowej” i przygotowanie go do życia społecznego. Wobec tego interesy i potrzeby ludu

¹⁹⁾ Informator, „Niepodległość” III, 171—3.

²⁰⁾ „Głos”, Nr prospektowy. 1886.

²¹⁾ Ibid.

„powinny być górującym akcentem w pracy społecznej, wytycznym problemem działania”. Ostro występował przeciwko wszelkim pretensjom utrzymywania wpływów w społeczeństwie przez te warstwy, które tradycją i kulturą obce są większości narodu.

Przyjmując zasadę wyzwolenia pracy zwracał się jednak przeciwko dotkrynie „apostołów kosmopolitycznego socjalizmu”, gdyż jak twierdził „lud ma własne pojmowanie szczęścia, nie dające się włożyć w oderwane, lub wzięte z obcego gruntu formułki”.

Jak widać z powyższego na ideologię powstającego pisma oddziałwał wpływ głównie Popławskiego, który w tym czasie silnie ulegał prądom rosyjskiego „narodnicztwa”, jak również i Aleksandra Więckowskiego, mającego pokrewne poglądy.

Potocki podzielał ich poglądy i konsekwentnie je rozwinął w następnych programowych artykułach. „Chłop polski — pisał²²⁾ — zachował jedno tylko wspomnienie krzywdy, jakiej w ciągu długiego szeregu wieków doznawał”. „Wszelkie tradycje są dlań obce, „nie brał bowiem udziału w tym życiu, którego są one zabytkiem”. Dlatego musi być odrębna nadal „pańska i chłopska kultura, pańskie i chłopskie ideały społeczne i polityczne, obyczajowe, pański i chłopski patriotyzm — słowem pańska i chłopska dusza staną tu obok siebie nie jak dwie bratnie i pokrewne sobie, ale jak obce zgoła i nierozumiejące się wzajem istoty”. Cały program polityczno-społeczny musi być podporządkowany tej drugiej „duszy” narodu, przed którą stoi spełnienie zadań dziejowych, z których najgłówniejsze odbudowanie bytu niepodległego, ale bez jakiegokolwiek łączności z tradycją szlachecką, z którą chłop polski nie ma nic wspólnego. Należy podporządkować „interesy warstw odrębnych — interesom ludu”, odrzucić formy życia społecznego wytworzone przez ustrój stanowy, a dążyć do takich, do jakich dojść może lud „drogą przyrodzonego rozwoju zadatków własnej kultury, drogą uświadczenia sobie własnych swych dążeń i kształcenia własnych ideałów”.

Pierwszy atak wymierzony został przeciwko klerykalizmowi, a w szczególności przeciw klerykalnej polityce obozu stańczykowskiego w Galicji i w ks. Poznańskim, oraz przeciw zwolennikom Włodzimierza Spasowicza, redaktora „Kraju” petersburskiego.

Istnieje głęboka różnica, stwierdza Potocki²³⁾, pomiędzy katolickim wierzeniem ludu polskiego, a politycznym katolicyzmem pa-

²²⁾ Pierwsze Żądło, „Głos” 2/1886.

²³⁾ J. K. Potocki: Pański klerykalizm a wiara ludowa, „Głos” 3/4, 1886.

nów polskich. Katolicyzm ludu to nie zawsze polskość, lud może mieć inne wyznanie, a mimo to pozostać polskim (przykład Mazurzy pruscy). Polityka religijna, oparta na poglądach Szelinga i Hegla, że narodowość streszcza się w religii, nie zawsze stoi w zgodzie z interesami narodu, tym bardziej odnosi się to do katolicyzmu. Papieństwo jako jeden z czynników zachodnio-europejskiej cywilizacji zależny jest od międzynarodowej przewagi Niemiec, a więc od tej siły, która kosztem niemocy Polski „wzrastać chce i wzrasta”. Ilekroć więc ta siła do stóp „watykanu się pochyli, to już, aby podnieść stamtąd jak najcięższy kamień na nasze głowy”. Tym bardziej jest szkodliwy klerykalizm stronnictwa konserwatywnego w. ks. Poznańskiego, bo sprzyja nieświadomie Bismarkowi i germanizacji dzieci poznańskich.

Wykazywał, że klerykalizm zahamował postęp w warstwach ludowych, uwsteczniał wyższe, wpłynął na osłabienie uczuć religijnych, bo z kościoła zrobił narzędzie polityki, wykopał przepaść między starym a młodym pokoleniem, obniżył świadomość obowiązków ogólnu-obywatelskich, oraz poziom duchowieństwa, uczynił ze społeczeństwa gromadę tchórzliwych istot, które przeraża „jeden wyraz wyjęty z podręcznika nieostemplowanego w zakrystii”.

Rezultat polityki stronnictwa stańczykowskiego w zaborze austriackim, to „ciemnota ludu galicyjskiego, najstraszniejsza jego niedola, zwyrodnienie fizyczne, najmniejsza dbałość o jego losy ze strony warstw wyższych, najgłębsze tychże warstw nieuctwo... i najslabiej w chłopie galicyjskim rozwinięte poczucie obywatelskiej solidarności, pozwalające mu myśleć niekiedy o walce bratobójczej”.

W przeciwieństwie do katolicyzmu pańskiego religia chłopów jest „swojską, odrębną w sobie” — mimo to jednak ze względu na kosmopolityczny charakter katolicyzmu religia „jako zastępczyni świadomej indywidualności społecznej jest twierdzą najłatwiejszą do zdobycia nie tylko w krajach, gdzie jak w Austrii lub w Rosji wszystkie kulty są równouprawnione, ale i w Niemczech, gdzie wskutek barbarzyńskich zapędów kulturkamfu „warownia ta zdobytą być może i zdobywana jest ciągle, częściowo, po kawałku”. Ponieważ istotę kultu stanowi pierwiastek łaciński, więc germanizacja pewnych części rytuału nie spotka się z sprzeciwem ludności.

W artykule „Pańskie i chłopskie potrzeby umysłowe”²⁴⁾ Potocki określa różnice w naturze potrzeb obu klas społecznych, przy czym

²⁴⁾ „Głos”, 4/5/6/7/8, 1886.

zastrzega się przeciw uważaniu za „panów” całej inteligencji miejskiej, jak i tych obywateli wiejskich, którzy idą z postępem czasu.

Pańską umysłowość cechuje arystokratyczny konserwatyzm, potępiający wszelki postęp w dziedzinie wiedzy, wyklinający Comte'ów, Darwinów, Spencerów, Millów, Renanów i innych myślicieli, których obóz postępowy sobie przyswoił. Między obu grupami jest przepaść nie do przebycia, bo jedna „życie obywatelskie zaczyna, druga zaś kończy życie kastowe”. Arystokratyzm konserwatywny dyktuje więc historii zwrot do badań heraldycznych, do monografii rodzin magnackich itp. w powieściopisarstwie narzuca fałszywe tendencje.

W artykule o „Inteligencji wiejskiej”²⁵⁾ Potocki udowodniał, że najważniejsze zadanie obozu demokratycznego to podniesienie oświaty wśród ludu, która stoi na bardzo niskim poziomie. Należy stworzyć szeregi nowej inteligencji wiejskiej, której ani lekarz małopomieszczykowski, ani adwokat stanowić nie mogą, bo nie rozumieją, że obok pracy zawodowej mają inne obowiązki, a przyczyna tego, to „słaby stan demokratyzacji społeczeństwa, która ze stanu niemowlęctwa wychodzi. Potrzeba przeobrazić mózgi nasze, odmienić z gruntu całokształt naszych poglądów, aby idee demokratyczne w krew naszą weszły, część naszej istoty duchowej naprawdę stanowiąc zaczęły”. Udowodniał, że ogniskiem inteligencji wiejskiej może być tylko miasto, gdzie wyrabiać się będą charaktery ludzi, którzy przyczynią się do demokratyzacji społeczeństwa. Pierwsi na tej drodze to muszą być księża, odpowiednio przygotowani, nauczyciele i lekarze wiejscy, którzy powinni otrzymywać stałą pomoc ze strony społeczeństwa w pierwszych latach praktyki. Projekt ten kilka razy poruszany na łamach „Głosu” skłonił i natchnął Żeromskiego do stworzenia postaci lekarzy-społeczników: Obareckiego i Judyma. Pomimo, że miasto miało stworzyć ową ożywczą atmosferę, z której powinni wyjść działacze ludowi, to jednak Potocki twierdził, że koniecznością jest wytworzenie inteligencji „z łona samego ludu i powrót jednostek inteligentnych do niskich progów wieśniaczych”.

Z programu tak wybitnie radykalnego pod względem społecznym wypłynął program polityczny w sprawie niepodległości Polski. Na pytanie jaka ma być struktura przyszłego państwa polskiego Potocki odpowiedział w artykule „Partie i programy”²⁶⁾, w którym

²⁵⁾ „Głos”, 42, 1887.

²⁶⁾ „Głos”, 24, 1887.

poddał ostrej krytyce program Polski historycznej, wypisywany na wszystkich sztandarach stronnictw od chwili rozbiorów. Dla Potockiego ów program był wyrazem polityki kastowej, „wcieleniem ideałów jednej tylko warstwy narodu”, „warstwy uprzywilejowanej”, „programem polityki państwowej, a przeczeniem narodowości”. „Polska jako państwo” — pisał — „oparte na podstawach choć cokolwiek państwowych musiałyby pozbawić odrębności narodowej inne ludy, musiałyby dzielić i rozczłonkowały wielomilionowe plemiona, musiałyby przeto stwarzać sobie wrogów zewnętrznych i wewnętrznych tam właśnie, gdzie by w naturalnym rzeczy porządku, sprzymierzeńców znaleźć powinna”. Odrzucał odwołanie się do tradycji tolerancji politycznych, bo uważał, że w granicach dawnej Rzeczypospolitej nie jest możliwym powstanie federacji równych i niezależnych od siebie narodów, ukształtowanie takie nie byłoby Polską historyczną, lecz czymś nowym i musiałyby albo przekroczyć dawne jej granice, albo ich nie osiągnąć.

Twierdzi, że program Polski historycznej, konsekwentnie realizowany, musiałyby doprowadzić do wyrzeczenia się ziem o narodowości polskiej, które do Rzeczypospolitej nie wchodziły, chociaż etnograficznie są polskimi. Jako przykład przytoczył posłów polskich z Galicji, którzy nie chcieli przyjąć do koła polskiego posłów z tej części Śląska, która do korony polskiej nigdy nie wchodziła. Twierdził, że jednak trzeba „rozstać się z jednolitością państwową”, bo państwo takie chcąc jednolitym pozostać musiałyby „tłumić i hamować samowiedzę narodową innych związanych ze sobą grup etnicznych”. Aby je strawić należałoby „usunąć masy nie tylko od życia narodowego, ale i od możliwości wyższego rozwoju cywilizacyjnego itd., gdyż bierność uczuć narodowościowych wzmagą się w miarę niższego stopnia uspołecznienia, samowiedza zaś narodowa ćwiczy się i rozwija najbardziej pod wpływem udziału w życiu publicznym”.

Powyższe artykuły Potockiego nie tworzyły bynajmniej ideologii „Głosu”, były jak gdyby tylko wykreśleniem jej dróg. Najważniejszą zasługą pisma to był jego prawdziwy demokratyzm, obrona interesów ludu polskiego w granicach oczywiście dopuszczalnych przez cenzurę rosyjską. Całą kampanię wytoczył „Głos” od pierwszych swych numerów przeciwko sprzedawcykom poznańskim, którzy majątki sprzedawali komisji kolonizacyjnej niemieckiej. Umieszczano ich nazwiska, piętnując ich publicznie.

„Głos” otworzył swe łamy dla wszelkiej myśli demokratycznej — pisywali w nim prócz tych, którzy jak Więckowski, Popławski we-

szli do Komitetu redakcyjnego — młodzi, jak Ludwik Krzywicki, Ludwik Kulczycki, Edward Przewóski i inni. Z poetów największą zdobyczą było pozyskanie Jana Kasprowicza, który tu ogłaszał swe poezje z życia ludu śląskiego, a z pisarzy Stefana Żeromskiego, który pierwsze swe utwory pisał dla „Głosu”. Ubolewał Potocki, że Prusa, autora najlepszej powieści z życia ludu, nie było w redakcji „Głosu”, ale pocieszał się, że dla programu „Głosu” „Prus gdzieindziej więcej od nas robi”.

Gorzej sprawa przedstawiała się z prenumeratorem, których „Głos” miał b. mało. Przyczyną tego w dużej mierze było nieprzychylnie przyjęcie nowego organu przez prasę, poczynając od zachowawczego „Słowa” do najbardziej postępowego „Przeglądu Tygodniowego”, nie mówiąc o „Prawdzie”, z którą „Głos” poważnie kolidował. Nawet i Zygmunt Balicki odniósł się krytycznie do „Głosu”²⁷). Były i takie głosy, że „Głos” pragnie „powiększyć szparę pomiędzy stanami, w której by obce ręce mogły siać niezgodę”²⁸). Nadomiar złego Kiełsz, który figurował jako wydawca „Głosu” okazał się zwykłym defraudantem, popełniwszy w marcu 1887 r. sprzeniewierzenie w banku, gdzie pracował, zbiegł z Warszawy. Był to cios wielki dla zespołu redakcyjnego, stale wypominano mu to w niektórych odłamach prasy, która jednak prócz „Roli” i „Prawdy” dwu pism tak krańcowo różnych „stanęła na stanowisku — jak pisał Potocki — i umiała oddzielić wydawnictwo od wydawcy”. Redaktorem i wydawcą został wtedy Potocki. Było to ciężkie zadanie wobec władz rosyjskich i przy braku pieniędzy. Materialnie popierali pismo Tadeusz Kozerski, młody obywatel z Kresów, Zygmunt Heryng, Henryk Nusbaum, wielką pomoc okazywał Bolesław Hirszfelf, znany działacz Ligi Polskiej na terenie Warszawy, który ostatecznie najbardziej przyczynił się do ugruntowania finansowego pisma.

Czytelnikami i odbiorcami „Głosu” była młodzież uniwersytecka, grupująca się w Związku Młodzieży Polskiej (powstałym w r. 1887). Ideologię „Głosu” poczytywała za bliską dla siebie, a niektórzy ze związkowców pierwsze kroki stawiali w pracy publicystycznej na łamach tego pisma²⁹), „Głos” na młode pokolenie, miał więc wpływ niezaprzeczony³⁰). „Potocki i inni głosowicze—jak pisze

27) Z. Balicki: „Przegląd Społeczny”.

28) Marian Bohusz (J. K. Potocki): Bez Obłudy, „Głos”, 11, 1887.

29) Jan Offenberk: l. c. 31.

30) Stanisław Wojciechowski: Wspomnienia, Warszawa 1938, 18.

Helena Radlińska³¹⁾ — z zarem najgorętszych uczuć, choć w słowach ostrożnych wskrzesili tradycję pójścia w lud. Skłonili niejedną dziewczynę do pracy nauczycielki wiejskiej. Porywali przykładem pracy oświatowej i półjawnej i tajnej”. Pod wpływem „Głosu” Miecysław Brzeziński stał się działaczem na polu oświatowym, a Kazimierzem Dulebą, zbliżywszy się z Potockim, znalazł w nim zachętę i pomoc w pracy konspiracyjnej dla ludu³²⁾. W mieszkaniu redaktora — młodzież często bywała, zapoznając się ze starszą generacją, prowadziła dyskusje i wyrabiała swój światopogląd³³⁾.

Chociaż Potocki, objąwszy obowiązki redaktora, zostawił publicystyczne artykuły Janowi Popławskiemu, Paszkowskiemu, Więckowskiemu, Przewórskiemu, to nie mniej wpływ jego na nie był poważny. W pierwszym roku istnienia pisma, cały zespół redakcyjny zbierał się co tydzień dla wysłuchania i oceny artykułów, nawet korekty przeprowadzano wspólnie, zdaje się, że zwyczaj ten zachowano i później. Potocki rzadko głos zabierał w sprawach publicystycznych w artykułach większych, zato świetnie prowadził tygodniowe felietony pt. „Bez obłudy”, w których omawiał najważniejsze wypadki, polemizował z prasą, poruszał bieżące zagadnienia, krytykował, wyszydzał wady życia społecznego. Rozszczepiał się jakgdyby na tysiąc spraw drobnych, przemijających, które niszczyły jego system nerwowy. Był jednocześnie najpoważniejszą siłą naukową pisma — tłumaczył Spencera, Warda, Ribota, Belamy’ego, zapoznawał z najnowszymi kierunkami wiedzy przyrodniczej i filozoficznej i dziełami uczonych. Był niestrudzonym pracownikiem.

Od czasu objęcia stanowiska redaktora Potocki rzadko głos zabierał w kwestiach ogólniejszej natury — chodziło zapewne o niezwracanie na siebie jako redaktora uwagi władz rosyjskich. Inaczej narażałby czasopismo na szykany cenzury rosyjskiej. Gdy jednak zachodziła konieczność wypowiedzenia otwarcie opinii nie cofał się przed żadnymi ubocznymi względami.

Niezmiernie ciekawe było jego stanowisko w sprawie stosunku do Żydów. Niektórzy chcą widzieć w Potockim twórcę antysemityzmu. Jest to całkowicie błędne. Potocki nigdy w znaczeniu dosłownym antysemitą nie był. Jako dowód mogą służyć trzy jego artykuły umieszczone w r. 1891 w „Głosie”, będące rozwinięciem tezy posta-

³¹⁾ Wspomnienia uczennicy i nauczycielki, „Niepodległość”, V, 321.

³²⁾ I. W. Kosmowska, Kazimierz Duleba, „Niepodległość”, VII, 5.

³³⁾ Wojciechowski, l. c.

wionej przez Popławskiego w artykule programowym w kwestii żydowskiej z r. 1886 ³⁴⁾.

Popławski stwierdzał, że kwestia żydowska jest najbardziej zawiłą sprawą wewnętrzną, podkreślał, że żadnej nie ma różnicy między zasymilowaną inteligencją żydowską a polską, uważał jednak, gdy narodowość stała się najważniejszą podstawą kształtowania się społeczeństw, kiedy poczucie indywidualności plemiennej wzmogło się, musiało się zjawić oddziaływanie przeciwko żywiolowi, który stawiał w dążeniu do jednolitości zacięty opór. Nie wierząc w całkowitą asymilację ogółu Żydów i w możliwość pozbycia się ich szczególnie drogą gwałtu, gdyż jak pisał gwałt znieprawia tego, kto go stosuje, bo czyni z niego „oskarżyciela, sędziego i wykonawcę wyroku”, był za tym, aby żywiół żydowski zneutralizować. „Należy — pisał — dążyć do asymilacji obywatelskiej, należy uczynić Żydów członkami społeczeństwa, Polakami pochodzenia semickiego i wyznania mojżeszowego”.

Potocki konsekwentnie podzielał stanowisko Popławskiego, i jeśli występował przeciwko Żydom, to aby wskazać ich przewodcom, że najważniejszą rzeczą jest „ujęcie ruchu cywilizacyjnego ich współbraci w silne dłonie, wyrwanie ich z kleszczów kahałnych, oczyszczenie ze przedśredniowiecznej stęchlizny. Tak odrodzonych — mogą wyprowadzić sobie do jakiego zechcą przybytku i w strojach barwy dowolnej byle wyprowadzili ich ludźmi”.

Gdy jednak na „Głos” za wyraźne postawienie kwestii konieczności zreformowania stosunków żydowskich posypały się zarzuty z łamów „Prawdy” w rodzaju drobnomieszczaństwa i antysemityzmu Potocki w trzech kolejnych artykułach ³⁵⁾ omówił swoje stanowisko w tej sprawie. Przede wszystkim wypowiedział się, że przebudowa organizmu społecznego w duchu ideałów współdzielczości rozwiąże kwestię żydowską, bo niemożność „wyzyskiwania obezwładniałaby ich wyspecjalizowanych eksploatatorów narówni z innymi, planowość gospodarki usunęłaby przeludnienie zawodowe, będące skutkiem przyczyn ekonomicznych, międzynarodowa solidarność i tolerancja wsparta na podwalinie jakiej dziś nie posiada, zobojętniałaby zajadłość ich łączności plemiennej...”, stwierdził, że jest to ideał przyszłości, ale nie należy jednak oczekiwać na urzeczywistnienie jego z założonymi rękami, lecz brać udział w pracy od podstaw. Należy uświadamiać

³⁴⁾ „Głos”, Nr 7, 1886.

³⁵⁾ J. K. Potocki: Antysemityzm, „Głos”, 4/5/6, 1891.

społeczeństwo co do zadań współdzielczości i przyczyniać się do jej nadejścia przez zmianę stosunków „na wyższe i lepsze” nawet środkami nic na pozór nie mającymi wspólnego ze spółdzielczością. To jedno, a z drugiej strony należy umożliwić Żydom kształcenie się zawodowe, i podniesienie się kulturalne. Między innymi Potocki proponował rozwinięcie literatury w języku żargonowym czy hebrajskim. Nie odrzucał jednak konieczności emigrowania Żydów, co tym bardziej było zrozumiałe, że w tym czasie powstał słynny zapis barona Hirscha w Wiedniu, przeznaczony na emigrowanie dwóch milionów Żydów do Ameryki. „Ten, kto stanie — pisał — na gruncie dwóch ras odrębnych, krępujących się wzajem w rozwoju swym kulturalnym, kto nie da się uwodzić apetytowi „asymilowania” kilkunastu Izraelitów rocznie, kto uzna całą rozpaczliwą beznajdzieńność stanu obcego, całą bezsilność wyznawców asymilacyjnego programu w warunkach danych, ten, niezależnie od większej lub mniejszej wiary swej w możliwość przesiedlenia Żydów, będzie widział w niej największą i najbardziej nieodzowną dla szczęścia milionów ucieczkę”. Twierdził, że silne przekonanie o niezbędności emigrowania stworzy wiarę w możliwość urzeczywistnienia jej, co nie będzie rzeczą trudną wobec „postępów techniki, a więc i techniki przeobrażeń społecznych”. To są mniej więcej poglądy Potockiego na kwestię żydowską, które nie świadczą bynajmniej, aby był twórcą teorii antysemityzmu.

„Głos” był organem, gdzie wszelka opinia mogła być wypowiedziana otwarcie. Każdy członek komitetu redakcyjnego jak i każdy współpracownik pisma miał prawo głosić swe poglądy bez najmniejszych ograniczeń. Chyba — że większość komitetu redakcyjnego była im przeciwna, wtedy ogłaszano je z odpowiednim przypiskiem. Zespół piszących nie był jednolitym pod względem ideologicznym, z czasem nastąpiło pewne zespolenie, gdy w miarę rozwoju wspólnej pracy, niektórzy bardziej krańcowi ustąpili ³⁶⁾.

Głośnym było wystąpienie Ludwika Krzywickiego, który w artykule pt. „Złudzenia demokratyczne”, drukowanym w „Prawdzie” z punktu widzenia teorii Marxa poddał krytyce ideologię „Głosu” ³⁷⁾. Odpowiedział mu w całym szeregu artykułów pt. „Wątpliwa pozycja pewnego obrachunku ³⁸⁾ i Lud w programach demokratycznych ³⁹⁾ —

³⁶⁾ Informator, I. c.

³⁷⁾ Będąc w tym samym czasie członkiem komitetu redakcyjnego „Głosu”.

³⁸⁾ „Głos”, 15, 1890.

³⁹⁾ Ibid.

Aleksander Więckowski, najpoważniejszy i najbardziej wyrobiony publicysta „Głosu”.

„Głos” był nie tylko platformą demokratyzmu, ale był jednocześnie jakgdyby organem Ligi Polskiej w najpiękniejszym i jedynym jej okresie, gdy wpływy w niej mieli emigranci jak Jeż-Miłkowski i działacze tej miary jak Bolesław Hirszfeld, gdy szczerze służyła hasłom demokratyzmu i sprawie niepodległości Polski w latach 1887—93.

Sam Potocki należał do stowarzyszenia Łączności⁴⁰⁾, będącego ekspozyturą Ligi w kraju. „Idealista-teoretyk gorzał żądzą wielkiego i śmiałego czynu, buchał ogniem, bił w niebo wyobraźnią...”⁴¹⁾. Znał się doskonale na technice pracy konspiracyjnej z czasów działalności proletariatchyków i Marii Bohuszewiczówny, marzył o walce rewolucyjnej, o zamachach, sztyletach, o chwytaniu dostojników, o udoskonalonej organizacji, było coś w nim z konspiratora powstańca i tych jego marzeniach była jakaś moc: „ponętna, zachłanna, realna, nie szczegółów, ale ogólnych zasad i kierunku myśli”..

Władze rosyjskie miały go w silnym podejrzeniu. Już w r. 1890 przeprowadzono u niego rewizję naskutek znalezienia przy aresztowanym na granicy Józefie Stefanie Zembie listy składek na Skarb Narodowy, na której znajdowało się i nazwisko Potockiego. Zembo zeznał, że w mieszkaniu Potockiego zostawiał walizę na przechowaniu w czasie pobytu w Warszawie⁴²⁾.

W r. 1894 w dniu 17 kwietnia, Potocki wziął udział w demonstracji politycznej, mającej na celu uczczenie stulecia wybuchu powstania ludu warszawskiego pod wodzą Kilińskiego. Manifestanci po wysłuchaniu nabożeństwa w katedrze św. Jana wyszli na Wąski Dunaj, gdzie niegdyś mieszkał Jan Kiliński, pamięć którego uczczono przez zdjęcie kapeluszy i czapek, a stamtąd udali się na Podwale, aby przejść przez Kapitulną na Miodową pod pałac, gdzie w r. 1794 mieszkał Igelström. Na Kapitulnej manifestantom zastąpiono drogę i wtłoczono z powrotem na Podwale i w podwórze domu cyrkułu policyjnego. Kobiety odesłano do urzędu śledczego, mężczyzn wylegitymowano i puszczono do domu. Następnego dnia w nocy z rozporządzenia generał-gubernatora Hurki aresztowano wszystkich wyle-

⁴⁰⁾ Eliasż Czajkowski: Proces Sokoła odeskiego, „Niepodległość”, IX, 20.

⁴¹⁾ Kazimierz Pietkiewicz: „Niepodległość”, V, 364.

⁴²⁾ O polityczeskiej demonstracji ustrojennoj w Warszawie w stoletniuju godowoscinu Kostiuski, akta generał-gubernatora, 91. Archiwum Akt Dawnych w Warszawie.

gitymowanych, wśród nich i Potockiego, który znajdował się wśród manifestantów. W kilka miesięcy później aresztowano z komitetu redakcyjnego Mieczysława Brzezińskiego, Józefa Hłaskę — Popławski zdołał ukryć się i następnie wyjechał z Warszawy.

Potockiego osadzono początkowo w więzieniu śledczym, poczym przeniesiono go do X pawilonu cytadeli warszawskiej. Zaliczono go do najsilniej podejrzanych. Aresztowanych bowiem, których większa część składała się z młodzieży uniwersyteckiej, podzielono na kilka kategorii. Do pierwszej zaliczono tych, którzy z całą świadomością wzięli udział w manifestacji⁴³⁾ i którzy, czy to na skutek swych przekonań politycznych, czy ze względu na swe stanowisko, pobudzali innych do wzięcia udziału.

Potockiego, Jana Miłkowskiego, studenta III kursu przyrody, Józefa Idzikowskiego, lekarza, Edwarda Habicha, b. studenta, Józefa Longina Ciaglińskiego zakwalifikowano do I kategorii. Potocki do niczego nie przyznawał się — zeznał, że w czasie demonstracji na ulicy Podwale znalazł się przypadkowo, idąc do adwokata Weidla w sprawie rozwodowej⁴⁴⁾.

Sprawę sądzono w trybie administracyjnym, przewidującym karę zesłania. Wobec tego manifestantów osadzono w 16 dni, i zatrzymano wszystkich w więzieniu na cztery miesiące do czasu nadejścia odpowiedzi na raport generał-gubernatora do ministra spraw wewnętrznych. Potocki otrzymał najwyższy wymiar kary — 5 lat zesłania do jednej z północnych gubernij Rosji, przy czym wybór, jak wszystkim, zostawiono do jego decyzji. Żandarmeria niezadowolona ze śledztwa przeprowadzonego przez ober-policmajstra, postanowiła wszystkich należących do I kategorii przenieść do X pawilonu cytadeli warszawskiej, aby próbować wydobyć zeznania, które posłużyłyby do wytoczenia aktu oskarżenia o przestępstwo polityczne.

Potocki zamknięty w dniu 27 maja w X pawilonie przesiedział w nim do dnia 22 lipca. Nie złożył żadnych zeznań i niczego mu nie dowiedziono, wyszedł jednak całkowicie chory. Przeprowadzenie poprzednie, osamotnienie w celi i predyspozycja wywołały w nim ataki melancholii. Przeniesiony do głównego więzienia przy ulicy Chłodnej i osadzony w celi wraz z 10 studentami przez kilka dni

⁴³⁾ l. c., cz. I.

⁴⁴⁾ Potocki był żonaty z Olgą Miszlerówną, córką zamożnego piekarza z Łowicza. Mówiono, że ożenił się, aby poprawić interesy materialne „Głosu”. Z żoną dobrze nie żył.

czuł się nieźle — czytał i starał się pisać. Gdy współwięźniowie opuszczali celę — gorzko się rozplakał. Władze zdawały sobie sprawę ze stanu jego zdrowia. Otrzymał widną celę na czwartym piętrze, z oknami wychodzącymi na ulicę, dobrze wentylowaną. Pozwolono mu oddawać się pracy umysłowej i spacerować po ogrodzie więziennym. Wobec tego, że dr Jan Smurło, odwiedzwszy jednego z uwięzionych, zalecił mu zabiegi hydropatyczne, przyniesiono mu... balię, aby mógł je stosować. Rodzina i przyjaciele mogli go odwiedzać codziennie. Ustawiono nad nim nadzór jednego z dozorców i współwięźnia, coprawda zupełnego analfabetę.

Wszystkie te środki nie odniosły skutku — w trzy dni po przybyciu do więzienia przy ulicy Chłodnej Potocki w przystępie ataku nerwowego pokrajał sobie szyję scyzorykiem. Przeniesiono go do szpitala św. Ducha. Rany okazały się niegroźne i na trzeci dzień chory mógłby opuścić szpital, gdyby nie ciężki stan nerwowy. Chory bił głową o ścianę i krawędź łóżka, próbował rzucić się z okna i ze schodów. Jak wykazało badanie lekarskie — organizm Potockiego był całkowicie wyczerpany, sam zaś zdradzał całkowitą obojętność na zadawane pytania, opowiadał o swych marzeniach, miewał halucynacje. Lekarze uznali go za melancholika z ideami prześladowczymi. Badania odwiedzających wykazały, że bał się przyszłości. Odesłano go do Tworek, gdzie dostał się pod opiekę młodego ówczesnie lekarza, Rafała Radziwiłłowicza.

W Tworkach stan jego wkrótce poprawił się w ciągu kilku miesięcy. W pierwszych dniach listopada matka Potockiego⁴⁵⁾ złożyła podanie do władz o przeniesienie go do Nałęczowa, które przesłano do Petersburga. Odpowiedź nadeszła dopiero w grudniu, wyjazd do Nałęczowa nastąpił w połowie lutego 1895 r. Jednocześnie generał-gubernator z powodu amnestii po wstąpieniu na tron Mikołaja II przesłał wniosek o skrócenie Potockiemu czasu zsyłki do trzech lat.

W kwietniu lekarz powiatowy w Nałęczowie stwierdził wybitne polepszenie. Potocki dużo czytał, nie unikał towarzystwa, grał w bilard, nie obawiał się obcych. W sierpniu przybył do Nałęczowa, znajdujący się pod nadzorem policji rosyjskiej obywatel z kutnowskiego, Leon Lisowski, z którym Potocki zamieszkał i zaprzyjaźnił się. Naczelnik straży powiatowej i naczelnik żandarmerii lubelskiego okręgu, rotmistrz Bulicz, który miał pod swą opieką Potockiego, nie

⁴⁵⁾ Żona Potockiego uległa również rozstrojowi nerwowemu i znajdowała się w Tworkach.

omieszkali donieść o tym lubelskiemu gubernatorowi. Postanowiono pozbyć się niewygodnego gościa i poproszono o zabranie go z zakończeniem sezonu. 27 września lekarz powiatowy, Woliński, uznał Potockiego za zdrowego. Przesłano go jednak jeszcze raz do Tworek, gdzie komisja, w skład której wchodził między innymi i dr Radziwiłłowicz, uznała, że może udać się na zesłanie, ale nie etapami i pod nadzorem lekarza. Matka prosiła w podaniu do generał-gubernatora, aby syn mógł odbyć karę w Warszawie. Generał-gubernator postawił wniosek do ministra spraw wewnętrznych, aby zmienić mu zesłanie do jednej z południowych gubernij rosyjskich. 9 grudnia nadeszła odpowiedź od ministra, że skrócono mu karę zesłania do dwóch lat i wyznaczono mu chersońską gubernię, ponieważ w Chersoniu znajdował się szpital dla umysłowo chorych. Wyjazd jednak nie nastąpił zaraz, znów przeszło kilka miesięcy. 26 marca prosił Potocki o dwa tygodnie urlopu dla uporządkowania swych spraw materialnych, i dopiero 25 kwietnia 1896 roku wyjechał do Chersonia.

Nie zamieszkał w Chersoniu, lecz w Mikołajewie, dokąd udała się z nim i jego żona. Z choroby nie pozostało śladu — był zdolny do pracy umysłowej, dużo czytał, tłumaczył, przysyłał artykuły do „Głosu”, który wychodził pod redakcją Zygmunta Wasilewskiego i przy dużym poparciu materialnym Jana Karłowicza. Potocki pisywał pod pseudonimem Kresowca, Weznackiego i Nauczyciela ⁴⁶⁾.

Właściwie pracą publicystyczną począł się zajmować Potocki jeszcze w Nałęczowie i w czasie powtórnego pobytu w Tworkach. Gdy w dniu 23.IX.1896 roku po półtorarocznej prawie przerwie, ukazał się „Głos” i wznowił swą działalność z początku pod redakcją adwokata Tadeusza Strzembosza, Potocki objął felieton tygodniowy („Na widowni”), podpisując go pseudonimem Jana Weznackiego. Naukowe zaś artykuły umieszczał jako B. Darski. Należy przypuszczać, że Potocki od dawna był zdrow, a jeśli przebywał w Nałęczowie i w Tworkach to równie dobrze z przyczyn natury czysto biurokracyjnej, załatwienie każdej sprawy wymagało dużo czasu, jak i dlatego, że lekarze, a szczególnie dr Radziwiłłowicz, w ten sposób pragnęli odsunąć moment wyjazdu na zesłanie do Rosji. Szczęśliwie się jednak złożyło, że na zasadzie amnestii z okazji koronacji Mikołaja II karę zesłania skróconą do dwóch lat, zmniejszono o jedną trzecią i Po-

⁴⁶⁾ Pod tym pseudonimem ogłosił artykuł w końcu 1896 r. o pensji Teresy Papi p. t. „Panny-Matki”, który stał się źródłem natchnienia dla Żeromskiego, gdy pisał dzienniczek Joasi w „Ludziach Bezdomych”. („Głos”, 51, 1896).

tockci we wrześniu 1897 roku powrócił do Warszawy. Pobyt w Cytadeli, w Tworkach, choroba żony, zburzenie podstaw materialnych bytu wpłynęły tak na Potockiego, że powrócił mimo swych lat czterdziestu trzech okryty siwizną i zagrożony utratą wzroku ⁴⁷⁾).

W ciągu trzech lat nastąpiły ważne zmiany polityczne — utworzyły się dwa wyraźnie odrębne obozy — niepodległościowy, powstańczy Polskiej Partii Socjalistycznej i nacjonalistyczny Ligi Narodowej, którą w kraju reprezentowało stronnictwo narodowo-demokratyczne, ulegające jeszcze w tym czasie dyrektywom działaczy (Jeża-Miłkowskiego i innych), dla których sprawa niepodległości była najważniejszym celem. Oba obozy prowadziły pracę propagandową od podstaw — natomiast wśród szerokich kół mieszczaństwa w związku z wstąpieniem na tron Mikołaja II odżyły tendencje ugodowe, które podsycił „Kraj” petersburski.

Potocki, który stale w „Głosie” zwalczał ugodową politykę „Kraju” „Kurier Codzienny” (redagowanego przez Ludwika Straszewicza) i ugodowe stanowisko „Przeglądu Katolickiego” z całą stanowczością uderzył nie tylko w nowy przejaw zniechęcenia do kierunku politycznego, nazywając enuncjacje Erazma Piltza „deklaracją praw bydłęcia”, ale i w atmosferę bezwładu i apatii społeczeństwa, w której — jak pisał w „listach otwartych do księcia Uchtomskiego” ⁴⁸⁾ — „wymówkę znajdują tchórze, usprawiedliwienie leniuchy, obronę szalbierze, zachętę obłudnicy i pochlebcy, w której zwątpienie znajduje strawę obfitą, tuczy się skłonność do najgorszych ustępstw i kompromisów, żebranina staje się jednym ze sposobów działalności społecznej, zanika duma, tępieje poczucie sprawiedliwości, czyn samolubny może okrywać się płaszczem patriotyzmu, a przez ostateczną zagładę świadomości społecznej, przez doszczętne spalenie zmysłu obrony własnej — nawet czyn wyraźnie narodowi szkodliwy, nawet zdrada za patriotyzm może być podawana” ⁴⁹⁾).

„Listy otwarte do księcia Uchtomskiego” pisane przed przyjazdem cara Mikołaja II do Warszawy, a więc jeszcze na wygnaniu to obrachunek przeszłości i podsumowanie teraźniejszości polskiej. Pol-

⁴⁷⁾ Z relacji Stefani Sempołowskiej i Waleriana Karwasińskiego.

⁴⁸⁾ Listy otwarte do księcia Uchtomskiego wydane zostały w r. 1898. Zwrócone były do redaktora petersburskich „Wiedomości”, znanego liberała i obrońcy zasad praworządności i humanitaryzmu, protestującego stale przeciwko nadużyciom administracji państwowej, zwolennika tolerancji i samorządów miejscowych.

⁴⁹⁾ Ibid, 9.

ska—pisze Potocki ⁵⁰)—nie była w swej przeszłości historycznej mocnym, zwartym, jednolitym państwem, bo nie było w niej jak wszędzie zresztą tego „cementu”, który spajałby różne jej centry w jedną całość, cementem tym mogła być „świadoma jednolita ciągła masa ludowa, któraby owe centra tak swoim instynktem zachowawczym zespoliła i tak w potrzebie ścisnęła, że ktokolwiekby ducha nie wyzionął, przywarłby mocno do całości”. Pomiędzy centrami różnymi Polski leżały „martwe zdrewniałe warstwy ludowe, złe przewodniczki narodowych uczuć i myśli”, nie tworząc „żywego ciała społecznego ustroju”. Dlatego naród cechowała połowiczność, chwiejność, brak charakteru, które zamieniły „mury jej na kupę zmurszałych głazów”. Naród polski usiał kośćmi swymi ogromną przestrzeń od Bałtyku do Czarnego Morza, od Odry do Wołgi, od Kircholmu do Chocimia, od Wrocławia do Worskli, krwią swoją przepoił ziemię kresową, wyrwał ją z rąk Turków, tę ziemię, którą rząd rosyjski zwie ruską, ale nie umiał wykorzystać ani jednego zwycięstwa, ani Grunwaldu, ani Kircholmu, ani Chocimia, ani Wiednia, żadne nie przyniosło odrodzenia narodowego. Ta połowiczność towarzyszyła powstaniom narodowym — od Kościuszki do powstania styczniowego, bo nigdy nie zdobyto się na rozwiązanie problemów społecznych. Oto w powstaniu 1863 roku „chłopi wiążący „dyktatora”, ci sami chłopci, którzy, jak mówi Bronisław Szwarce, zwolnieni o dwa miesiące wcześniej z poddaństwa byliby walczyli w jednym z nich szeregu...” ⁵¹).

Potocki uważał, że współczesna mu epoka tym różni się od przeszłości, że wszędzie nastąpiło powołanie do życia politycznego „tłumów szerokich”, że zachodzi proces historyczny „uczłowiecznienia milionów”. Polskę proces ten znalazł w niewoli, wpłynęło to na powolniejsze tempo przemian społecznych, które mimo wszystko odbywają się „w męce strasznej i bólu”, „pod pazurami drapieżnej i wysokiej kultury niemieckiej”, „po siedmiu wiekach narodowego letargu”, „w podziemiach kopalni węglowych, wśród wyziewu kotłów fabrycznych i huku maszyn, nad pługami oraczy, w nędznych warsztatach rzemieślniczych” ⁵²). Wzrasta świadomość narodowa mas szerokich jako idea i jak każda idea silniejsza od bagnatów, wylatująca „z każdej odrąbanej głowy”, „z każdej rozprutej piersi”. Owocem tej idei jest nowożytny patriotyzm, różniący się od dawnego

⁵⁰) Ibid, 5.

⁵¹) Ibid, str. 7.

⁵²) Ibid.

szlacheckiego, reprezentacyjnego (gdzie jedna warstwa reprezentowała inne) i sporadycznego „wyrazem bezpośrednio odczuwanej odrębności etnicznej, odczuwanej przez każdego z osobna i przez wszystkich razem”, oraz stałością, ciągłością — „jak oddychanie i krążenie soków”, albo inaczej patriotyzm nowoczesny to „polityczna świadomość mas szerokich zlewająca się z całą tych mas naturą i zarazem z nią wypływającą na bieg, na formę życia mas owych i na formę oddziaływań gwałtowniejszych wraze, gdy stałym ograniczonym wymaganiom zadość się nie dzieje”⁵³).

Wnikając w nastroje społeczeństwa polskiego, uważa Potocki, że nie istnieje w nim patriotyzm ani „jako świadomość, ani jako potrzeba organiczna, ani jako motto i żądza czynu, ani jako wyczuwanie swej jaźni zbiorowej, czy odrębności etnicznej, ani jako uczucie”. Przyczyna tego, to długotrwały ucisk, który wywołał stępienie uczuć i „oswojenie się z nienormalnością” i jeśli istnieje patriotyzm to nosi charakter czysto obrzędowy. „Niejeden taki, co jest skończonym drewnem politycznym w życiu codziennym, co nie wbije pracą swą ani jednego kołka w rozwalonej przez wieprza zagrodzie domowej, co przechodzi tysiąc razy koło obowiązków patriotycznych, nie domyślając się, co to są obowiązki patriotyczne i że są to jego obowiązki — niejeden z takich, gdy go skarcisz za taką nędzę moralną, mruga tajemniczo i mówiąc: nie sądz pan, że jestem najgorszy, pokazuje wyciągniętą z kąta fotografię Kościuszki albo lipskie wydanie Mickiewicza”⁵⁴).

W tej atmosferze apatii wyrosły chwasty ugody politycznej i Potocki wykazuje jak nieistotne są pozorne ustępstwa rządu rosyjskiego, którymi operują ugodowcy, a więc mrzonką jest odrodzenie kraju przez wzrost handlu i przemysłu, bo „jeżeli zagnębiono Polskę orężem, to wcale nie po to, aby ona miała odrodzić się i zwyciężyć na innej drodze, na drodze walki przemysłowej⁵⁵), dalej udowadniał, że nie jest pożądanym ani wchłanianie elementu polskiego przez rdzenną Rosję, który tam łatwo rusyfikuje się, ani inne dobrodziejstwa. „Program ugody zabójczy jest dla narodu z samej swej istoty” — pisze⁵⁶) — i potępia nie tylko ugodowców, ale i tych „nie-

⁵³) Ibid.

⁵⁴) Ibid, 9.

⁵⁵) Kresowiec (Józef Karol Potocki): Program ugody (Krytyka), Londyn 1898 (nakładem redakcji „Przedświtu”).

⁵⁶) Ibid, 3.

świadomych” przyjaciół stronnictwa ugody, „najliczniejszych i najgroźniejszych ze wszystkich” rekrutujących się przeważnie z tłumów inteligencji zawodowej, drobniejszego ziemiaństwa i mieszczaństwa, którzy potępiają ugodowców za zbytnią służalczość, ale sami czekają „większych ochłapów”, którzy „nie czując i nie rozumiejąc współczesnego życia narodów, nie umieją należycie ocenić stosunku dwu stron walczących — Polski i Rosji”. Były to te elementy, na których stronnictwo narodowo-demokratyczne w niedalekiej przeszłości miało oprzeć swą politykę ugodową.

Potocki innej drogi nie widział jak wiodącej do walki „Polski ludowej z Rosją carską”. Wskazywał na przykład rozwoju ruchu ludowego zapoczątkowanego przed dwudziestu laty, gdy zaledwie kilku studentów poczęło szerzyć idee socjalistyczne i oto „dobra nowina płynie po Polsce”, a „niezwalczony „Robotnik” chwytą porzucony i splamiony przez panów sztandar wolności narodowej”⁵⁷⁾.

„Nie ma i nie może być ugody pomimo krętaństw Piltzów i Spasowiczów — woła w oburzeniu⁵⁸⁾ i w odpowiedzi na wszelkie propozycje pogodzenia się ze strony takich działaczy rosyjskich jak książę Uchtomski odpowiada: „Nienawidzimy mowy waszej, gdyż nie ma takiej podłości, którejby ona w płynne dźwięczne słowa ująć nie umiała. Nienawidzimy jej za to, że zagładę naszej kultury wy nazywacie w niej „objedinenije”, że urągawisko z tej zagłady zowie się „primirenieniem”, że anarchia bezprawia nazywa się u was „porządkiem administracyjnym”, odbieranie nędznych reform własnemu ludowi „kontr-reformą”, palenie zaś żywcem rodzin unickich „rozsojedinieniem”, topienie starców i kobiet w Krożach „umirotworenieniem kraja”...

Gorący ton obu broszur świadczy, że Potocki nigdy nie poszedłby na kompromisy polityczne, że nawet program polityki realnej, który przygotowywało stronnictwo narodowo-demokratyczne byłby dla niego ciosem moralnym, i przeto wszelkie łączenie go twórcami tego programu jak i późniejszego ugodowego jest krzywdą dla niego.

Potocki, entuzjastyczny wielbiciel „Robotnika”, a jednocześnie głęboko przeświadczony o niepodległościowym kierunku obozu narodowo-demokratycznego, z kierownikami którego łączyły go węzły przyjaźni z czasów „Głosu”, a z Popławskim nawet bliskie węzły rodzinne, postanowił stworzyć platformę dla przeprowadzenia poro-

⁵⁷⁾ Listy otwarte, 13.

⁵⁸⁾ Program ugodowy, 15.

zumienia między obu kierunkami socjalistycznym i narodowym. W tym celu w końcu roku 1897 przystąpił do wydawania tajnego pisemka pt. „Walka”. Pierwszy numer wyszedł w dniu 1 stycznia 1898 roku. W programowym artykule wypowiedział się, że nowe czasopismo będzie organem wszystkich stronników niepodległości narodowej. Zastrzegął się, że nie uważał bezpartyjności za rzecz pożądaną, przeciwnie był za ścieraniem się partii politycznych, ale nie sądził, że jedno tylko stronnictwo może wysuwać program niepodległościowy. „Zarówno obie nasze partie opozycyjne” — pisał — Polska Partia Socjalistyczna i stronnictwo Narodowo-Demokratyczne, jak nawet całe gromady jednostek nie należących do żadnej partii, dążą w myślach i czynach swoich do niepodległości narodowej”⁵⁹). Jak i poprzednio przy redagowaniu „Głosu” za najważniejsze zadanie uważał zjednoczenie wszystkich czynników postępu w jeden obóz demokratyczny, tak podejmując się wydawania „Walki” jako pisma nielegalnego, stawiał sobie za cel zjednoczenie wszystkich elementów niepodległościowych bez różnicy programów społecznych. „Co do „Walki” natomiast” — pisał⁶⁰) — „to pragnie ona wyodrębnić spośród wszystkich działań partyjnych li tylko działania mające na celu odzyskanie i zachowanie naszej niepodległości”.

W swej wielkiej tolerancji uznawał za rzecz niemożliwą istnienie bezpartyjności w społeczeństwie, twierdził, że każde stronnictwo musi opierać się na podstawach społeczno-ekonomicznych, które „różnymi muszą być u warstw społecznych”, ale jednocześnie uważał za pożądaną i nawet niezbędnie konieczną „wzajemną pomoc i współdziałanie stronnictw, dążących do wspólnego celu”, jak i „wskazanie od czasu do czasu, które ze stronnictw i w jaki sposób najbardziej do owego celu zbliżyć się może, które z działań jakiegoś stronnictwa ze względu na ów cel wspólny może być spotęgowane albo stłumione bez szkody dla innych interesów partii. Stronnictwo to jakby ponadpartyjne miałoby „kontrolę działalności stronnictw, sprawowaną ze szczególnym uwzględnieniem jakiejś naczelnej potrzeby społeczeństwa”.

Twierdził, że żadna partia nie może reprezentować wszystkich „realnych interesów narodu”, i „żadna nie może wymagać, aby wyłącznie jej drogami wszystkie istniejące warstwy zmierzały do celów narodowych, ale naród ma prawo żądać od stronnictw, aby te jego

⁵⁹) „Walka”, Nr. 1. Styczeń 1898.

⁶⁰) Ibid.

cele wspólne im wszystkim, a dla całości tak doniosłe, stawiane były na pierwszym miejscu, aby w pewnych chwilach dziejowych, gdy nastarczy się możliwość ich osiągnięcia, stronnictwa umiały nakazać milczenie żądaniom swym poszczególnym”.

Był to program konsolidacji społeczeństwa szeroko pojętej w obliczu walki z wrogiem, program, który nie chciał „gasić pożarów”, a na przyszłość nie wymagał ani stempla radykalizmu od stronnictw istniejących, ani stempla prawomyślności, a pracę niepodległościową określał, jako „wskazywanie tak naszych własnych jak i zewnętrznych sił, zasobów i okoliczności, mogących ułatwić i przyspieszyć odzyskanie wolności politycznej”

Program wypowiedział walkę przede wszystkim ugodowemu stronnictwu, i stawiał sobie za cel zwalczanie przesądów i wad politycznych, i popieranie wszelkich działań i dążeń opozycyjnych, oraz hamowanie wszelkich zapędów, które stałyby w sprzeczności z hasłami niepodległościowymi, oraz ukrócanie walk międzypartyjnych, „odciągających uwagę bojowników niepodległości ku zagadnieniom mniej ważnym...”⁶¹⁾.

Potocki nie został zrozumianym — dawni jego towarzysze i uczniowie, zgrupowani wokół lwowskiego „Przeglądu Wszechpolskiego” oddalali się coraz bardziej od niego pod względem ideowym, stawali się coraz „bielszymi”, nowi działacze socjalistyczni — nie znali go. Józef Piłsudski określił program „Walki” za akt opozycji i warcholstwa w stosunku do „Przeglądu Wszechpolskiego”, oponującym głównie z powodu zbytnej „białości” „Przeglądu”, mimo, że ocenił pewne dodatnie jego wartości, to tym nie mniej uważał, że „materiału do ochlastania w „Walce” dosyć”⁶²⁾.

Potocki czuł się osamotnionym w Warszawie, która jeszcze nie ochłonęła od pierwszej fali ugodowości, której kulminacyjnym punktem było przyjęcie Mikołaja II w r. 1897 w Łazienkach. Był więcej osamotnionym, niż niedawno w szpitalu tworkowskim i na zesłaniu. Tracił grunt pod nogami. Nie było wokoło niego nikogo z bliskich. Matka umierała w mohylowszczyźnie, brat, Ksawery, był przy matce, Antoni, drugi brat, w więzieniu. „Czuł się niedobrze, tak prawie jak w czasie bytności w Cytadeli”⁶³⁾. Żalił się do swego kuzyna

⁶¹⁾ Ibid.

⁶²⁾ Józef Piłsudski: Listy. „Niepodległość”, 1938, 369.

⁶³⁾ Ze wspomnień Felicji Popławskiej, I. c.

Wacława Kłosowskiego: „Trzeba coś poradzić, żeby najbliższych nie trwożyć, znikając bez śladu...”⁶⁴).

Po wydaniu trzech numerów „Walki”, mimo obietnicy kontynuowania nielegalnych wydawnictw⁶⁵), w maju 1898 roku z rana o 6-ej opuścił mieszkanie swe by więcej do niego nie wrócić. Nie rychło spostrzeżono jego nieobecność, gdy zauważono, nie rozgłaszano jego zniknięcia i nie robiono poszukiwań, myślano, że wróci, że wyjechał w celach konspiracyjnych. Jakaś tajemnica rozpostarła swe skrzydła nad jego śmiercią.

⁶⁴) Ibid.

⁶⁵) Stosownie do zapowiedzi Potockiego miały się ukazać następujące broszury: „Znaczenie stronnictw politycznych dla nas”, „Europa i Rosja”, „Nakogo i na co liczyć mamy”, „Nasze wady polityczne”, „Obrona prawna wobec żandarmerii”, „Polacy w Rosji”.

Dr HENRYK JABŁOŃSKI.

MINISTERIUM SPRAW POLSKICH UKRAIŃSKIEJ REPUBLIKI
LUDOWEJ

1917 — 1918

II.

Ukraińska Centralna Rada tymczasowym
parlamentem krajowym.

Dnia 11 lipca 1917 r. Mała Rada uchwaliła „konieczność przekształcenia narodowej Ukraińskiej Rady Centralnej w Radę Krajową — tymczasowy parlament krajowy, przewidywany jeszcze na wszechrosyjskim zjeździe narodowym, ponieważ ukraińska demokracja rewolucyjna jest prawie cała reprezentowana w Ukraińskiej Radzie Centralnej, ponieważ w niektórych miejscowościach zostało już zapoczątkowane porozumienie z nieukraińską demokracją rewolucyjną”, a wreszcie „ponieważ inne okoliczności życia politycznego sprzyjają temu, że Ukraińska Rada Centralna staje się politycznym centrum na Ukrainie”. Stwierdza również Mała Rada, że za najbardziej odpowiedni sposób uzupełnienia składu narodowościowego uznać należy reprezentację proporcjonalną. W praktyce postanowiono posługiwać się następującą metodą: większość reprezentacyj ludności nieukraińskiej powinna pochodzić od zorganizowanej demokracji rewolucyjnej, czyli od rad delegatów robotniczych i żołnierskich oraz partyj socjalistycznych; te zaś mniejszości narodowe, które nie wytworzyły spośród siebie partyj socjalistycznych, przekazują swe mandaty za pośrednictwem organizacji ogólnonarodowych.

Procentowo ilość delegatów mniejszości ustalono na 25% składu Rady¹⁾.

Według projektu Komisji Małej Rady przypaść miało 100 — 108 delegatów na Rady powiatowe robotnicze i żołnierskie (po 1 mandacie), 18 delegatów na Rady miast gubernialnych (po 3 mandaty, prócz Kijowa, Odessy, Charkowa i Ekaterynosławia), 26 delegatów na miasta wielkie (Kijów — 8, Odessa — 8, Charków — 5, Ekaterynosław — 5), prócz tego 18 delegatów miałyby mieć partie polityczne: socjalistów-demokratów miensz., socjal.-demokratów bolszew., Bund, socjalistów - rewolucjonistów, zjednoczonych socjalistów - sionistów,, polskie partie socjalistyczne, narodowych socjalistów i białoruskich socjalistów — każda po 2 delegatów. Na organizacje, które nie wyłoniły partyj socjalistycznych, 7 mandatów²⁾.

Zastosowano więc to samo kryterium w przyznaniu przywileju rządu mniejszościom narodowym, co i ukraińskiej większości. Zgodnie z tym stanowiskiem, choć nie zatwierdzając jeszcze projektu Małej Rady, ogłosiła Centralna Rada w dn. 20 lipca 1917 r. uniwersał, w którym poleca „wszystkim obywatelom nie zwlekać z porozumieniem się ze wszelkimi demokracjami wszystkich narodowości i łącznie z nimi opracować prawidłową formułę życia nowego”. „Rada Centralna” — głosi uniwersał — „ma nadzieję, że narody nieukraińskie, zamieszkujące ziemię naszą, będą również dbać o spokój i ład w kraju naszym i w tych ciężkich czasach ogólnej anarchii państwowej zgodnie i razem z nimi wezmą się do budowy autonomii Ukrainy... I dopiero gdy zrobimy tę przygotowawczą organizacyjną robotę, zwołamy przedstawicieli wszystkich narodowości Ukrainy i wtedy dla nich uchwalimy prawa, a prawa te i cały ten ustrój, jaki zaprowadzimy, będzie musiała zagwarantować nam w swych prawach i wszechrosyjska Konstytuanta”³⁾.

Podział mandatów pozostawili Ukraińcy zainteresowanym mniejszościom: rosyjskiej, polskiej i żydowskiej.

1) Skład Centralnej Rady bez mniejszości był następujący:

Przedstawiciele rad	471
Reprezentanci terytorialni	81
Przedstawiciele organizacji politycznych i partyj	20
Przedstaw. org. zawod., ekonom. i oświatowych	16

Razem 588

(„Dziennik Kijowski” Nr 156 z r. 1917).

2) „Dziennik Kijowski” Nr 156 z r. 1917.

3) Porównaj „Organizacja Tymczasowego Rządu na Ukrainie”. („Gazeta Narodowa” z r. 1917 nr 3).

Różnie ustosunkowały się polskie organizacje do nowo-powstałej sytuacji. Polski Komitet Wykonawczy⁴⁾, będąc obecnie reprezentacją narodowej demokracji pragnął monopolu na reprezentację polskości. W łonie Polskiej Centrali Demokratycznej także początkowo nie było jedności zdań w sprawie wzięcia udziału w pracach Centralnej Rady, gdyż nie chciano się angażować w wewnętrzne sprawy rosyjskie, uważając się za pewnego rodzaju tymczasowych emigrantów. Ostatecznie jednak po długim namyśle zdecydowała się Centrala przyjąć ofiarowane sobie ewentualnie miejsca.

P.P.S. frakcja i P.P.S. lewica zgodziły się odrazu na współpracę⁵⁾.

W celu rozdzielenia mandatów do Małej Rady zwołano konferencję przedstawicieli organizacyj mniejszościowych. I tutaj dopiero wynikł zatarg między Polakami. Przyznano bowiem partiom polskim dwa mandaty, a trzy stronnictwa na nie reflektowały. Referował sprawę przywódca Bundu Rafes⁶⁾, gdyż bezpośrednio zainteresowani tj. przedstawiciele P.P.S. frakcji (Domosławski i Kamiński) i P.P.S. lewicy (Rutkiewicz i Matuszewski) nie mogli się pogodzić. Rzecz jasna, że Bund nie miał zamiaru popierać frakcji i Rafes w zręcznej mowie, w której umiejętnie operował liczbami i procentami, dowiódł, że jedno miejsce należy się burżuazji tj. Centrali Demokratycznej, a drugie proletariatu, tj. P.P.S. lewicy, drobnomieszczańska zaś P.P.S. frakcja może pozostać bez mandatu⁷⁾.

W ten sposób jeszcze przed ostatecznym rozstrzygnięciem sprawy

⁴⁾ Czy ostateczne robiono Komitetowi propozycję wejścia do Małej Rady—nie wiem.

⁵⁾ Od współpracy z Ukraińcami usunęła się z lewicy polskiej tylko „Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy”.

⁶⁾ Bund trzymał wówczas w swym ręku wpływy na społeczeństwo żydowskie. Dopiero skomunizowanie się Bundu wysunęło Poalej-Sjon z Silberfarbem na czele.

Historia mniejszości żydowskiej na Ukrainie jest już w znacznej mierze opracowana i może być wykorzystana w celach pomocniczych.

⁷⁾ Stan ten nie trwał jednak długo. Kiedy P.P.S. lewica zaczęła silnie bolszewizować i tylko dzięki sojuszowi z bolszewikami uzyskała w lecie 1917 r. mandat do rady miejskiej w Kijowie, a idąca sama P.P.S. frakcja (Centrala Demokratyczna poszła bowiem razem z całą prawicą) potrafiła także przeprowadzić swego kandydata, postanowiła zdobyć miejsce i w Centralnej Radzie. P.P.S. wystosowała do Centralnej Rady list, a rokowania z Ukraińcami powierzono Konradowi Łukasiewiczowi. Tym razem powiodło się i wytargowano 4 miejsca w Centralnej Radzie (Kazimierz Domosławski, Władysław Czyżewski, Antoni Chłopicki i Konrad Łukaszewicz) i 1 w Małej Radzie (Władysław Korsak). Będzie o tym jeszcze niżej mowa.

mandatów mniejszości w Centralnej Radzie, weszło do Małej Rady 2 Polaków: inż. Witold Matuszewski (zastępca Bolesław Iwiński), jako reprezentant P.P.S. lewicy i adw. Walery Rudnicki (zastępca Julian Poczętowski), jako delegat Centrali⁸⁾.

W dn. 24 lipca w sali Muzeum Pedagogicznego odbyło się pierwsze posiedzenie Małej Rady przy udziale mniejszości narodowych.

Donosząc o tym fakcie, gazety ukraińskie przypisywały mu znaczenie wprost epokowe. „Narodna Wola” w artykule „Jedność rewolucyjna” pisze: „to pierwsze posiedzenie w którym wzięli udział czynni delegaci Rosjan, Polaków i Żydów jest jakoby początkiem wielkiego współwyznawstwa rewolucyjnej demokracji Ukrainy”. Ta praca utworzy jedyny rewolucyjny front na którym zgodnie „zgrupują się wszelkie żywe siły narodów Ukrainy”. „W sprawach narodowościowych najważniejsze jest zadowolenie żywotnych potrzeb tych młodszych naszych braci, którzy żyją wspólnie z nami. Nigdzie jeszcze na świecie, ani w jednym kraju sprawy narodowościowe nie były rozstrzygane w takim stopniu, jak to uczynić chce demokracja ukraińska. I tu na Ukrainie wyłonił się być może, po raz pierwszy wielki czyn politycznego rozwiązania sprawy narodowościowej” — konkluduje „Narodna Wola”.

W tym samym duchu, w uniesieniu radosnym pisze „Nowa Rada”: „zebranych Ukraińców i reprezentantów mniejszości było zaledwie 50 osób, ale sam fakt, że na zasadach proporcjonalności, z pewną nadwyżką na rzecz mniejszości narodowościowych, rozpoczął swe posiedzenie wyższy organ krajowy, nabiera wielkiego, zasadniczego znaczenia, jako pierwowzór, jako zwiastun tych stosunków, które mają zapanować na Ukrainie, jako fakt porozumienia, który puszcza w niepamięć dawne porachunki, nieporozumienia, pretensje i waśnie. W historycznej odtąd sali, po raz pierwszy w Rosji w instytucji reprezentacyjnej, zadźwięczała stara mowa żydowska i dźwięki jej dziwne, nieznanne, przeciągłe i piękne zalewały Ukraińców, wabiły do siebie i wywoływały poważny nastrój świąteczny”... „Z wielkim współczuciem słuchali uczestnicy zebrania zapalnej mowy polskiej, w której nadmieniano o demokratycznych i niedemokratycznych organizacjach polskich, o tym, że demokracja polska, Polska Partia Socjalistyczna nie poszła do swoich po nazwy Rad Państwowych, ale za to chętnie idzie do ukraińskiej Rady Centralnej, która jest praw-

⁸⁾ Relacje: Kaz. Domosławskiego, Walerego Rudnickiego, Kaz. Różniewicza i innych oraz J. Ursyn-Zamarajew „Pierwsze walki”... Str. 20.

dziwym organem demokracji". I radośnie woła „Nowa Rada”: „Niech będzie święcony i wspominany w latopisach Ukrainy ten dzień, niech w pamięci naszych partyj politycznych i działaczy społecznych pozostanie on jako dzień przysięgi na wierność zasadzie jedności, zbratania i równości wszystkich narodów Ukrainy”.

Ten sam nastrój dawało się odczuć na każdym kroku. Przemawiającego na wszechukraińskim zjeździe robotniczym Kaz. Domoślawskiego zmuszono do używania języka polskiego.

Na entuzjazm ten olbrzymia część społeczeństwa polskiego odpowiadała, ze zrozumiałych względów, zimną rezerwą. Rozgoryczony jest Polski Komitet Wykonawczy i wszyscy jego zwolennicy. Dziennik Kijowski z dn. 27 lipca zaznacza, że „zorganizowana większość społeczeństwa polskiego na Ukrainie, łącząca wszystkie stany, dotąd nie ma reprezentacji w Ukraińskiej Radzie Centralnej” i że „ugrupowania polskie, do Rady tej powołane, reprezentować mogą tylko siebie”.

Z kolei rząd ukraiński postanowił utworzyć specjalny generalny sekretariat (ministerstwo) dla spraw narodowościowych, z podsekretarzami dla poszczególnych narodowości, w celu zorganizowania ich autonomii, oraz obrony przynależnych im praw⁹⁾.

Na odbytym w tym celu zebraniu doszło w dn. 27 lipca do uzgodnienia stanowisk Centrali Demokratycznej, P.P.S. frakcji rew., oraz P.P.S. lewicy i wysunięto kandydata na podsekretarza. Został nim adw. Włodzimierz Redlich, jeden z przywódców Polskiego Związku Politycznego, a wówczas porucznik i prezes pułkowego komitetu 4. pułku zapasowego w Żytomierzu¹⁰⁾. Kiedy okazało się jednak, że ten wyboru przyjąć nie może, wysunięto kandydaturę adw. Mieczysława Mickiewicza (Centrala Demokratyczna), którego też Central-

⁹⁾ Szulgin podaje datę 15 lipca, ale jest to data jego nominacji. Zdaje się jednak (tak przynajmniej podają główni moi relacjoniści), że wicesekretarze mianowani zostali później. Porównaj A. Choulguine — „L'Ukraine contre Moscou” 1917. Str. 124. Paryż 1938.

¹⁰⁾ „Dziennik Kijowski” str. 169 r. 1917.

Adw. Redlich w relacji swej zaznaczył, że poza momentami natury politycznej (wielka popularność jego wśród wszystkich ugrupowań lewicy polskiej i ukraińskiej, a nawet rosyjskiej) w wysunięciu jego kandydatury odgrywała także i chęć wyreklamowania go w ten sposób z wojska, aby mógł poświęcić się w większym stopniu sprawom politycznym. Jednak władze wojskowe nie chciały się pozbywać znanego z energii oficera.

na Rada zatwierdziła¹¹⁾. Generalnym sekretarzem został Aleksander Szulgin¹²⁾.

Fakt ten dotknął do żywego Polski Komitet Wykonawczy, który postanowił zbojkotować Wicesekretariat dla Spraw Polskich i za' jedyną krajową władzę mniejszości polskiej uznawać nadal tylko siebie¹³⁾.

Traktując Polski Komitet Wykonawczy, jako zwykłe stronnictwo, w imię sprawiedliwości, domagał się przedstawiciel Polskiej Centrali Demokratycznej, aby przy rozdziale mandatów do Centralnej Rady udzielono mu miejsca. Idąc częściowo na rękę temu żądaniu, przyznane ostatecznie Polakom 20 miejsc w Centralnej Radzie rozdzielono między P.P.S. lewicę — 7 mandatów, P.P.S. frakcję — 4 mandaty i Polską Centralę Demokratyczną — 9 miejsc. Z tych 9 mandatów miała Centrala oddać 4 najbardziej radykalnym społecznie elementom Polskiego Komitetu Wykonawczego. Ten jednak ogłosił, że ofiarowane sobie mandaty odrzuci, gdyż nie myśli „wyzbywać się roli i znaczenia, jakie mu większość społeczeństwa polskiego nadała”¹⁴⁾.

W wydanej odezwie „protestuje Polski Komitet Wykonawczy przeciwko naruszeniu zasady samookreślenia narodowego i narzuceniu polskiemu narodowi na Rusi reprezentantów nie wybranych wolą większości ogółu polskiego”. Naród polski na Rusi bowiem „stworzył na zgromadzeniu przedstawicieli organizacyj polskich w dn. 1—

¹¹⁾ M. Mickiewicz urodził się w r. 1879 w Kamieńcu Pod., tam uczęszczał do szkół średnich. Studiował prawo na uniwersytecie w Kijowie i Odessie. Jako adwokat przysięgły osiadł w Kijowie. Był prezesem zakonspirowanego Polskiego Towarzystwa Oświaty Ludowej. W r. 1914 był jednym z założycieli niepodległościowego Polskiego Związku Politycznego. („Gazeta Narodowa” Nr 9 z r. 1917).

¹²⁾ Aleksander Szulgin po ukończeniu szkoły średniej w Kijowie, wstąpił na wydział przyrodniczy uniwersytetu kijowskiego, a następnie, studiując pod okiem Karejewa, ukończył wydział historyczno-filozoficzny uniwersytetu petersburskiego. Jest autorem wielu prac z zakresu historii i publicystyki. Był on członkiem partii socjal-federalistów. Ojciec jego również historyk, przyjaciel Dragomanowa, zesłaniec polityczny na Syberię w latach 1876—1878 był w Szwajcarii w bliskich stosunkach z polską emigracją.

¹³⁾ Wiarą we własne siły mogły Pol. Komitet Wykonawczy natchnąć wybory do rady miejskiej Kijowa: tzw. „Polska lista wyborcza” otrzymała 6 mandatów (M. Pietkiewicz, D. Szarzyński, A. Drogoszewski, Krzyżanowski, M. Zarebski, Smólski). Tymczasem P.P.S. frakcja tylko 1 (Kaz. Domosławski) i P.P.S. lewica — 1 (Jan Białogrodzki).

¹⁴⁾ „Dziennik Kijowski” Nr 185 i 187 r. 1917.

7 lipca 1917 roku swą autonomię wewnętrzną. Polacy chcą zgodnego współżycia ze wszystkimi narodowościami na Rusi, a przede wszystkim z narodem ukraińskim, ale za pierwszy obowiązek uważają obronę swojej autonomii wewnętrznej i bronić jej będą". Wychodząc z tego założenia, Pol. Komitet Wykonawczy stwierdza, że „naród polski nie ma dziś wyrażającej wolę ogółu narodowego polskiego reprezentacji w Centralnej Radzie ukraińskiej i jej Komitecie Wykonawczym, a wobec tego pozbawiony jest możności brania udziału w budzącej się autonomii kraju". W tych warunkach Pol. Komitet Wykonawczy uznaje, że „dopóki ogół polski będzie pozbawiony należytej reprezentacji, nie ma żadnych gwarancyj, że w powstającej autonomii znajdą Polacy sprawiedliwe zabezpieczenie swych kulturalno-narodowych praw i potrzeb, a wobec tego ogół polski na Rusi zmuszony jest do czasu zachować wszystkie swe moralne i materialne siły wyłącznie na własne cele i potrzeby i będzie wszelkimi środkami bronić praw narodu polskiego na Rusi, a w szczególności jego wewnętrznej autonomii, która jest konsekwencją zasady samookreślenia narodowego" ¹⁵⁾.

Roman Knoll w „Gazecie Narodowej” ¹⁶⁾ poddał ostrej krytyce stanowisko Polskiego Komitetu Wykonawczego, kończąc swój artykuł stwierdzeniem swej wiary w to, że ogół polski nie da się stale obalamować mglistą frazeologią nar. demokracji i w budowie politycznego ustroju kraju nie poważni się z narodem ukraińskim. Komitet nie ograniczył się do protestu. Do Kiereńskiego wysłano depezę, w której wyjaśniono, że Mickiewicz nie reprezentuje Polaków, gdyż powołany został przez Centralną Radę z „nielicznej grupy zwanej Centralą Demokratyczną” ¹⁷⁾. To posunięcie było dla rządu ukraińskiego specjalnie bolesne. W tym czasie bowiem toczyły się w Piotrogradzie pertraktacje w sprawie autonomii Ukrainy, w których poparcie Polaków było dla Ukraińców wielce pożądane, toteż w rokowaniach tych brał udział i wicesekretarz dla spraw polskich Mickiewicz.

Bardzo powierzchownie ocenilibyśmy wypadki, gdybyśmy usiłowali twierdzić, że tylko urażone ambicje kierowały Narodową Demokracją, bo jej to przecież wpływy były w Pol. Komitecie Wykonawczym decydujące. O wiele głębsze istnieć musiały powody tego

¹⁵⁾ „Z dokumentów chwili” LXVII, str. 31.

¹⁶⁾ „Gazeta Narodowa” Nr 3 z r. 1917.

¹⁷⁾ „Dziennik Kijowski” Nr 184 r. 1917.

wybitnie opozycyjnego jej stanowiska. Zamarajew, uznaje widoczną „antyukraińskość” narodowej demokracji, tłumacząc to ukraińskim „zwrotem w stronę pokoju” i „jej wiarą w potęgę Rosji”¹⁸⁾. Nie wydaje mi się ten fakt aż tak bardzo ważny i owa „antyukraińskość” o jaką się narodową demokrację posądza, nie jest rzeczą tak prostą. Nie można też przeceniać faktu, jaki wysuwa baczny obserwator i współautor ówczesnych wypadków, b. wiceminister i członek Centralnej Rady W. Rudnicki. Sądzi on, że dopiero przyjazd Stanisława Grabskiego wprowadził ukrajinofobię, kiedy animozje galicyjskie chciał on przenieść na zupełnie inny teren¹⁹⁾.

Nie mamy żadnych przesłanek do twierdzenia, że wystąpienia Bartoszewicza, Jezierskiego i in. były nieszczerze. Ludzie ci sympatyzowali z narodowym ruchem ukraińskim i było to całkiem zrozumiałe. Coraz bardziej jednak radykalizujące się masy rewolucyjne musiały ich napawać niechęcią. Po stronie tych mas stawał „esdecko-eserowski” rząd ukraiński, za ich stanowiskiem opowiadała się lewica socjalistyczna, z tych czy innych względów, przychylną neutralność zachowywali polscy demokraci. Stanowisko Narodowej Demokracji, zwłaszcza na Ukrainie, ze względu na specyficzną strukturę polskiego społeczeństwa, musiało być z natury rzeczy, po drugiej stronie bariery. W tej sytuacji Narodowa Demokracja nie mogła mieć zaufania do demokratycznych kierowników polskiego wicesekretariatu. Nie mogła też zgodzić się ze swego punktu widzenia na zepchnięcie Polskiego Komitetu Wykonawczego z kierowniczego stanowiska; żadne połowiczne wyjście nie było tu do pomyślenia²⁰⁾.

Przyznać trzeba, że były próby rozwiązania tej kwestii. Most porozumienia między Komitetem a wicesekretariatem starał się przerzucić prof. Henryk Ułaszyn. Odbywały się wspólne narady, do kompromisu jednak nie doszło, gdyż żadna ze stron nie myślała zrezygnować ze swych faktycznych czy urojonych uprawnień²¹⁾.

W tych warunkach trudną i niewdzięczną była rola ludzi, którzy zgodnie pragnęli pracować z ukraińską większością.

¹⁸⁾ J. Ursyn-Zamarajew „Pierwsze walki...”, str. 22.

¹⁹⁾ Rudnicki — Relacja.

²⁰⁾ „Jakże inaczej wyobrażał sobie naród polski Wolną Ukrainę, której szczerze po bratersku życzył lepszej przyszłości i rozwoju” — powie z goryczą prezydium P.K.W. w swej odezwie do ludności polskiej w listopadzie 1918 r. Myśl ta nurtowała już wcześniej zapewne umysły niedawnych entuzjastów niepodległości Ukrainy. (Akta przedstawicielstwa na Ukrainie).

²¹⁾ Relacja prof. Kalinowskiego.



Ciekawe jest, że, wbrew oczekiwaniom, organizacja wicesekretariatu spoczęła całkowicie w ręku Pol. Centrali Demokratycznej, a nie, zdawałoby się, najbliższych rządowi ukraińskiemu — socjali-
stów. Najprawdopodobniej socjaliści osłabieni walkami wewnętrznymi między „inteligentami” a robotnikami, niepopularni wśród większości ogółu ludności polskiej, nie czuli się na sile sprostać zadaniu. Demokraci, zgodni z nimi w polityce narodowościowej, liczyć mogli na żywszy oddźwięk, a ich programowe granice przyszłej Polski, całkowicie szły po linii dążeń ukraińskich.



RELACJE, LISTY I DOKUMENTY

WYWIAD FELIKSA PERLA Z JÓZEFEM PIŁSUDSKIM.

Historia Polskiej Partii Socjalistycznej, która zmuszona była prowadzić swą pracę w podziemiach możliwie ścisłej konspiracji, nie doczekała się do tej pory wyczerpującego i obiektywnego opracowania naukowego. Przyczyną tego zjawiska jest całkowity prawie brak podstawowych materiałów. Brak ten tłumaczy się względami natury konspiracyjnej, tym „krecim życiem, bez słońca jawności” — jak powiedział w przedmowie do „Materiałów do historii P.P.S.” Aleksandra Malinowskiego — Józef Piłsudski. Nad organizacją tą, jako nielegalną wisiała ciągła obawa i groźba rozbicia jej przez władze rosyjskie. Nie co innego więc, jak tylko ta właśnie obawa zamykała możliwości utrwalenia jakichkolwiek śladów działalności, czy to władz, czy też członków P.P.S. Najdrobniejszy bowiem dowód „przestępstwa” w postaci mało znaczącej notatki lub zapiski, mógł w konsekwencji swej spowodować fatalne następstwa. Zrozumiałym się staje fakt, że P.P.S. pracując w zupełnie wyjątkowych warunkach, nie mogła, nie tylko prowadzić systematycznej kroniki swojej działalności, nie tylko utrzymywać w należytym porządku dokładnej ewidencji swoich członków, ale wprost przeciwnie zakazywała notowania czegokolwiek, pozostającego w ścisłym związku z osiągnięciami istotnymi. Wskutek tego bardzo wiele faktów o zasadniczym znaczeniu, prac, zamierzeń, poświęceń i ofiar zaginęło w niepamięci ludzkiej i nie doszło do wiadomości szerszego ogółu. Z drugiej strony, to właśnie krecie życie wyworzyło wokół partii atmosferę tajemnicy, która ukrywała zarówno ujemne, jak i dodatnie strony jej działania, przyczyniając się tym samym do stwarzania zarówno legend, jak i co gorsza plotek.

Nie znaczy to jednak, by nie istniały w ogóle żadne materiały historyczne, pozwalające na rekonstrukcję przeszłości P.P.S. Istnieją, nieliczne co prawda, zespoły archiwalne, w skład których wchodzi

materiały gromadzone na wyłączne ryzyko ich właścicieli. Są one bardzo fragmentaryczne, czasami nawet wprost ułamkowe. Również w kilku archiwach państwowych na terenie b. zaboru rosyjskiego znaleźć można bogate zbiory, zawierające akta żandarmskie, izb sądowych, względnie władz administracyjnych. Są to wszystko elementy jednostronne, rozpatrujące kwestie związane z ruchem socjalistycznym na płaszczyźnie szeroko pojętych interesów czynników oficjalnych.

Strona przeciwna, a więc w tym wypadku zainteresowana, dysponuje również nieznacznymi materiałami historycznymi. Zachowało się wprawdzie mnóstwo druków agitacyjnych, wiele odezw, pism periodycznych, czy broszur, ale przekazują one jedynie zewnętrzne objawy działalności, nie pozwalając w żadnym wypadku na ujawnienie istoty spraw, nie umożliwiając wyczucia żywego tętna życia partyjnego, nie stanowiąc pomocy w odmalowaniu żywiołowych nastrojów, czy wręcz spontanicznych odruchów.

Szukać uzupełnienia braków można jedynie w pamięci uczestników i świadków tych niecodziennych wydarzeń. Wielu spośród nich zapełniło mogiły cmentarne, nie zdążywszy żywego słowa przelać na papier.

Taki stan rzeczy doprowadził do tego, że mnóstwo zagadnień pozostało do tej pory nierozwiązanych i wiele znaków zapytania stoi przy kwestiach niejednokrotnie zasadniczych. Szczególnie dotkliwe luki dają się zauważyć w początkowym okresie dziejów P.P.S. To też każdy, chociażby najmniejszy przyczynek, rzucający światło na mroczne odcinki pracy niepodległościowej P.P.S. posiada zasadnicze znaczenie.

Wywiad, którego treść podajemy poniżej, pochodzi z 1910 roku. Stanowić on miał jeden z elementów pomocniczych przy opracowywaniu historii P.P.S. przez jednego z jej założycieli a zarazem autora 1. tomu „Dziejów ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim” — Feliksa Perla. Przygotowując do druku tom 2-gi wspomnianej historii, mającej zasięgiem swoim objąć pierwsze lata istnienia P.P.S. Perl natrafił na braki w materiałach źródłowych i zwrócił się do szeregu swoich przyjaciół, wybitniejszych działaczy P.P.S. z najwcześniejszego jej okresu. Między innymi udzielił mu zasadniczych wiadomości i Józef Piłsudski, jeden z twórców niepodległościowego ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim.

Informacje te, dotyczyły początków pracy P.P.S. na Litwie, oraz rozwoju organizacji w ciągu najbliższych kilku lat po jej powstaniu.

Podkreślić należy, że w stosunku do dotychczasowej wiedzy o początkach P.P.S. stanowią one duży krok naprzód. Pomniejsza trochę znaczenie ich fakt, że zanotowane one zostały w dużych skrótach. Mimo tego braku mają one dla historyka wartość pierwszorzędą. Prócz bowiem potwierdzenia dotychczasowych wiadomości, przynoszą kilka nowych danych. Do nich zaliczyć należy wiadomości o wyjeździe Piłsudskiego do Petersburga i Orła w celu nawiązania ściślejszego kontaktu z wybitnymi działaczami rosyjskich partii rewolucyjnych. Następną, o zasadniczym znaczeniu wiadomością, jest informacja z szczegółowym wyliczeniem osób, wchodzących w skład pierwszego Centralnego Komitetu Robotniczego, o którym dotąd w literaturze nie było wzmianki.

Wywiad ten zanotowany został na 5 kartkach formatu listu zwykłego, zapisanych ołówkiem zwyczajnym, ręką Feliksa Perla. Otrzymanie go zawdzięczamy uprzejmości wdowy po zmarłym Feliksie, Teresy Perlowej, która na kilka dni przed swoją śmiercią przekazała go do Archiwum P.P.S., znajdującego się przy Instytucie Józefa Piłsudskiego.

Wywiad poniższy przygotował do druku i w przypisy zaopatrzył Stanisław Giza.

Wywiad u Ziuka ¹⁾.

W styczniu ²⁾ widział się z Mendelsonem ³⁾. Mendelson już był i zawiązał kółko — Ziuk przyjechał później. Głównie ciceronował Zajkowski ⁴⁾. Ziuk powiedział, że się namyśli i pertraktował później z Zajkowskim i G. Rodziewiczem ⁵⁾. Korespondował do Przedświt ⁶⁾ jako Rom. ⁷⁾. Do grupy należeli: Ziuk, Gabryś ^{7a)}, Zajkowski, Bielak ⁸⁾,

¹⁾ Zdrobniałe imię Józefa Piłsudskiego, używane głównie przez jego przyjaciół.

²⁾ 1893 roku.

³⁾ Stanisław Mendelson, podówczas rzecznik hasła niepodległości w programie i jeden z założycieli P.P.S. Później wystąpił z partii.

⁴⁾ Ludwik Zajkowski, pomocnik adwokacki, członek grupy socjalistycznej w Wilnie.

⁵⁾ Gabriel Rodziewicz, student uniwersytetu Kijowskiego, czynny w ruchu socjalistycznym na terenie Wilna.

⁶⁾ Przedświt — czasopismo teoretyczne P.P.S. — podówczas organ Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich, wychodzący w Londynie pod redakcją Witolda Jodki.

⁷⁾ Był to skrót słowa „romantyk”.

^{7a)} Gabriel Rodziewicz.

⁸⁾ Stefan Bielak, z pochodzenia Tatar, podobnie jak Piłsudski należał do grupy litewskiej P.P.S.

Profesor⁹⁾ i Prof[esor]owa, Bronisław Urbanowicz¹⁰⁾ Buraczewski¹¹⁾, Leon Michałowski¹²⁾, Błażejewski¹³⁾ — luźnie związany. Urbanowicz z Błażejewskim prowadził robotę wśród robotników — ta robotą po zasypaniu Urb[anowicza] zmniejszyła się. Później pracowali Michałowski i Błażejewski. W zarządzie¹⁴⁾ Ziuk, Gabryś, Zajkowski. Przyjechał S. W.¹⁵⁾ na wiosnę 93 r. W czerwcu 93 r. zjazd Petersburg (Michalski¹⁶⁾ i Pękosławski¹⁷⁾, z Warszawy (Wojtek)¹⁸⁾, z Wilna (Zajkowski i Ziuk). Na Belwonce na Kamieniu: 1) „Stosunek do rew[olucjonistów] ros[yjskich]” — ułożył Ziuk. 2) Pismo i drukarnia — drukarnia ryska przechowywana w Wilnie — czcionki stały się podstawą drukarni. 3) Zjazd międzynarodowy. Inne sprawy nie były rozpatrywane. Petersburska grupa z dawnego Związku Młodzieży Socjalistycznej — z początku strzegła swej odrębności — podobnie jak Ryzanie¹⁹⁾. Zewnętrzni przedstawiciele mieli Zarząd, do którego reszty nie chciano dopuszczać. Mendelson ich zachęcił [do wstąpienia] do P.P.S. jak i Rygę. W październiku Zajkowski był aresztowany i wtedy Ziuk był już pół-legalny. Stosunki z „Narodnym Prawem”²⁰⁾ — Ziuk jechał do Petersburga i Orła — były gadania programowe, na podstawie uchwały — ale nie doszło do skutku. Chociaż są zwolennikami niepodległości, nie mogą się angażować.

⁹⁾ Pseudonim Dominika Rymkiewicza, członka P.P.S. w Wilnie.

¹⁰⁾ Bronisław Urbanowicz, student Instytutu Technologicznego w Petersburgu, później działacz w Wilnie i na emigracji.

¹¹⁾ Leon Buraczewski, student, członek petersburskiej grupy socjalistycznej, następnie członek P.P.S. Po wystąpieniu z P.P.S. znany był w kołach socjalnodemokratycznych.

¹²⁾ Leon Michałowski, robotnik stolarski, członek P.P.S., oddawał duże usługi partii w pracy kolporterskiej nielegalnych druków.

¹³⁾ Maciej Błażejewski, stolarz, powstaniec 63 roku i były proletariatyk.

¹⁴⁾ Rozumie się grupy socjalistów polskich w Wilnie.

¹⁵⁾ Stanisław Wojciechowski, wybitny działacz P.P.S. i późniejszy Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

¹⁶⁾ Michalski, student techniki w Petersburgu, pracował w Wilnie w organizacji socjalistycznej, skąd zbiegł przed aresztowaniem.

¹⁷⁾ Stanisław Pękosławski, kolega Michalskiego z Instytutu Technologicznego w Petersburgu.

¹⁸⁾ Pseudonim Stanisława Wojciechowskiego.

¹⁹⁾ Studenci Polacy, przebywający w Rydze.

²⁰⁾ Narodne prawoorganizacja rosyjska, powstała jako odłam z innej rosyjskiej organizacji rewolucyjnej tzw. Narodnej Woli.

Autorem broszur narodoprawców był Bogdanowicz Anioł²¹⁾ z Permskiej guberni — szedł najdalej w kwestiach narodowościowych. Z Narodnym Prawem stanęła umowa dotycząca spraw technicznych dotycząca drukarni w Smoleńsku i bi^{21a)}. W Orle Ziuk rozmawiał z Natansonem²²⁾ i Tiutczewem²³⁾, w Petersburgu z Bogdanowiczem.

We wrześniu przyjechał S.W.²⁴⁾ i zorganizował niby 1-szy C.K.R.²⁵⁾ (składał się z J. Strożeckiego²⁶⁾, Janka Steckiego²⁷⁾ i z Jul. Grabowskiego²⁸⁾ — Ziuk jako przedstawiciel Litwy siedzieć miał w Wilnie i czas poświęcać na rozjazdy. Zrobiono przy tym zastrzeżenie żeby ukrywać przed nimi technikę²⁹⁾. S.W. sceptycznie zapatrywał się na ten skład, żeby Ziuk bywał jako godząca osobistość. W Warszawie bywał raz na miesiąc. To przetrwało mniej więcej do II zjazdu³⁰⁾. Stecki usunął się wcześniej, na posiedzeniach milczał — kłócili się Żul³¹⁾ z Jankiem Strożeckim.

Na II zjeździe było 11 osób: Ziuk, Michał³²⁾, Bielak, Janek Stro-

²¹⁾ Bogdanowicz Anioł, publicysta rosyjski a zarazem jeden z wybitnych rewolucjonistów, członek partii Narodnej Woli. Był jednym z założycieli Narodnego Prawa. Od roku 1894 był redaktorem pisma „Bicz Boży”.

^{21a)} Skrót na oznaczenie bibuły czyli nielegalnych druków.

²²⁾ Marek Natanson, rewolucjonista rosyjski, jeden z założycieli tajnego stowarzyszenia „Ziemia i Wola”.

²³⁾ Mikołaj Tiutczew, rewolucjonista rosyjski, podobnie jak Bogdanowicz był jednym z organizatorów Narodnego Prawa.

²⁴⁾ Stanisław Wojciechowski.

²⁵⁾ Centralny Komitet Robotniczy, władza kierownicza i wykonawcza P.P.S. — władza kolegialna.

²⁶⁾ Jan Strożecki, podówczas praktykant adwokacki, jeden z pierwszych wybitniejszych działaczy P.P.S., jeden z redaktorów nielegalnego organu P.P.S. Robotnika. Zesłany na Syberię, wrócił do kraju, do pracy w partii. Po rozłamie w 1906 r. pozostał w szeregach P.P.S. Lewicy.

²⁷⁾ Jan Stecki, ekonomista, członek Związku Młodzieży Polskiej. Po wystąpieniu z P.P.S. przeszedł do Ligi Narodowej a potem do Narodowej Demokracji, w której wysunął się na czoło.

²⁸⁾ Julian Grabowski, lekarz, po wyjściu z partii przeszedł do Ligi Narodowej.

²⁹⁾ Strona pracy partyjnej dotycząca kolportażu druków nielegalnych i środków ich powstawania.

³⁰⁾ II zjazd P.P.S. odbył się w pierwszej połowie 1894 r. w Warszawie.

³¹⁾ Julian Grabowski.

³²⁾ Aleksander Sulkiwicz, jeden z uczestników zjazdu paryskiego z listopada 1892 r., na którym uchwalono program P.P.S. Jako urzędnik komory celnej w Wierżbołowie na granicy rosyjsko-pruskiej, zorganizował w sposób mistrzowski przemysł nielegalnych druków partyjnych.

żecki, K. Pietkiewicz³³), Żul, Paulin Klimowicz³⁴) (zecer), Bron. Chrzanowski³⁵), Naake Nakęski³⁶), Wojtek³⁷) (Warszawa i Wilno) i Golde³⁸). Do C.K.R. wybrani Janek, Żul, Paulin Klimowicz i Ziuk, zastępcy K. Pietkiewicz i Naake. Zjazd odbył się w Warszawie. Właściwie od tego zjazdu datuje się rozwój organizacyjny. Najważniejsze fache: mularze (zdrajca Bilski i Karczewski) i zecerzy (Klimowicz). Istniała kasa zecerska — wzajemnej pomocy dla aresztowanych. W Radomiu od początku był Władysław Młocki (pseudonim Józef) urzędnik kolejowy (zabity w Warszawie podczas rewolucji w 1905 r.). Ziuk bywał w Radomiu od r. 95. Młocki był m. z.³⁹) na III zjeździe⁴⁰) 95 r. latem.

Na posiedzeniu C.K.R. były częste kłótnie Żula z Jankiem o przymiotnik „polski”.

Wśród robotników pracowali: Strożecki, Pietkiewicz, Etką⁴¹). Maria⁴²) od początku była technikiemką.

Drukarnia. Pierwszy numer⁴³) w całości zredagowany był przez Warszawę. Drukowanie z początku nie udawało się, gdyż nie umiano urządzić maszyny. Pracowano tylko w nocy (przez romantyzm). Pierwszy numer wyszedł w lipcu (30 czerwca s. s.) w Warszawie. 11 lipca przewieziono go do Warszawy (pierwsze 400 egz.).

³³) Kazimierz Pietkiewicz, jeden z pierwszych redaktorów Robotnika, aresztowany i zesłany w głąb Syberii.

³⁴) Paulin Klimowicz, aresztowany, został zwolniony z więzienia pod warunkiem, że przejdzie na służbę rosyjskiej policji. Wyszedłszy na wolność uciekł zagranicę i zawiadomił o wszystkim władze partyjne. Z Paryża wyjechał do Stanów Zjednoczonych A. P., gdzie pracował w szeregach P.P.S. Lewicy.

³⁵) Bronisław Chrzanowski, młody literat, gorący zwolennik sprawy niepodległości, autor szeregu odezw i artykułów umieszczanych w Robotniku i innych pismach partyjnych.

³⁶) Wacław Naake-Nakęski, po aresztowaniu w 1894 r., zwolniony, wyemigrował na Śląsk. Potem był członkiem Ligi Narodowej i Narodowej Demokracji.

³⁷) Stanisław Wojciechowski.

³⁸) Estera Golde, lekarka, zasłużona agitatorka na emigracji i w zaborze pruskim. Po rozłamie należała wraz z mężem swoim Janem Strożeckim do P.P.S. Lewicy.

³⁹) Mężem zaufania.

⁴⁰) III zjazd P.P.S. odbył się dnia 29 czerwca 1895 w Wilnie.

⁴¹) Estera Golde.

⁴²) Maria Paszkowska, znana jako energiczna kierowniczką kolportażu nielegalnych druków P.P.S. później jako łącznik pomiędzy partią a więźniami politycznymi.

⁴³) Pierwszy numer Robotnika nosi ogólną datę „czerwiec 1894”.

Janek ⁴⁴) po pierwszym numerze wsypał się — został K. Pietkiewicz. Następne numery redagował właściwie Pietkiewicz, uzupełniał Ziuk. Tak było z 6 numerami. Od 7 numeru artykuły pisali Ziuk (głównie) i Wojtek — korespondencje, Wojtek dużo kroniki. W Wilnie drukarnia mieściła się w 2 mieszkaniach ⁴⁵).

Trzeci zjazd (pod Wilnem) po przyjeździe Wojtka na stałe. Obecni byli: Ziuk, Wojtek, Kulczycki ⁴⁶), Podwiński ⁴⁷), Michał, Bielak. Wybrani do C.K.R. Kulczycki, Ziuk i Wojtek. Kulczycki przez Portnoja zakładał organizacje robotnicze—pod względem P.P.S.-owym nieokreślone zbytnio.

IV zjazd ⁴⁸) 97 rok. Obecni Jowisz ⁴⁹), Ziuk, Wojtek, Wład. Malinowski ⁵⁰) (przystąpił do organizacji w końcu 95 roku), Golde, Młocki, Tytus ⁵¹), Woszczyński ⁵²), Żmigrodzki ⁵³), Gaudenty ⁵⁴), Pękostawski (nieobecni Bielak, Profesor). Do C.K.R. wybrani Ziuk, Wojtek, Władek i ? ⁵⁵).

⁴⁴) Jan Strożecki.

⁴⁵) Drukarnia w Wilnie mieściła się (co zostało do tej pory stwierdzone) przy ul. Aleksandrowskiej (dziś Piłsudskiego).

⁴⁶) Ludwik Kulczycki, jeden z twórców tzw. „II Proletariatu”, następnie członek P.P.S. W roku 1900 po aresztowaniu Piłsudskiego utworzył nową organizację P.P.S. Proletariat.

⁴⁷) Wacław Podwiński, student uniwersytetu, zagrożony aresztowaniem wyjechał zagranicę, biorąc czynny udział w pracach Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich. Potem należał do grupy Kulczyckiego P.P.S. Proletariat.

⁴⁸) IV zjazd P.P.S. odbył się w listopadzie 1897 roku w Warszawie.

⁴⁹) Pseudonim Witolda Jodki, uczestnika zjazdu paryskiego i redaktora Przedświtu.

⁵⁰) Imię Malinowskiego było Aleksander. Władek, używano jako pseudonimu. Malinowski był absolwentem Instytutu Technologicznego w Kijowie. Aresztowany został równocześnie z Piłsudskim w 1900 r., zdołał jednak zbiec z drogi w czasie transportu na Sybir. Znany jako autor „Materiałów do historii P.P.S.”.

⁵¹) Tytus Filipowicz, uczeń szkoły sztygarów w Dąbrowie Górniczej, schronił się zagranicę przed aresztowaniem. Po powrocie w 1905 r. pracował w kraju w robocie agitacyjnej.

⁵²) Zbigniew Woszczyński, zecer, przeżył kilka lat na Syberii.

⁵³) Stanisław Żmigrodzki, student politechniki, pracował później głównie na emigracji.

⁵⁴) Pseudonim Henryka Sarcewicza, lekarza, kierownika roboty P.P.S. na terenie Białegostoku.

⁵⁵) Czwartego członka C.K.R. nie udało się ustalić — prawdopodobnie nie było go.

W Rydze widywał się Ziuk z Sawickim ⁵⁶⁾, Czaplickim ⁵⁷⁾, Karwowskim ⁵⁸⁾. Ryżanie uważali siebie za coś odrębnego — najbardziej partyjnym był Sawicki.

W Moskwie: Bitner ⁵⁹⁾, Rożnowski ⁶⁰⁾ — najwybitniejsi w roku 95 i później.

W Kijowie: Purchawka ⁶¹⁾ i Kobyłecki ⁶²⁾.

W ostatnim zarządzie był Gawęda ⁶³⁾.

Zmigrodzki w organizacji robotniczej bardzo dużo robił. Wł. Malinowski zorganizował pierwszy właściwy Kom. Rob. Wojtek zawiązywał stosunki i osobiście docierał i oddziaływał oraz zachęcał do roboty. Malinowski więcej chciał stworzyć org.

Tatarow ⁶⁴⁾ [pozyskany] przez Gintę ⁶⁵⁾ — wysłany z kijowskiego uniwersytetu pod dozór policji do Warszawy. Po wypuszczeniu zaproponował, że będzie pomocnym w Rosji — Ziuk dał mu instrukcje z założenia jednej partii, żeby pojechał i zebrał zaraz po zjeździe rozsypaną partię. Tatarow objechał Rosję i orzekł, że trzeba założyć nową partię. Ziuk mówił, że nie możemy popierać nowej partii — Władek, żeby całą siłą popierać. Stało na tym, żeby pomóc, Tatarowowi, ale studentom naszym nie pozwoliliśmy wchodzić do tej partii.

Na uniwersytecie charkowskim ⁶⁶⁾ wciągnięto Ziuka do narodowolczeskich ⁶⁷⁾ kółek — żądał wraz z innymi Wilnianami uwzględ-

⁵⁶⁾, ⁵⁷⁾, ⁵⁸⁾ Brak dokładniejszych danych.

⁵⁹⁾ Brak danych osobowych.

⁶⁰⁾ Kazimierz Rożnowski, student uniwersytetu w Moskwie, później pracował jako zecer w nielegalnej drukarni Robotnika w Łodzi. Został aresztowany w tym samym czasie co i Józef Piłsudski, i następnie zesłany do Wierchojańska.

⁶¹⁾ Przechwisko Władysława Mecha.

⁶²⁾ Brak szczegółów personalnych.

⁶³⁾ Pseudonim Kowalskiego, działacza P.P.S. w Zagłębiu Dąbrowskim.

⁶⁴⁾ Mikołaj Tatarow, znany w kołach P.P.S.-owych jako „Książę”, był synem popa prawosławnego. Oddawał duże usługi P.P.S. Później został prokuratorem w partii socjalistów-rewolucjonistów i z wyroku tej partii został zgładzony przez Sawinkowa.

⁶⁵⁾ Pseudonim Marii Paszkowskiej.

⁶⁶⁾ Józef Piłsudski studiował na uniwersytecie charkowskim medycynę, jednakże tylko przez okres jednego roku szkolnego.

⁶⁷⁾ Kółek „Narodnej Woli” rosyjskiej organizacji rewolucyjnej, która przeprowadziła szereg aktów terrorystycznych.

nienia litewskich i białoruskich stosunków. W Wilnie należał do stowarzyszenia Spójnia⁶⁸). Włodzimierz Zubow⁶⁹) porucił odebrać transport od Jogichesa⁷⁰) — pierwszy transport soc. bibuły „W obronie prawdy”⁷¹), „Młot”⁷², „Wiedza to potęga”⁷³), nr „Walki klas”⁷⁴). Część miał do rozporządzenia. Zapoznał się z kilku robotnikami z Warszawy zesłanymi. Zaczęli studiować Marxa⁷⁵).

⁶⁸) Było to gimnazjalne kółko o charakterze samokształceniowym.

⁶⁹) Rosjanin — członek polskiej organizacji socjalistycznej. Proletariat (w latach 1882—1884) później sympatyzował z ruchem polskim, ale nie pps-owym a socjalno-demokratycznym. Spokrewniony był podobno z Józefem Piłsudskim.

⁷⁰) Leon Jogiches, czołowy przedstawiciel ruchu socjalno-demokratycznego, później mąż znanej Róży Luxemburg.

⁷¹) Broszura zawierająca mowę Wilhelma Liebknechta, wygłoszoną w 1871 r.

⁷²) Pseudonim literacki Szymona Diksztajna. Tu mowa o jego broszurze pt.: „Kto z czego żyje”.

⁷³) Tytuł broszury Wilhelma Liebknechta — dokładny jej tytuł brzmiał: „Wiedza to potęga, potęga to wiedza”.

⁷⁴) Organ Polskiej Partii Socjalno-Rewolucyjnej (Proletariatu) i tzw. „II Proletariatu”, wychodzący w Genewie.

⁷⁵) Mowa o dziele Karola Marxa „Kapitał”. Znajomość tej pracy obowiązywała moralnie każdego inteligentnego socjalistę.

LISTY JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO*)

Nr. 126.

Do Komisji Konspiracyjnej Z. Z. S. P. w Londynie¹⁾.

[List na ark. pap. list. nielin. o rozm. 20,5 × 13 cm].

6/X.[1898 r.]

Kochani! 1) Posyłam 75 rs.²⁾ na rozporządzenia Kazimierza³⁾, który zaraz po otrzymaniu tego listu niech się wybiera w drogę. Wysyłam również list do Jowisza⁴⁾, żeby się starał o pasek⁵⁾ dla Kazimierza, i to pasek, mogący służyć na czas dłuższy, a nie tylko na przejazd. Boję się tylko, czy list mój zastanie jeszcze Jowisza na miejscu, czy nie wyjechał on już na swą wieczną dysertację do Szwajcarii. Z przyjazdem Kazimierza ma się odbyć w ten sposób. Albo⁶⁾, jeżeli będzie prędko gotowy pasek u Jowisza, to Kazimierz go użyje, albo też w razie, gdyby sprawa się zwlekała, użyję następującego sposobu. Mamy teraz wypuścić jednego chłopca (o którym niżej) do was. Otóż urządziłbym się w ten sposób: wziąłbym ten sam pasek, za którym wyjeżdżał Kazimierz, i facet by wyruszył z nim⁷⁾, oddał

*) Patrz „Niepodległość”, tom XII, str. 147—152, 302—312, 456—466; tom XIII, str. 127—152, 297—311, 451—475; tom XIV, str. 129—147, 287—303, 448—463; tom XV, str. 117—136, 243—260, 418—433; tom XVI, str. 374—379, 495—512; tom XVII, str. 34—74, 201—230, 354—369; tom XVIII, str. 67—75, 205—241, 345—378; tom XIX, str. 97—106, 233—245, 403—417; tom XX, str. 117—145.

¹⁾ Komisja Konspiracyjna — zob. wyżej przypis 1 do listu nr. 122.

²⁾ Rubli.

³⁾ Kazimierz — pseudonim Aleksandra Malinowskiego, zob. wyżej przypis 9 do listu nr. 123.

⁴⁾ Jowisz — pseudonim Witolda Jodki-Narkiewicza, zob. wyżej przypis 4 do listu nr. 122.

⁵⁾ Paszport.

⁶⁾ W oryginale listu przed wyrazem: „Albo” skreślono: „Jeż. Mono”.

⁷⁾ W oryginale listu pierwotnie: „za nim”.

Kazimierzowi, a ten by z nim powrócił. Bardzo być może, że trzeba będzie użyć tego środka. Niech więc Kazimierz po przyjeździe do Jowisza zaczeka jeszcze jednego listu z ostateczną decyzją. Swoją drogą Jowisz niech się stara o pasek z dłuższym terminem, gdyż zawsze się to przydać może, a jeżeli będzie to pasek inteligencki, to i bardzo, tak, że warto będzie osobno po niego pojechać. Niech Kazimierz zabiera wszystkie swoje rzeczy, żeby nie było kłopotu raz jeszcze z przesyłaniem ich przez Europę. 2) Wyszlijcie w najprędszym czasie farby do ilustracyj⁸⁾. 3) Przyszlemy wam wkrótce faceta, na imię mu Karol⁹⁾, do terminu do Gustawa¹⁰⁾; o tym, że przyjechał on na naukę, mają wiedzieć tylko Bolek¹¹⁾ i Gustaw, można powiedzieć o tym również i Os.[arzowi]¹²⁾, ale nikomu więcej. Do Zw.[iązku]¹³⁾ go nie ciągnijcie, niech choć jeden uniknie tego, zresztą jest to usprawiedliwione czasowością jego pobytu. Szerzej o nim napiszę, gdy facet będzie wyjeżdżał, co musi nastąpić w dosyć prędkim czasie. Jeżeli trzeba będzie, to go poszlemy, jak wyżej pisałem, do Jowisza lub Felka¹⁴⁾, gdzie on się zobaczy z Kazimierzem, i ci go wyekspediują dalej. 4) Posyłamy wam „wspomnienie” Janowicza o ostatnim dniu przed powieszeniem 4 towarzyszy¹⁵⁾. Warto to

⁸⁾ Dla tajnej drukarni „Robotnika”.

⁹⁾ Karol — pseudonim Kazimierza Rożnowskiego, członek organizacji P.P.S.

¹⁰⁾ Gustaw — pseudonim Aleksandra Dębskiego — zob. wyżej przypis 33 do listu nr. 125. Rożnowski miał się uczyć zecerki na potrzeby tajnej drukarni „Robotnika” w kraju; po powrocie z Londynu pracował w tej drukarni w Łodzi aż do aresztowania J. Piłsudskiego w lutym 1900 r.; aresztowany w parę dni potem (26.II.1900) w Wilnie, skazany został na 6 lat Syberii Wschodniej.

¹¹⁾ Bolek — Bolesław Antoni Jędrzejowski, zob. wyżej przypis 10 do listu nr. 117.

¹²⁾ Os...arz — pseudonim Leona Wasilewskiego, zob. wyżej przypis 9 do listu nr. 120.

¹³⁾ Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich — zob. wyżej przypis 4 do listu nr. 116.

¹⁴⁾ Feliks Perl — zob. wyżej przypis 14 do listu nr. 122.

¹⁵⁾ Ludwik Janowicz — wybitny działacz z pierwszej fazy rozwoju ruchu socjalistycznego w Polsce, członek wielkiego „Proletariatu”, skazany na śmierć, później więziony w Szlisselburgu, skąd zesłano go do kraju Jakutów, gdzie 30 maja 1902 r. skończył samobójstwem. Tu chodzi o wspomnienie jego, nadesłane ze Średnie-Kołymska; mówi ono o ostatnich chwilach czterech członków „Proletariatu”, straconych w r. 1886. Wydrukowano je w nr. 1 „Przedświtu” z r. 1899, str. 1—2.

wydrukować, dodać ¹⁶⁾ tylko notkę, że to wyciągnięte jest z dawnych papierów i było już dawniej w naszym ręku, naturalnie — „Śr.[ednie] Kołymśk” nie drukować. 5) Przed moim odjazdem Beaum.[ont] dał mi spis legalnych książek ośw.[iatowych], które chciałby otrzymać, ale nie dał, albo zapomniałem adres, na który to ma być wysłane. Adres Beaum.[ontu] lub Step.[ney]¹⁷⁾ niedogodny, niech więc faceci przyszlą jaki inny. 6) Postanowiliśmy dać drugie wydanie Imeret.[ińskiego]¹⁸⁾. Edmund ¹⁹⁾ pisał o tym do Jowisza i prosił zawiadomić was, więc urządźcie ten interes tak, jak pisałem uprzednio, — z dodatkiem głosów prasy zagranicznej o memoriale ²⁰⁾. Naturalnie, wydając w Galicji, trzeba, żeby druk był również ścisły, jak w 1-ym wydaniu, żeby książka się nie zwiększyła, dodacie oprócz tego „Wstęp do II wydania”. Jowisz niech na to wyłoży monetę, oddamy mu z pewnością i nie w szeregu dotychczasowych naszych długów, a wcześniej. U nas tu idzie to bardzo dobrze. Ze sprzedaży krajowej prawie pokryliśmy już rozchody wydawnicze, a jak rozsprzedamy wszystkie egzemplarze I wydania, to napewno je tu pokryjemy, a w ten sposób cała zagraniczna sprzedaż będzie czystym dochodem. Żądań mamy jeszcze teraz całe mnóstwo, a bodaj już nie będziemy w stanie zadowolnić je tym, co mamy. Warto, by dodatek z głosami prasy był możliwie pełnym. Przypuszczam, naprzykład, że czeska prasa mówiła o tym dużo. Jakie artykuły dawać in extenso, jakie w streszczeniu (naturalnie, i w streszczeniu muszą być cytaty ²¹⁾), świadczące, że nie fałszujemy opinii), pozostawiamy wam w zupełności. Powtarzam raz jeszcze — nie robić wielkiego wyboru, niech będą tam i głupie, i nieprzychylne nam głosy, przy nich tym jaskrawiej odbijać będzie głos naszych przyjaciół. 7) Kończę list u Kizi ²²⁾ późną

¹⁶⁾ W oryginale listu przed wyrazem: „dodać” skreślono: „zmienić tylko trzeba tak, ażeby nie poznali, że to Janowicz pisał, więc wszystkie „ja” zamienić imieniem Janowicza”.

¹⁷⁾ Adresy partyjne w Londynie: 7 Beaumont Square Mile End Road, London E. — adres Centralizacji Z.Z.S.P. i redakcji „Przedświtu” oraz 119 Stepney Green. Dwellings, Stepney, London E. — adres B. A. Jędrzejowskiego i redakcji „Światła”.

¹⁸⁾ Imeretyński — zob. wyżej przypis 9 do listu nr. 117.

¹⁹⁾ Edmund — jeden z pseudonimów Stanisława Wojciechowskiego, który w tym czasie wraz z J. Piłsudskim wchodził w skład Centralnego Komitetu Robotniczego partii i pracował w tajnej drukarni „Robotnika”.

²⁰⁾ Por. w tej sprawie list. nr. 122 i list. nr. 124.

²¹⁾ W oryginale listu przed wyrazem: „cytaty” skreślono: „kawałki”.

²²⁾ Kizia — jeden z pseudonimów Aleksandra Sulkiwicz, zob. wyżej przypis 3 do listu nr. 117.

nocą i po przeczytaniu, a raczej przejrzeniu listów waszych (całej kupy). Na wszystko nie zdążę odpisać, zadowolnicie się tymczasem paru kwestiami. 8) Na wstęp do II wydania według projektu Bolka zgoda, nasmarujcie go i jazda, byle prędko, chociaż strasznie mi żal tych głosów prasy, z tego względu, że stanowiłoby to atrakcję dla wielu czytelników, a oprócz tego liczyć się musimy z tym, że pisma zagraniczne nie są u nas czytane i zagranica stanowi autorytet dla wielu. No, ale jak trudno — to trudno. 9) W kacapskiej Chodynki²³⁾ nie dawać, pał ją djabli, obciąży niepotrzebnie wydawnictwo i przeciągnie go w nieskończoność. Kizia napisze, kiedy to wysyłać. 10) Tkaczy²⁴⁾ narazie dajcie nie więcej nad 100. W razie potrzeby wypiszemy więcej. 11) List do brudra²⁵⁾ na Sachalinie wyslijcie zaraz, drugi list do drugiego brudra²⁵⁾ w Wi.[lnie] wyslijcie do Berna, by stamtąd 15/X. wysłano. Trochę zaczynają im dokuczać i boją się, czy nie z powodu mnie, trzeba więc spróbować ich uspokoić listem²⁵⁾. 12) Nareszcie trzeci list jest z nadpisem²⁶⁾ ołówkiem Wł.²⁷⁾ jest dla Kazimierza²⁸⁾ — prywatny. 13) Aniela²⁹⁾, jak wiesz, Kazimierz, już frei³⁰⁾, musisz jej przy pierwszej okazji natrzeć uszu, bo wyobraź sobie — dziewczynę by nie trzymano wcale, gdyby nie zostawiła u siebie jakiejś głupiej kartki z cyframi, które, jak żandarm jej wmawiał są pokwitowaniem, już umieszczonym w „Rob.”³¹⁾, namawiał ją, by się przyznała, że to kartka jej brata. No, i jedynie o to pytali, jedynie dlatego trzymali, listu od brata nie oddali; teraz kazał fijoł³²⁾ jeszcze poczekać parę tygodni „możet

²³⁾ Opis tragicznych zajęć na placu Chodyńskim w Moskwie podczas koronacji cara Mikołaja II, przeznaczony do II tomu wydawnictwa rosyjskiego „Nasze Wriemia”. — zob. wyżej przypis 26 do nr. 124.

²⁴⁾ Dramat Gerharda Hauptmana, wydany przez Centralizację Z.Z.S.P. w r. 1898 w tłumaczeniu Wiktora Tuszy, pseud. Edmunda Libańskiego.

²⁵⁾ Brata; chodzi tu o braci Bronisława i Jana Piłsudskich, z którymi Józef Piłsudski korespondował za pośrednictwem Z.Z.S.P. dla upozorowania swego rzekomego pobytu za granicą.

²⁶⁾ W oryginale listu przed wyrazami: „z nadpisem” skreślono: „do”.

²⁷⁾ Władek.

²⁸⁾ Władek — Kazimierz, pseudonimy Aleksandra Malinowskiego, zob. wyżej przypis 3.

²⁹⁾ Siostra Aleksandra Malinowskiego, mieszkająca w Warszawie i aresztowana tam.

³⁰⁾ Wolna.

³¹⁾ „Robotnik” — zob. wyżej przypis 23 do listu nr. 116.

³²⁾ Żandarm w gwarze partyjnej.

ponadobitć”³³⁾ — facetka ma zamiar jechać zaraz, jak pozwolą, do siostry na południe. Fijoł obiecywał, że na wiosnę będą skutki tj. wyrok. 14) Od Zbign.[iewa]³⁴⁾ był list, więc widocznie cały. 15) Zato Władek w Łodzi³⁵⁾ już jest fertig³⁶⁾. Okoliczności, przy których to się stało, dokładnie nie wiemy jeszcze, jedni powiadają, że z Majówki go wzięto, inni — że sam się oddał. Licho go wie, fakt jednak, że go niema, a raczej jest w cytli³⁷⁾. 16) Po naradzie z Kizią listu do Jowisza nie wysyłam, więc zaraz napiszcie do niego, żeby facet o pasek się starał dla Władka, niech przy tym się stara o pasek inteligentki i na dłuższy termin. Jeżeli Wł.[adek] nawet z niego nie [skorzysta], to — jak pisałem — pasek nie zginie. 17) Kazimierzu, słuchaj mojej rady i jedź nie inaczej, jak na Oderberg³⁸⁾, inne granice austriacko-galiczyjskie nie bardzo mi się podobają, osobliwie dla człowieka, nie mówiącego po niemiecku. 18) Spr.[awę] Rob.[otniczą]³⁹⁾ jeżeliście po moim ostatnim liście jeszcze nie oddali do druku, to oddajcie zaraz: na 9 z interliniami zgoda. 19) Poezycy bić 7000⁴⁰⁾, to się rozejdzie i dawać przed Tłokiem⁴¹⁾. 20) Prośbę Os.[arza]⁴²⁾ o broszurach załatwię⁴³⁾. 21) Czemu, Kazimierzu, przypuszczasz, że Kijów nie łączył się do ogólnej wydawniczej organi-

³³⁾ W oryginale alfabetem rosyjskim; po polsku: być może będzie pani potrzebna.

³⁴⁾ Zbigniew Woszczyński — działacz krajowy P.P.S., z zawodu zecer, na emigracji w Londynie pracował w drukarni Z.Z.S.P., później był nielegalnym funkcjonariuszem partyjnym w Zagłębiu Dąbrowskim; po aresztowaniu — zesłany do Wschodniej Syberii.

³⁵⁾ Władysław Janiszewski — pseudonim Kępa — robotnik stolarski, był nielegalnym działaczem P.P.S. w Łodzi.

³⁶⁾ Skończony, aresztowany.

³⁷⁾ W cytadeli warszawskiej.

³⁸⁾ Austriacka nazwa Bogumina.

³⁹⁾ Zob. wyżej przypis 5 do listu nr. 115.

⁴⁰⁾ W oryginale listu pierwotnie: „5000”.

⁴¹⁾ Tłok — pseudonim Edwarda Abramowskiego, zob. wyżej przypis 5 do listu nr. 115.

⁴²⁾ Os...arz — Leon Wasilewski, zob. wyżej przypis 12.

⁴³⁾ Al. Malinowski w liście z 21.IX.1898 (kop. XV, str. 92) pisze: „Osarz prosi o zbiór artykułów Nabludatiela „Wozmożno-li polsko-russkoje sogłaszenije” [Czy możliwa jest ugoda polsko-rosyjska] Sbornik Stat. [Zbiór artykułów] Nab. [ludatiela]. W tej kwestii wyszło niedawno kilka jeszcze innych broszur, jedna podobno w Wilnie. O to wszystko prosi Osarz”. Nabludatiel (obserwator) pseudonim literacki rosyjskiego pułkownika żandarmerii Markgrafskiego, któremu materiałów dostarczał szpieg — literat A. Wiśniewski.

zacji studenckiej ⁴⁴⁾). Owszem, właśnie tak się stało, więc chyba z myślą o utworze Felkowym ⁴⁵⁾ narazie trzeba się pożegnać. 22) Aha, przeglądając 3 arkusz kacapskiej, zauważyłem, że język tłumaczenia „Wwiedienije zakona 2 ijunia w Warszawie” ⁴⁶⁾ jest bardzo marny, przypuszczam, że się będą krzywili na to. Uściśnienia.

W[asz] Wikt[or].

Nr. 127.

Do Witolda Jodki we Lwowie ¹⁾.

[List na ark. pap. list. linj. o rozm. 20,8/13,7 cm. Dwa ostatnie dopiski na obu stronach błękitnej koperty, zawierającej list.]

15/X.[1898 r.]

Kochany! Odpisuję po naradzie z W.[ojtkiem] ²⁾ o twoich projektach ³⁾. Nie rozumiemy, poco się udajesz do nas o upoważnienie. Żadnego upoważnienia, które byłoby niejako patentem od nas na ambasadora przy projektowanej nowej organizacji, dać ci nie możemy, a zresztą nie jest ci ono potrzebne. Pozwalamy sobie zwrócić twoją uwagę na następujące okoliczności. 1) Nie przypuszczamy wcale, by nowa paczka okazała się sprytniejszą praktycznie od starej ⁴⁾, chociażby nawet się okazała sympatyczniejszą i czerwieńszą. Według wszelkiego prawdopodobieństwa w rzeczach praktycznych tj. w stworzeniu czegoś nowego w zaborze rosyjskim i w dostarczeniu do nas swych wydawnictw nowi będą jeszcze nieudolniejsi od dawnych. Będzie to więc w większym jeszcze stopniu pismo dla pisma, nic więcej. 2) Jeżeli rzeczywiście może być dla nas korzyst-

⁴⁴⁾ Al. Malinowski w liście z 21.IX.1898 (kop. XV, str. 92) pisze: „Co rozumie Wik[tor] pod zjednoczeniem wszystkich sił wydawniczych w T.Z.N.S., czy i Kijów do tego się przyłączy? Sądzę, że nie, a w takim razie jestem przekonany, iż danie im do ręki rękopisu rozprawy Felka, przyczyniłoby się znakomicie do wydostania pieniędzy i wydania tej rzeczy”...

⁴⁵⁾ Feliksa Perla — zob. wyżej przypis 14 do listu nr. 122.

⁴⁶⁾ W oryginale listu alfabetem rosyjskim; po polsku: wprowadzenie ustawy z 2 czerwca w Warszawie”.

¹⁾ Zob. wyżej przypis 4 do listu nr. 122.

²⁾ Wojtek — jeden z pseudonimów Stanisława Wojciechowskiego, zob. wyżej przypis 19 do listu nr. 126.

³⁾ Chodziło o stosunek do nowej, opozycyjnej, bardziej radykalnej społecznej grupy narodowych demokratów i do projektowanego przez nią pisma.

⁴⁾ Grupa Józefa Potockiego, która wydawała pismo „Walka”.

nym, by patrioci⁵⁾ byli czerwieński, to nie widzimy przyczyny, że-
byśmy my sami tę czerwoność w nich stanowić mieli, nareszcie
3) Dopuszciliśmy najlepsze, co spotkać może nową paczkę, tj. dopu-
ściwszy, że rzeczywiście zyskają oni sobie wpływ i znaczenie w kraju,
to na obecną chwilę uważalibyśmy taki wynik prędzej za szkodliwy
dla nas, niż korzystny. Dopiero od niedawno [sic!] zaczęliśmy wy-
walczać wśród społeczeństwa w ogóle i inteligencji w szczególności to
przodujące wśród innych stanowisko, jakie zająć chcemy, i pod tym
względem konkurencja patriotów zawsze jeszcze nie przestaje być
dla nas groźną. Teraz położenie jest takie, że nawet własni patriotów
stronnicy, a przeciwnicy nasi, zaczynają uznawać naszą wyższość
nad innymi paczkami opozycyjnymi, lecz u ogromnej większości za-
chowana jest niechęć do nas, niedowierzenie, no, cała masa najroz-
maitszych przesądów i fałszywych pojęć, tak trwale trzymających się
głów napół filisterskich w kwestii socjalizmu. Obecnie ulegać oni
muszą logice faktów i sądzę — przez⁶⁾ dłuższy przeciąg czasu przo-
dując innym i to przodując w sposób tak wyraźny, jak ostatnimi
czasami, zmusimy na stałe nawet przeciwników liczyć się z nami, jako
siłą poważną. Wystąpienie energiczniejsze i sympatyczniejsze patrio-
tów mogłoby nam popsuć szyki. Pamiętać trzeba, że ich krok jeden
dla pozyskania opinii więcej znaczyć może, niż naszych dziesięć.
II. O Zbigniewie⁷⁾ okazało się, że rzeczywiście się wysypał. Nie zna-
my jeszcze dokładnie szczegółów, w każdym razie trzeba uprzedzić
faceta, który mu⁸⁾ dał pasek⁹⁾, że bardzo być może i pasek się
zasypał, chociaż nie jest to faktem ustanowionym. III. Niech Alten-
berg¹⁰⁾ wyszle nareszcie do Bolka książki, które miałeś mi zamówić
na rachunek memoriału¹¹⁾. IV. Jeżeli możesz, to przyciskaj dru-
karza, żeby śpieszył z II wydaniem memoriału. Nic już nie mamy,
a wymagania są ogromne. Psiakrew, źleśmy zrobili, bijąc tak mało.
Wyobraź sobie, że nawet na giełdzie tutejszej memoriał ma popyt,
i mówią o nim jako o fakcie polityki bieżącej. Pogłoski o ustąpieniu
Imeretińskiego z powodu wydania memoriału krążą dosyć szeroko.
No, no, byłoby to coś w rodzaju obalenia ministerium! V. Załączony

⁵⁾ Stronictwo narodowo-demokratyczne, wzg. grupki spod tego znaku.

⁶⁾ W oryginale listu przed wyrazem: „przez” skreślono: „D”.

⁷⁾ Zb. Woszczyńskim — zob. wyżej przypis 34 do listu nr. 126.

⁸⁾ W oryginale listu pierwotnie: „my”.

⁹⁾ Paszport.

¹⁰⁾ Księgarnia we Lwowie.

¹¹⁾ Memoriału ks. Imeretińskiego, zob. wyżej przypis 9 do listu nr. 117.

list oddaj Kazimierzowi¹²⁾. VI. Staraj się o pasek na inteligenta i na czas nieco dłuższy, conajmniej na rok. Rysopis mniej więcej na mnie lub Kazimierza, w razie, gdyby Kazimierz nie skorzystał teraz z niego, tobym specjalnie się wybrał na kilka dni do was, żeby go zabrać. To wszystko, zatem serdeczne uściśnienie, żonie i znajomym ukłony.

Wikt[or].

Kochany Kazimierzu! Zbigniewa już nie mamy, trzeba się starać o następcę. Zatrzymaliśmy się na propozycji Konia¹³⁾. Rozmów się z nim o tym interesie. Jeżeli jeszcze się zgadza i utrzymuje swoją propozycję — to niech się stara o jaki papierek. Umów się z nim, jak masz się z nim spotkać u nas¹⁴⁾. Bodajże najlepiej przez twego przyjaciela¹⁵⁾, który ci pomógł wyjechać, mógłby w razie potrzeby nawet kilka dni u niego posiedzieć, nimby¹⁶⁾ się zjawił kto z nas dla wyznaczenia mu roboty. Liczę na to, że przyjazd jego nie nastąpi wcześniej od twego, więc uprzedzanie o tym twego przyjaciela zostawiam przyszłości — a raczej tobie samemu. 2) Co do twojej jazdy, to nastąpi ona w sposób następujący. Piszę ten list u twego (wspomnianego wyżej) przyjaciela i umówiłem się z nim, że i teraz okaże on tę samą pomoc¹⁷⁾, jak i wówczas. A że mamy, jak pisałem uprzednio, faceta do wyprawienia¹⁸⁾, więc wszystko się składa jak najlepiej. Chodzi tylko o możliwie krótki termin urzędzenia tej¹⁹⁾ podwójnej jazdy. Umowa stanęła więc na tym, że ty po przyjeździe do grodu Jowisza²⁰⁾ napiszesz zaraz liścik jakikolwiek wprost na adres twego przyjaciela, będzie to oznaką, że już nasz facet może jechać. Wyprawi się go zaraz i tobie po jego przyjeździe dając czasu jedną dobę na zakończenie interesu. Zjawiaj się u...²¹⁾.

¹²⁾ Aleksandrowi Malinowskiemu, zob. wyżej przypis 9 do listu nr. 123.

¹³⁾ Konio — Konrad Jeziorowski, robotnik-emigrant z zaboru rosyjskiego, kandydat na nielegalnego kierownika okręgu P.P.S. w Zagłębiu Dąbrowskim.

¹⁴⁾ W oryginale listu wyrazy: „u nas” wpisane są dodatkowo ponad wierszem.

¹⁵⁾ Inżyniera Telakowskiego.

¹⁶⁾ W oryginale listu: „by” wpisane dodatkowo ponad wierszem.

¹⁷⁾ Uzyczenie paszportu na przejazd przez granicę.

¹⁸⁾ Kazimierza Roźnowskiego, zob. wyżej przypis 10 do listu nr. 126.

¹⁹⁾ W oryginale listu przed wyrazem: „tej” skreślono: „się”.

²⁰⁾ Witolda Jodki-Narkiewicza — zob. przypis 4 do listu nr. 122; w tym wypadku — Lwów.

²¹⁾ Nazwisko czy pseudonim w oryginale listu zamazany tuszem w sposób zupełnie nieczytelny.

Tam nie łaż bardzo po mieście, bo nie jest tam spokojnie zupełnie. Ktokolwiek z nas będzie na ciebie oczekiwał. W liście, który przywiezie facet — Karol osobiście, napiszę szczegółowiej. Karola poszlę z punktu do męża Maryli czarnej — uprzedź więc go o tym, niech on go zaraz odstawi do ...²²⁾ i ciebie. Pamiętaj po przyjeździe Karola nie siedź dłużej nad dobę, bo trzeba przecie na termin zwrócić twemu przyjacielowi to, co się od niego otrzyma²³⁾. No, zatem bywaj zdrów, do miłego zobaczenia się.

tw[ój] Wikt[or].

Moi kochani! Bądźcie łaskawi list ten oddać zaraz tj. jak najprędzej Jowiszowi lub też, jeżeli ten gdzie wyjechał, to Władkowi, jeżeli jest u was. Jeżeli i tego nie ma, niech list poleży do przyjazdu tego ostatniego. Jakże tam z szachami, czy kwitnie szlachetna gra i po moim odjeździe? Ukłony serdeczne i pozdrowienia wam²⁴⁾

Wikto[r].

Aha! Jowiszu!²⁵⁾ zapomniałem ci dodać, że z Kresowcem²⁶⁾ nie może być żadnej gawędy, bo gdzieś tak sprytnie znikł, że nikt nie wie, gdzie się podziewa. Na zasadzie niektórych jego słów podejrzewają, że może skończył samobójstwem. W każdym razie rozgadać się z nim niepodobna.

Wikt[or].

Nr. 128.

Do Komisji Konspiracyjnej Z. Z. S. P. w Londynie¹⁾.

[List na ark. pap. list. lin. o rozm. 20,8/13,2 cm].

16/X.[1898 r.]

Kochani! 1) Jowiszowi²⁾ na jego propozycję³⁾ odpisałem wprost do niego. Nie sądzimy, by jego robota mogła go odciągać od nas,

²²⁾ Jak przypis 21.

²³⁾ Paszport.

²⁴⁾ W oryginale listu po wykazie: „wam” wykreślono tuszem czy atramentem w sposób zupełnie nieczytelny jakieś 2 wyrazy.

²⁵⁾ W oryginale listu czytelną jest tylko pierwsza litera „J” i „I”, środek imienia wytarty w sposób zupełnie nieczytelny tuszem.

²⁶⁾ Pseudonim J. K. Potockiego (Mariana Bohusza).

¹⁾ Komisja Konspiracyjna, zob. wyżej przypis 1 do listu nr. 122.

²⁾ Jowisz — jeden z pseudonimów W. Jodki-Narkiewicza, zob. wyżej przypis 4 do listu nr. 122.

³⁾ Por. początek listu nr. 127.

ale żadnego upoważnienia dawać mu nie chcemy, bo nie widzimy po pierwsze żadnej przyszłości dla tej paczki, a w razie, gdyby ta przyszłość przeszła nasze oczekiwania, to sądzymy na razie sprawiłoby to nam tylko kłopot. Nie będę rozmyślać tej sprawy, bo tego nie warta. 2) Wierzbie⁴⁾ odpisz⁵⁾, choć to może i późno, że nic mu pomóc nie możemy, takich stosunków nie posiadamy. O ile pamiętam, to o podobnym stosunku wie coś Luśnia⁶⁾ i ten mógłby może się wystarać o potrzebne informacje. 3) Co do propozycji Janka⁷⁾, to przede wszystkim niech on określi sam⁸⁾, (może to zrobić albo przez rodziców, albo jak inaczej (po samoczuciu⁹⁾)), czy powrót do kraju niczym mu nie grozi. Jako nielegalnego brać teraz niepodobna, jako legalnego — to i owszem, chętniebyśmy go u siebie widzieli i nawet, choć na pewno nie obiecujemy, postarali mu się o jaką taką posadę. Niech więc określi sam o stopniu swej legalności i napisze nam przez ciebie. Jeżeli sądzi, że nic mu nie grozi, to zaraz rozpoczniemy staranie o posadę i zaraz go zawiadomimy o tym. Prawdopodobnie siedzibą¹⁰⁾ jego będzie¹¹⁾ w takim razie miasto¹²⁾, gdzie jest orne Osarżatko¹³⁾. 4) Mój drogi, pośpiesz z ra-

4) Wierzba Jan — pseudonim Romualda Mielczarskiego, publicysty i historyka, członka Z.Z.S.P., znanego później działacza spółdzielczego.

5) Ustęp ten jest dpowiedzią na następującą wiadomość, przesłaną przez B. A. Jędrzejowskiego w liście z 21.IX.1898 r. (Kop. XV, str. 96): „Wierzba pisze, że jego ojciec zachorował śmiertelnie, chciałby więc pojechać do niego dla osłodzenia ostatnich chwil staremu — na jaki miesiąc albo i sześć tygodni. Mieścina mała [prawdopodobnie Bełchatów], Wierzbę wszyscy znają, więc incognito jechać nie może, b. otwarcie — nie jest siebie pewny. Prosi więc byście dowiedzieli się, czy i w jaki sposób jest osmarowany, czy jest na jakich listach itp. Rzecz pilna, więc jeśli co wiecie piszcie zaraz. Chodzi o to, że chociażby facetowi i nic nie zrobili wielkiego, to już sam fakt wzięcia go może jego ojca dobić”.

6) Luśnia Michał — pseudonim Kazimierza Kelles-Krauza, zob. wyżej przypis 1 do listu nr. 115.

7) Jan Rutkiewicz, emigrant z zaboru rosyjskiego, przebywający w Bernie Szwajcarskim.

8) W oryginale listu pierwotnie: „wam”.

9) W oryginale listu alfabetem rosyjskim; po polsku — wedle samopoczucia.

10) W oryginale listu wyraz: „siedzibą” wpisany jest ponad wierszem, ponad skreślonym: „miejsce”.

11) W oryginale listu przed wyrazem: „będzie” skreślono: „w”.

12) Łódź.

13) Przewisko Adama Buyny, wprowadzonego do partii przez Osarżę — Wasilewskiego, stąd „Osarżatko”.

chunkami, bo później już trudno mi będzie połąpać się w moich notatkach za tyle czasu. Proszę cię, śpiesz z tym interesem. 5) Zbigniew¹⁴⁾ rzeczywiście się wyspał. Szczegółów jeszcze nie mamy, opowiadają, że wzięli go na zebraniu, lecz to jeszcze nie sprawdzono. Wobec tego przyjmujemy propozycję, czynioną nam dawniej przez Konia¹⁵⁾. Szczegółowiej piszę o tym interesie do Kazimierza¹⁶⁾ do Lwowa, gdyż — sędzę — list mój Kazimierza już u was nie zostanie. 6) Redaktorzy „Arbeitera” żargonowego¹⁷⁾, który wkrótce już będziecie mieli do roboty, proszą, byście tam sami ułożyli do niego króciutką kronikę zagraniczną, która zarazem mogłaby¹⁸⁾ służyć do wyrównania numeru, bo przecie tutaj zdaleka trudno obliczyć akurat na pewną ilość stron. Sędzę, że to chyba nie będzie trudno. Cyfer czy Szajer¹⁹⁾ przetłumaczy zapewne chętnie, co im dasz. Układaj kroniczkę krótko, żeby w żadnym wypadku nie była ona lepszą, niż w „Robotniku”²⁰⁾. 7) Przyspiesz o ile można II wydanie memoriału²¹⁾, okrutnie nam śpieszno. Wymagania ogromne i zewsząd, a zadowolnić ich nie możemy. Gawęd o tym wszędzie pełno i cała masa. Naturalnie, gawędy są rozmaite i przede wszystkim wszyscy rozpytują, w jaki sposób doszliśmy do posiadania dokumentów. Teraz słyszałem potwierdzenie owej pogłoski o ustąpieniu Imeretyńskiego z powodu ogłoszenia jego memoriału, jako powód podawali (urzędnik kacap) „skompromietowała się pieried sośłużywcami”²²⁾. 8) Teraz się dowiedziałem, że areszty były i w Petersburgu. Z „Raboczym Znamieniem”²³⁾ i partią²⁴⁾ kłapa prawie zupełna, nie ma co chyba na nich i liczyć. 9) Żydziowie zaczęli wy-

¹⁴⁾ Woszczyński — zob. wyżej przypis 34 do listu nr. 126.

¹⁵⁾ Zob. wyżej przypis 13 do listu nr. 127.

¹⁶⁾ Zob. dopisek 1-szy do listu nr. 127.

¹⁷⁾ Organ P.P.S. w języku żydowskim, wydawany pierwotnie w Londynie (od grudnia 1898 r.), później (od nr. 6-go) przeniesiony do tajnej drukarni w kraju.

¹⁸⁾ W oryginale listu przed wyrazem: „mogłaby”, skreślono: „b”.

¹⁹⁾ Socjalistyczni działacze żydowscy, emigranci z Polski, stale przebywający w Londynie i biorący udział w miejscowym angielskim ruchu robotniczym.

²⁰⁾ „Robotnik” — zob. wyżej przypis 23 do listu nr. 116.

²¹⁾ Ks. Imeretyńskiego — zob. wyżej przypis 9 do listu nr. 117.

²²⁾ W oryginale listu alfabetem rosyjskim; po polsku: „skompromitował się wobec kolegów-urzędników”.

²³⁾ W oryginale listu alfabetem rosyjskim.

²⁴⁾ Rosyjska partia socjalno-demokratyczna, wyszła z szeregów organizacji „Raboczeje Znamia” (Sztandar Robotniczy), a sympatyzująca z P.P.S.

dawać²⁵⁾ nowe pismo pod tytułem „Klassenkampf”²⁶⁾. Ciekawem jest, że na samym piśmie ani słowa nie ma, że to wydawnictwo „Bundu”²⁷⁾. Tylko w dziale „aus Russland”²⁸⁾ znajdujemy te wszystkie „Penza, Kowno, Wyłkowyszki” et caetera²⁹⁾. 10) Nadal możecie nam nie przysyłać wiadomości o Z-towych³⁰⁾, na czas pewien przybywających do nas. Więcej z tym kłopotu, niż czego innego, a tymczasem faceci mają zawód, to jest raczej zawiadomcie Z-towych, żeby nie liczyli, że możemy wchodzić w stosunki i korzystać z czasowego pobytu facetów, to dla nas na nic. 11) Zawiadom Ignaca we Fr.[yburgu]³¹⁾, że wkrótce tam się zjawi chłopak nazwiskiem 22 15 48 86 64 46 21³²⁾, niech go tam na razie weźmie pod opiekę, nim chłop przyzwyczai się do zagranicy. Facet zna mnie — Wiktora³³⁾ i Adasia³⁴⁾, jako Edmunda³⁴⁾, był w naszej robocie spory kawał czasu. 12) Luśniowe³⁵⁾ pisaniny odeślę przez Kizię³⁶⁾ bardzo prędko — za kilka dni je wyszłę. Wówczas też napiszę i nasze zdanie o nich. No, dowidzyska.

Serdeczne uściśnienie

wa[sz] Wikt[or].

²⁵⁾ W oryginale listu przed wyrazem: „wydawać” skreślono: „no”.

²⁶⁾ „Walka klas”.

²⁷⁾ Bund — zob. wyżej przypis 25 do listu nr. 125.

²⁸⁾ „Z Rosji”.

²⁹⁾ Podkreślenie centralistyczno-wszecchrosyjskiego stanowiska Bundu, który w swoich wydawnictwach wymieniał miasta polskie i litewskie we wspólnej rubryce: „Z Rosji”.

³⁰⁾ Członkowie Zw. Zagr. Soc. Polskich.

³¹⁾ Ignacego Mościckiego, dzisiejszego Prezydenta R. P.; po wyjeździe z Londynu przebywał wówczas we Fryburgu.

³²⁾ W[ładysław] Kołczyński.

³³⁾ Pseudonim Józefa Piłsudskiego.

³⁴⁾ Pseudonimy Stanisława Wojciechowskiego — zob. wyżej przypis 19 do listu nr. 126.

³⁵⁾ Zob. wyżej przypis 6.

³⁶⁾ Pseudonim Aleksandra Sulikiewicza, zob. wyżej przypis 3 do listu nr. 117.

W S P O M N I E N I A

FELIKS WILSKI.

GARŚĆ WSPOMNIEN.

W latach wojny idea niepodległości przenikać zaczęła coraz głębiej do świadomości najszerzych warstw społeczeństwa polskiego, wbrew nawet ich woli. Złożyły się na to: Akt 5-go listopada 1916 r. (bez względu na swe źródło i intencje), rozkład wewnętrzny i upadek polityczny Rosji, wątlejąca z dnia na dzień potęga okupantów niemieckich, orędzie Wilsona, wkroczenie do Warszawy Legionów i pierwszy pobyt w stolicy Józefa Piłsudskiego, jako twórcy zbrojnego czynu i symbolu odradzającej się państwowości.

Wobec powyższych faktów, milczeli ponuro ci, co jeszcze przed rokiem, oburzali się na samo wspomnienie o niepodległości, twierdząc, że tylko, zaprzędany Niemcom zdrajca, może tak bzdurnymi mrzonkami rozumieć, że mrzonką właśnie stała się ich dotychczasowa nadzieja w zwycięstwo Rosji i wiara w zjednoczoną Polskę za sprawą i pod opieką rosyjskiego caratu. Księżacy Łowiccy przestali już chełpić się, że „my jeździewa carskie chłopcy i nijakiej ta niepodległości nie potrzebujewa”.

Austro- czy germanofile również zaczęli orientować się, że ich koncepcje polityczne z Habsburgami, czy Hohenzollernami na tronie polskim, rozwiewają się zupełnie.

Tak więc, zarówno bankruci polityczni, jak i ciemne pod tym względem masy ludowe, z trwogą, lecz jasno rozumieć zaczęły, że innego wyjścia nie ma; że lada dzień możemy zostać bez „pana”, sami, że niezależność polityczna nadchodzi, staje się „koniecznością”.

W związku z tą zmianą nastrojów, wzrastać zaczęła liczebnie i potężnieć moralnie, nieliczna i osamotniona dotychczas w opinii publicznej, grupa niepodległościowców.

Okazało się, że wyznanie wiary tych „rozumnych szaleńców” było i jest jedynie słuszne, przewidujące, oraz godne tradycji i honoru wielkiego narodu.

Mój osobisty udział w życiu politycznym był bardzo nikły i bez żadnego dla sprawy znaczenia.

Ponieważ sądzę jednak, że podobne ustosunkowanie się do spraw publicznych było, wśród ówczesnych moich rówieśników, bardzo roz-

powszechnione, a więc dla danego okresu naszej historii typowe, uważam za słuszne scharakteryzować je pokrótce.

Należę do rodziny ziemiańskiej, od paru wieków w ziemi Rawskiej i Czerskiej osiadłej. Rodzice moi, uczestnicy powstania 1863 r., od wczesnego dzieciństwa wpajali mi kult dla bohaterów narodowych i tradycyjnej walki orężnej o niepodległość Ojczyzny. Jednak, zarazem, słyszałem powielekroć przestrogę, że „teraz jeszcze nie pora”. Toteż, niewinny mój udział w manifestacjach 3 majowych, za czasów okupacji rosyjskiej, wypadł widocznie „nie w porę”, bo miał ten jedynie skutek, że na przeciąg roku rozciągnięto nade mną dozór policyjny i uniemożliwiono mi kończenie nie tylko gimnazjum, ale jakiegokolwiek szkoły państwowej w ogóle. Jednak, zdaje się, że tylko tym właśnie represjom zawdzięczałem zaszczyt trzyletniego i dość bliskiego koleżeństwa w prywatnej Wyższej Szkole Handlowej im. L. Kronenberga z przemiłym, wesołym, bardzo przystojnym wówczas chłopcem, Walerym Sławkiem.

Poza szkołą, spotykaliśmy się najczęściej na tajnych wykładach literatury, historii i socjologii, organizowanych przez zakonspirowane kółka oświatowe „Bratniaka”.

Sławek już wtedy sympatyzował z ideą socjalizmu, do której ja ustosunkowywałem się najzupełniej negatywnie z racji jej międzynarodowego charakteru i współpracy z Żydami. Wiedliśmy więc nieraz gorące na ten temat dysputy.

Po skończeniu szkoły i zlikwidowaniu jej, na kategoryczne żądanie, osławionego Apuchtina, (r. 1900), rozstałem się ze Sławkiem na czas dłuższy. On oddał się już niepodzielnie sprawie idei, ja otrzymałem posadę w bankowości i popłynąłem z prądem beztroskich, błahych spraw ówczesnego, towarzyskiego życia stolicy.

W parę lat później spotkałem Go raz jeden w następujących okolicznościach. Zaszedłem któregoś dnia (1906) do zakładu fryzjerskiego przy ul. Kredytowej (ówczesnej Erywańskiej) Nr 14, jako stały klient tej firmy; w lustrze, stojącym na wprost drzwi wejściowych, ujrzałem namydloną twarz... Sławka; spostrzegł mnie również i nagle, wymownym ruchem brwi i oczu powstrzymał, spodziewany wybuch radosnego z mej strony powitania. Zrozumiałem. Będąc, poważnie już skompromitowanym politycznie, nie chciał narażać mnie na ewentualne konsekwencje jawnej z Nim znajomości. Siadłem więc najobojętniej obok i poddałem się zabiegom fryzjera. Poza nami nikogo więcej w zakładzie nie było; Sławek skończył golenie wcześniej i, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, wyszedł. Prawie jednocześnie, wszedł jakiś osobnik, który zajął jego miejsce i, po krótkiej chwili, w czasie czesania tylko (bo był ostrzyżony i ogolony, co zwróciło moją uwagę) usiłował pod różnymi pretekstami nawiązać ze mną rozmowę. Wiedziony przecuciem, że jest to indywiduum podejrzane, postarałem się jak najprędzej opuścić lokal. Opinia moja o nieznanym utrwałała się, kiedy, w dwie godziny potem, siedząc w „Udziałowej” na rogu Nowego Świata i Al. Jerozolimskiej, spotkałem go przy sąsiednim stoliku, zrozumiałem,

że byłem śledzony. Fatalne uczucie. Wkrótce, nie śpiesząc się bynajmniej, wyszedłem z kawiarni; zauważywszy jednak, że szpicel towarzyszy mi dyskretnie aż do Krakowskiego Przedmieścia, wszedłem do restauracji Hotelu Europejskiego, wyszedłem przez cukiernię Lours'a i, wsiadłszy do dorożki pozbyłem się „opiekuna” bezpowrotnie. W parę tygodni potem, właściciel zakładu fryzjerskiego zapytywał mnie czy nie wiem, kto by to mógł być, ten gość, co golił się wówczas u niego, w czasie mego przyjscia; bo dwóch szpicłów go pilnowało; jeden poszedł w ślad za gościem, jak tylko zakład opuścił, a drugi bezzwłocznie wszedł do lokalu i rozpoczął ze mną rozmowę.

Wydarzenia tego okresu (lata 1905/6), cała, tak zwana rewolucja ówczesna, wywierały na mnie wrażenie przynębiające, ponieważ nie znałem wcale ani ich właściwego podłoża, ani celu, ani właściwego znaczenia. Wiadomości powierzchowne, jakie do mnie dochodziły, o wspólnej akcji naszych socjalistów z rewolucjonistami rosyjskimi, oraz widok, na wspólnych i okrwawionych Żydów, obwożonych ostentacyjnie po ulicach miasta, budziły we mnie oburzenie i odrazę.

Ze szczerym smutkiem i zgorzzeniem dowiadywałem się od kolegów, że Sławek czynny w tym ruchu bierze udział, a już prawdziwie wściekły byłem, gdy wkrótce przeczytałem w gazetach o Jego katastrofalnej przygodzie z bombą w Milanówku.

Nie mogłem pojąć, czemu się to dzieje, że taki nawet „porządny” chłopak dał się wciągnąć do tak bardzo „obcej” nam sprawy.

A jednak, w pewnym związku z tą „obcą” sprawą, przeżyłem wówczas jedno z najpamiętniejszych w moim życiu wrażeń.

Nadszedł dzień 3 maja 1905 r. — dzień „wolności” — dzień „Pochodu Narodowego”; przygotowania do tej uroczystości odbywały się w atmosferze wielkiego napięcia; mówiono, że socjaliści szykują kontr-pochód; wspomniano o możliwości krwawego starcia; byłem tym wszystkim niezmiernie podniecony i dezorientowany. Wizja walczących ze sobą Polaków, rozbrajanych w konsekwencji i godzonych przez moskiewskich żandarmów, wydawała mi się czymś potwornym; czymś, do czego dopuścić niepodobna było; ale jak? Czułem się bezradnym; a jednak, zdecydować się na coś trzeba było; godzina się zbliżała, a ja biegałem po mieszkaniu; w największym zdenerwowaniu i niepewności, po czyjej stronie mam stanąć? Bo jednak, z caratem tamci walczą, a nie ci! Zapewne! Ale, o co oni walczą? o Polskę? Nic podobnego! O polepszenie warunków bytu międzynarodynarodowego proletariatu! No tak, ale zarazem, może bezwiednie, mimowoli, przyczyniają się do wyzwolenia kraju spod obcego jarzma! A ci narodowcy, co?

Takie i inne myśli kłębiły mi się w owej chwili pod czaszką i gdy spostrzegłem, że już zaledwie kilkanaście minut pozostaje mi do decyzji, rozterka moja osiągnęła punkt kulminacyjny.

W kilka minut potem, w szeregach pochodu narodowego, pod

Białym Orłem, śpiewałem jawnie, po raz pierwszy w życiu, „Boże, coś Polskę...”

Dziś, w perspektywie czasu, zwłaszcza w porównaniu z wydarzeniami, których uczestnikiem byłem w kilka lat później, cały ówczesny epizod wydaje mi się dość błahym, a moje wzruszenie niewspółmierne, ale, na tle współczesnych stosunków, możliwość jawnej manifestacji uczuć i dążeń, urastała do wymiarów wielkiego dziejowego wydarzenia.

W okresie wojny światowej, kiedy społeczeństwo, byłej Kongresówki, dzieliło się na dwa zasadnicze obozy polityczne, lewicę, czyli P.P.S. i prawicę, czyli „Endecję”, po raz drugi nie znajdowałem miejsca dla siebie. A beczynność, chodzenie luzem, uważałem, wobec ważności chwili, za niedopuszczalne. Do socjalizmu byłem uprzedzony z motywów wyżej już przytoczonych, a endecja wydawała mi się starą obłudnicą, która, okrywając się sztandarem ideałów narodowych, zaprzedała najżywotniejsze sprawy kraju za złudę rosyjskich obietnic. Doprawdy; ciężko było słuchać, jak ludzie, o nieprzeciętnej inteligencji i dobrzy, we własnym mniemaniu, patrioci, z entuzjazmem powtarzali sobie, wyczytywane ze swych dwugroszówek wiadomości, że „nasze” wojska zajęły Lwów lub Przemyśl. Ci ludzie, widocznie kataraktę na oczach mieli, czy też ulegali zbiorowej jakiejś hipnozie, kiedy najjaskrawsze fakty, całkiem sprzeczne z zapowiedziami, nie zdołały ich otrzeźwić. Przypominam sobie następujący charakterystyczny, dla ówczesnej chwili epizod: na dziedzińcu pałacu Branickich na N. Świecie (róg Smolnej) wjeżdżał w samochodzie generał francuski, nie pamiętam, czy Castellenau, czy też Pau; tłum przechodniów wstrzymał samochód na chodniku i urządził generałowi spontaniczną owację, wznosząc okrzyki „Vive la France!”

Generał, stojąc w samochodzie i dziękując ukłonami, odpowiedział: „Vive la Russie”!!

Nie wytrzymałem, i z całego gardła huknąłem: „A bas la France!”; chwila konsternacji... dałem nura, tłum się rozproszył... generał wjechał do pałacu...

A jednak, w pewnym momencie, i ja uległem sugestii.

Kupiwszy na ulicy nadzwyczajny dodatek z odezwą do Polaków Mikołaja Mikołajewicza, zostałem treścią jej olśniony!

„Marzenia ojców i dziadów... Polska zjednoczona... własna armia...” Boże, czy podobna?! Poniosło mnie. Dorożka — i do domu, podzielić się, jak najprędzej „radosną nowiną” z najbliższymi, a przede wszystkim z Matką. Po przeczytaniu usłyszałem taki sąd: „w każdym razie ciebie ta odezwa nie dotyczy; bo ani twój pradziad pod Maciejowicami, ani twój dziad pod Ostrołęką, ani wreszcie twój Ojciec pod Małogoszczą nie marzyli o Polsce zjednoczonej pod berłem cara rosyjskiego; więc nie dla ciebie pismo to jest przeznaczone...”

Doznałem wrażenia, że nagle zdjęto mi czarną przepaskę z oczu, że przed chwilą musiałem ulec jakiemuś porażeniu mózgu, jeżeli

właściwego, a tak przecież wyraźnego sensu tej odezwy nie zrozumiałem od razu.

Wzmogła się teraz we mnie chęć czynu; potrzeba wyładowania myśli i uczuć we właściwym kierunku.

Piszę, chęć czynu: Jakiego? Zbrojnego? Bynajmniej. Po głębokim rozważeniu, z pełnią świadomości i całkowitym poczuciem odpowiedzialności przed własnym sumieniem i sądem mych dzieci, nie poszedłem drogą tradycji rodzinnej i do legionów nie wstąpiłem.

Wyznawałem i wyznaję zasadę, że każdy, dojrzały umysłowo i moralnie, obywatel kraju powinien podejmować się, w pierwszym rzędzie, tych tylko obowiązków, do spełnienia których ma odpowiednie kwalifikacje. Uważałem więc, że Opatrzność obdarzyła Polskę wcale pokąsną liczbą młodych, zdrowych i silnych patriotów, którzy obowiązek służby we własnej armii spełnić mogą i powinni stuprocentowo, a walkę orężną z wrogiem rozegrać, ze znacznie lepszym skutkiem, niż ja. Moje bowiem możliwości fizyczne i stan zdrowia kwalifikowałyby mnie częściej do lazaretów i szpitali wojskowych, niż do okopów.

Strojenie się zaś w pióra bohaterstwa i akcesoria wojenne, po to tylko, żeby móc, przy byle okazji, zbierać słowa uznania, uważam za rzecz niżej własnej godności.

Poza tym, jeszcze jeden wzgląd, czysto materialnej natury, zawążył na mojej decyzji. Byłem już żonaty, ojcem czworga drobnych dzieci i jedynym opiekunem Matki; wyłącznym zaś źródłem utrzymania całej tej rodziny była moja praca zarobkowa w banku.

Pomimo więc, że właśnie nadeszła „pora” postanowiłem rzec się wątpliwych sukcesów bojowych, a natomiast, wszystkie moje kwalifikacje oddać bez zastrzeżeń do dyspozycji przyszłych naszych władz cywilnych.

Tymczasem nawiązałem łączność z działającymi, wówczas konspiracyjnie, organizacjami niepodległościowymi; a gdy, po wkroczeniu do Warszawy Niemców, prasa tego kierunku uzyskała większą swobodę słowa, pisywałem od czasu do czasu artykuły okolicznościowe do „Gazety Polskiej”, „Gońca” i „Kurier Porannego” pod pseudonimem: Julianowicz.

Byłem też członkiem komisji dochodów niestałych C.K.N. i gorliwym propagandzistą odczytów, jakie tam wygłaszali, porywający mówcy: Tadeusz Szpotański i Medard Downarowicz. W tym też czasie otrzymałem, po raz pierwszy miarodajne informacje o osobie, działalności i znaczeniu Józefa Piłsudskiego. Zwłaszcza, szczegółowe rewelacje jednego z krewnych moich, kresowiaka, który mnie pouczył, że Piłsudski, to człowiek, o którym dzieci nasze uczyć się będą, wywarły na mnie głębokie wrażenie. Dotychczas bowiem, patrzyłem na akcję Piłsudskiego bez entuzjazmu, jako na próbę tworzenia polskich, pomocniczych legionów, po stronie austriacko-niemieckiej. Patrząc na „podobne” próby organizowania takich oddziałów przez Górczyńskiego po stronie rosyjskiej i, widząc ich smutny koniec, sądziłem, że i wysiłki Piłsudskiego na podobny los są skazane.

Dopiero, kiedy ludzie mi bliscy, poważni i wiarogodni wytłumaczyli całą absurdalność podobnego porównania i przedstawili mi rolę, geniusz i wielkość czynu Piłsudskiego, coraz żywiej zacząłem interesować się tym wszystkim, co tylko z Nim było związane. A przy pierwszym, bezpośrednim ujrzeniu Go na dworcu kolejowym w Warszawie, a zwłaszcza, na przyjęciu w sali malinowej Hotelu Bristol, poddałem się już czarowi Jego bez zastrzeżeń.

Do udziału, w powyżej wspomnianym przyjęciu namówiłem również mego znajomego, Greulicha Jana, ze względów następujących: miał on w swej domowej biblioteczkę niewielką, w skórę oprawną, starą książeczkę, traktującą o budowie fortec w starożytnym Rzymie. Książeczka była tłumaczona z łaciny na polski przez ks. Paprockiego (autora herbarza) i rozpoczynała się od dedykacji tej treści: „Jaśnie Wielmożnemu Panu Wojewodzie Franciszkowi na Piłsudach Piłsudskiemu” itd. Ujrzawszy ten rzadki okaz bibliograficzny, wytłumaczyłem właścicielowi bezużyteczność trzymania go u siebie i konieczność wręczenia go przy pierwszej okazji Komendantowi. Jakoż okazała ta nadarzyła się w Bristolu, i dopilnowałem, żeby książeczka do właściwych rąk się dostała. (Kiedy, w kilka lat później, miałem szczęście przeżyć dzień cały u boku Marszałka i pozwoliłem sobie, w rozmowie, zaczepić o tę książeczkę, oświadczył mi z uśmiechem, że wspomina ją bardzo mile, ale, że takich unikatów ma już trzy).

Tymczasem Niemcy, pod naciskiem sytuacji na froncie, zdecydowali się wreszcie na przekazanie nam administracji politycznej. Stosownie więc do mego postanowienia, zapisałem się w r. 1917 na przygotowawcze w tym celu „Kursy Akademickie dla Wyższej Administracji przy Uniwersytecie Warszawskim”. Inauguracji ich dokonał hr Hutten-Czapski z ramienia władz okupacyjnych. Dyrektorem został mianowany prof. Koszembar-Łuskowski; wykładali profesorowie: Parczewski, Pohorecki, Cybichowski, Jarra, Siemieński, Sujkowski, Dmochowski (kolega Sławka i mój ze szkoły Kronenberga), Radziszewski i inni. Poziom wykładów był wysoki, ale profesorowie ze względu na krótki, półroczny okres nauki, zmuszeni byli ograniczać się właściwie do omówienia źródeł, jakie należałoby przestudiować. Po ukończeniu powyższych kursów, w maju r. 1918, zgłosiłem do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych swą kandydaturę, na kierownicze stanowisko w administracji politycznej. Po paru miesiącach otrzymałem wezwanie do Gabinetu Ministra, Jana Steckiego, który, w związku z moim podaniem, zaproponował mi odbycie przygotowawczej praktyki w jednym z urzędów okupacji niemieckiej. Oczywiście propozycję przyjąłem, w następstwie czego otrzymałem pismo następującej treści:

„Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Sekcja Ogólna. Dnia 26 lipca 1918 roku. W uwzględnieniu Pańskiego podania przyjąłem Pana na listę kandydatów na wyższych urzędników k. p. politycznej administracji powiatowej. Wskutek wniosku mego doniósł mi c. n. Zarząd Cywilny przy General-Gubernatorstwie

Warszawskim pismem z 12 lipca t. r. 1.9666, że przeznaczył Pana dla odbycia praktyki w służbie politycznej administracji do c. n. Prezydium Policji w Łodzi.

W tym celu zgłosi się Pan w dniu 1 sierpnia r. b. do Pana c. n. Prezydenta Policji w Łodzi. Za Ministra Spraw Wewnętrznych (podpis) Ustjanowski.

W oznaczonym terminie zameldowałem się w gabinecie barona von Lörsa. Dygnitarz ten, pan życia i śmierci okręgu łódzkiego (trzy powiaty i około miliona ludzi), powiadomiony zawczasu, o przybyciu moim i pięciu innych jeszcze praktykantów, przyjął nas bardzo uprzejmie i z niezwykłymi honorami. Ta przesadna uprzejmość, okazywana nam również przez cały najwyższy personel tamtejszego urzędu, była dla nas zagadkową niespodzianką. Tytułowano każdego z nas „herr Kreischefkandidat”, próbowano własnoręcznie pomagać przy wkładaniu płaszczy i wydano legitymacje o brzmieniu poniższym:

„Lodz, den 3 September 1918.

A U S W E I S

für den polnischen Kreischefkandidaten Herrn Feliks Juljan v. Wilski vom Kaiserlich Deutschen Polizeipräsidium Lodz.

Alle Militär und Zivilbehörden werden höflichst ersucht, dem rechtmässigen Inhaber dieses Ausweises jeden erforderlichen Schutz und Beistand gewähren zu wollen.

Der Kaiserlich Deutsche Polizeipräsidium (podpis nieczytelny).

Wyjaśnień w przedmiocie tej dziwnej taktyki okupantów, udzielał nam hr Adolf Bniński, szef Wydziału Rolnego (późniejszy Komisarz Rządu na obwód Łódzki, Wojewoda Poznański i wreszcie demonstracyjny kandydat na Prezydenta Rzplitej), któremu jednocześnie przypadła rola tłumacza i łącznika pomiędzy nami i Niemcami. Muszę przyznać bezstronnie, że Bniński wywiązywał się z tej roli bez zarzutu.

Jednym z obowiązków naszych było, przesyłanie do Ministerstwa, dwutygodniowych raportów z dokonanych już i, zamierzonych na najbliższy okres czynności, oraz wysnuwanych stąd wniosków i projektów na dalszą przyszłość. Umówiliśmy się pomiędzy sobą, że dla uniknięcia jakiegokolwiek sugestii i dla zachowania całkowitej samodzielności w sporządzaniu tych sprawozdań, nie będziemy przed ich wykończeniem żadnych na ten temat prowadzić dyskusji. Zaraz, w pierwszych raportach, ujawniła się wielka rozbieżność, zarówno w ustosunkowaniu się ich autorów do bieżącej pracy przygotowawczej, jak i w ujmowaniu naszych przyszłych zadań. Toteż potem w życiu, rozbieżność ta zarysowała się jeszcze jaskrawiej. Pamiętam, jak byłem zdumiony i chwilowo speszony, ujrawszy raport jednego z kolegów, obejmujący czterdzieści stron pisma maszynowego. Jakże mizernie, w porównaniu z tym dziełem, wyglądał mój raporcik na jednym arkuszu streszczony. Przekonaliśmy się jednak, że te różnice nie miały żadnego znaczenia, ponieważ, bez względu na ilość stron, nikt, jak się zdaje, tych naszych raportów nie czytywał; nie mieliśmy przynajmniej żadnych podstaw do innych wniosków; ze strony Ministerstwa bowiem, przez cały czas naszej praktyki,

nie otrzymaliśmy ani żadnej wskazówki, ani rady, ani krytyki, ani najmniejszej choćby w tym przedmiocie wzmianki. Raporty te, dotyczyły nieraz spraw ważnych, aktualnych, związanych z życiem codziennym i ogólnych jak np. służb: policyjnej, sanitarno-obyczajowej itp.

Rzecz znamienna, że jeden tylko człowiek poświęcał tym naszym raportom wiele czasu i poważnego zainteresowania; był to... von Lörs. Ponieważ wypracowania nasze były przesyłane do Ministerstwa za jego pośrednictwem, wyczekiwał więc na nie do późnego nieraz wieczora i kazał hr. Bnińskiemu natychmiast tłumaczyć je sobie, na razie ustnie, po czym dopiero pisemny przekład niemiecki zaopatrywał w liczne i szczegółowe komentarze.

W miarę rozwoju wypadków na frontach, słabło nasze zainteresowanie bieżącymi sprawami, a natomiast, przedmiotem coraz częstszych i szczegółowych badań stawała się olbrzymia mapa, upstrzona lasem różnokolorowych chorągiewek, linie których zmienialiśmy, pod koniec października 1918 roku, po kilka razy na dzień. W początkach listopada wyczuwaliśmy w środowisku niemieckim źle ukrywany niepokój i pewne rozprężenie w ich wzorowej dotychczas organizacji. Zdenerwowanie to doszło do szczytu na skutek depechy, jaka nadeszła z Warszawy dnia 10 listopada pod adresem jednego z nas, treści następującej: „przyjechać natychmiast dla objęcia stanowisk”.

Wyruszyłem nazajutrz przed południem, wśród niesłychanej paniki i ogólnego zamętu. O regularnej komunikacji kolejowej nie było mowy; pociąg, którym jechałem, zatrzymywał się niezliczoną ilość razy nie tylko na stacjach, ale i w szczerym polu, wskutek czego przestrzeń około 100 km przebył w ciągu 12 godzin. Przed 1-szą w nocy przybyłem do Warszawy. Nastrój stolicy całkiem rewolucyjny. Co chwila mijały się samochody ciężarowe, pełne niemieckich żołnierzy, to znów legionistów, lub cywilów z jakimiś opaskami na rękawach; z różnych stron padały strzały, niewiadomo czyje i dla kogo przeznaczone. Chyłkiem, pod ścianami domów, dobrnąłem do mieszkania przy ul. Mokotowskiej.

Nazajutrz zameldowałem się w gmachu Ministerstwa przy ul. Nowy Świat. W wielkiej sali tłum i gwar nie do opisania — to kadry naszej przyszłej administracji. Po parogodzinnym oczekiwaniu zaczęto nas wywoływać z imienia i nazwiska. Gdy usłyszałem swoje, przecisnąłem się do stolika, przy którym stał sympatyczny młodzieniec z pocztówką w ręku i rzucił mi pierwsze pytanie czy mam jakiegokolwiek życzenie, lub zastrzeżenie co do miejsca mego urzędowania. Wymieniłem 5 powiatów, w których nie chciałbym pracować, ponieważ, wśród tamtejszego ziemiaństwa mam bliższych i dalszych krewnych; obowiązki więc moje służbowe mogłyby kolidować z uczuciami rodzinnymi. „Wobec tego pošlemy Pana do powiatu łaskiego”. To mówiąc skreślił parę wyrazów na przygotowanej pocztówce (była to nominacja na komisarza rządu na powiat)

i, wręczając mi ją, oświadczył: „Proszę wyjechać pierwszym pociągiem odchodzącym w tamtym kierunku”.

Wkrótce zza stołu prezydialnego powstał Ekscelencja, Kierownik Minist. Spraw Wewn., Ustjanowski, i wygłosił krótkie błogosławieństwo na drogę. Wysypaliśmy się na ulicę. Jeden z kolegów-praktykantów, z którym zetknęliśmy się w tłumie, objaśnił mnie że przede wszystkim musimy kupić sobie czapki urzędowe, mające być jedynym, na razie, symbolem najwyższej władzy w powiecie. Uskuteczniliśmy to w sklepie z przyborami wojskowymi. Nazajutrz, spojrzawszy w lustro, przy rannej toalecie, ujrzałem, po raz pierwszy w życiu, żywego starostę. Wrażenie nieszczególne, zwłaszcza w porównaniu ze starymi portretami i tradycją. — No, trudno — pomyślałem, — jednak jechać trzeba.”

W godzinę później siedziałem w pociągu, który, we właściwym czasie (co mi zaimponowało) powiózł mnie na miejsce nieznanych przeznaczeń. Znalazłem się na dworcu, obcego mi zupełnie, fabrycznego miasta. Tragarz nie umiał wskazać adresu biura mego niemieckiego poprzednika. Skierowałem się na rynek. Ratusz, przyozdobiony czerwonymi sztandarami i otoczony zwartym tłumem bezrobotnych. Z sąsiedniej ulicy nadchodził, kilkutysięczny pochód, śpiewający i niosący również czerwone sztandary, oraz wielkie napisy: „Żądamy chleba i pracy”.

Nie wiedziałem, co mam z sobą zrobić i dokąd się udać. — Przystanąłem chwilę, wśród grupki gapiów i pierwszego z brzegu zapytałem uprzejmie: „czy nie wie pan, gdzie znajduje się biuro, byłego Krajschefa?” — Odburknął niechętnie: „na Fabrycznej, ale nimo to pan poco tam chodzić, bo tam nikogój nimo; zamknięte”. — „Dlaczego zamknięte?” — zapytałem. — „Jakto dlaczego? — to pan nie wi, co tu się dzieje (tu łypnął podejrzliwie na moją czapkę). Od wczoraj nasi rzondzom”. — „To znaczy kto? zapytałem. — To sie wi, że rada robotnicza, na ratuszu”.

Podziękowałem za informacje i automatycznie ruszyłem przed siebie, starając się próżno, obmyśleć jakąś sensowną i celową drogę dalszego postępowania. — Zdawało mi się, że należy iść do Ratusza i nawiązać kontakt z obcymi władzami miasta; — po chwili uznałem to za niemożliwe, nie będąc pewnym przyjęcia. W tym momencie spostrzegłem, a raczej wyczułem, że ktoś kłania mi się i jednocześnie podszedł do mnie jakiś jegomość z czarną bródką i bardzo uprzejmie zapytał: „Zdaje mi się, że mam zaszczyt powitać pana starostę? — Nazywam się Olszewski. (Tu zaznaczyć warto, że wszyscy, bez względu na stanowisko socjalne zaczęli instynktownie tytułować nas, Komisarzów Rządu — Starostami). Jestem naczelnikiem pańskiej kancelarii, i od wczoraj, oczekuję z niecierpliwością pańskiego przyjazdu; — chciałem przygotować biuro, ale Rada Robotnicza, rozbroiwszy Niemców, zawładnęła całym miastem, biuro nasze zamknęli, a klucz zabrali. Byłem u nich wczoraj, prosiłem o zwrot klucza i akt, ponieważ, lada chwila, spodziewam się przyjazdu pana komisarza. A oni na to: „Poradz pan swemu komisarzowi, żeby lepiej się nie fatygo-

wał, bo prędzej stąd wyjedzie, niż myśli; jak nam będzie potrzebny komisarz, to go sobie sami wybierzemy, a żadnych nasłanych tam przez kogoś nie uznajemy”.

Wysłuchawszy tej zachęcającej relacji, zauważyłem, że panu Komisarzowi Rządu i naczelnikowi jego kancelarii nie wypada jakoś deliberować nad sprawami państwowymi na ulicy; tym bardziej, że „symbol władzy” koloru khaki z amarantowym otokiem i metalowym okuciem daszka, wzbudzał coraz żywsze zainteresowanie i niezbyt miłe komentarze ze strony wałęsającego się tłumu.

Poszliśmy, więc, do miejscowego „Bristolu”, gdzie oświadczyłem memu naczelnikowi, że, zanim poweźmę jakąkolwiek decyzję co do dalszego postępowania, muszę przede wszystkim gdzieś się zainstalować; trzeba więc znaleźć jakieś odpowiednie mieszkanie. Usłużny kelner, słysząc częściowo naszą rozmowę, a zwłaszcza tytuł starosty, począł kłaniać mi się, trzy razy niżej, i zapewnił, że „z mieszkaniem pan starosta żadnego kłopotu mieć nie będzie, ponieważ opuszczonych przez Niemców jest „do cholery”. Jakoż zaprowadził nas do pięknej willi z przyległym ogrodem, zamieszkałej tylko przez służbę i jedynego młodocianego przedstawiciela właścicieli dużej fabryki, który przyjął mnie, jak zbawcę, oddając do rozporządzenia komfortowe, 4-pokojowe mieszkanie, całkowicie i bardzo wygodnie urządzone.

Mając więc grunt pod nogami, poczułem się pod każdym względem znacznie lepiej. Powziąłem decyzję; zatelefonowałem do ratusza i nawiązałem następujący dialog:

„Kto tam znowu u diabła?”

Tu dzwoni Komisarz Rządu na powiat łaski, — chcę mówić z przewodniczącym rady robotniczej.

„Teraz odbywa się posiedzenie, przewodniczący zajęty”.

To proszę, żeby do mnie zadzwonił, jak tylko mu czas na to pozwoli; mam ważne sprawy do omówienia...

Zawiesiłem słuchawkę. — I teraz przeżyłem godzinę, najcięższego niepokoju i zdenerwowania.

Zatelefonuje, czy też nie? — Co robić w takim wypadku? Iść do ratusza niepodobna, zwłaszcza po znamiennym raporcie Olszewskiego o nastrojach tam panujących. Mogą nie wpuścić; mogą łeb ukrećcić... trudno... Nie nadstawiałeś łba na froncie wojennym, musisz spełnić ten obowiązek teraz, na froncie cywilnym...

Po 50 minutach oczekiwania rozległ się dzwonek telefonu. Brzmiał, jak głos zbawienia; przecież nikt inny nie mógł telefonować, tylko ratusz!

— „Tu ktoś dzwonił do mnie, — tu mówi przewodniczący Rady Robotniczej”.

— Niedokładnie pana poinformowano, mówiłem wyraźnie, że telefonował Komisarz Rządu na powiat łaski. Widzę na mieście bardzo niepożądane nastroje. Ludność, zamiast stać przy warsztatach, wałęsa się po ulicy, bez pracy i głodna. Uważam za mój pierwszy obowiązek zająć się tymi sprawami i chciałbym na ten temat naradzić się z panem; będę bardzo obowiązany, jeżeli pan zechce ułatwić mi to i pofatyguje się do mnie.

— Chwila milczenia — po czym wyraźna zmiana tonu i słyszę słowa:

— „Rzeczywiście, że te pochody to nasze największe zmartwienie... ale ja nie mogę rozmawiać z panem komisarzem w cztery oczy, a prowadzić ze sobą taką gromadę, bo to w Radzie zasiada 40 osób, to jakoś... nie zręcznie; może więc pan komisarz to uwzględni i potatyguje się do nas na ratusz”.

Zrozumiałem, że biedaczysko sam musi być w opałach i ze słów moich wywnioskował, że mam jakieś cudowne i gotowe środki na uspokojenie rozagitowanych towarzyszy. Odpowiedziałem więc:

— Proszę pana, gdzie idzie o sprawy publiczne i tak ważne, uważam wszelkie ceremoniały za niedopuszczalne; chętnie przyjdę do was za 10 minut.

— No, panie Olszewski, idziemy!...

— Panie Starosto, może to pułapka?

— O tym, przekonamy się na miejscu.

Wszedłszy na salę posiedzeń, skierowałem się bez wahania do stołu prezydialnego i zająłem miejsce przewodniczącego, który wyszedł na moje spotkanie. Olszewski stanął za moim fotelem. Włożywszy na głowę „symbol władzy” (tak!) palnąłem pierwszą w życiu mowę oficjalną, tej mniej więcej treści:

— Jeżeli spotkał mnie ten zaszczyt niezmierny, że zostałem mianowany przedstawicielem Rządu Polskiego na tym małym odcinku Niepodległej Rzeczypospolitej, to uważam, że moim obowiązkiem jest wykorzystać to wysokie stanowisko w tym sensie, żeby życie ludziom ułatwiać, a nie utrudniać. Będąc urzędnikiem, i korzystając ze wszystkich przywilejów z posiadaniem władzy związanych, nie przestanę, ani na chwilę, być żywym członkiem społeczeństwa i jego służą, odczuwać wszystkie jego potrzeby i, w miarę możliwości, potrzeby te zaspakajać. Nie doczekacie, jednak, obywatele, ode mnie, nigdy, żadnych obietnic, których nie mógłbym dotrzymać. Okłamywać was, ani ludzić nie mam zamiaru, bez względu, czy słowa moje i czyny będą wam się podobać — czy też nie”.

Zakończyłem wezwaniem: proszę wstać! —

Wstali hurmem, jak jeden człowiek.

— Najjaśniejsza Rzeczpospolita i Jej Wskrzesciciel Józef Piłsudski niech żyją!!

Po czym zwróciłem się do przewodniczącego:

— Dziękuję panu serdecznie za opiekę nad moim biurem... jestem przynajmniej spokojny, że tam nic nie zginęło — proszę o klucz...

Zaczęło się gorączkowe poszukiwanie klucza, a ja tymczasem do Olszewskiego na stronie:

— Masz pan tu 5 marek, kupi pan białego płótna, oraz orła naszego: płótno przyszyje pan do czerwonego sztandaru, wiszącego obecnie na balkonie naszego biura, orła pan wywiesi nad drzwiami, kancelarię pan uporządkuje, za godzinę tam będę... Po czym, rozpocząłem obrady z Radą Robotniczą nad sytuacją w mieście. Przede

wszystkim rozwiązałem złudne przypuszczenia, że lada chwila nadejdą wagony z mąką, cukrem, lub ryżem... Po godzinie rozpocząłem urzędowanie we własnym gabinecie...

Nazajutrz, Rada Robotnicza zawiadomiła mnie o swym rozwiązaniu, zrzekając się na moją „korzyść” swych uzurpatorskich przywilejów, no i wszystkich, oczywiście, trudności, z chwilą ówczesną związanych.

W ciągu dni kilku, co rano, oczekiwały mnie, przed gmachem i na schodach starostwa tysiączne tłumy bezrobotnych. Rozstępowały się życzliwie przede mną, dając wąskie przejście, i zlewały się natychmiast, za mymi plecami, w zwarte, nieustępliwe, groźne fale, by po chwili, w sposób bezwzględny, żądać natychmiastowego zaspokojenia ich głodu i braku pracy, lub przynajmniej złożenia obietnicy, że to nastąpi w dniach najbliższych.

Oczywiście, przyrzeczeń takich dawać nie mogłem; i wtedy to zrozumiałem i oceniłem w całej pełni, jak mądrym i przewidującym było taktyczne posunięcie Naczelnika Państwa, kiedy na ową, tak niebezpieczną chwilę, na czele rządu postawił nie kogo innego, lecz właśnie Jędrzeja Moraczewskiego. Nazwisko to działało wówczas, jak beczka oliwy na wzburzone bałwany i nieraz ułatwiało mi pracę.

Tradycyjny antagonizm pomiędzy wsią a dworem, tak troskliwie podtrzymywany przez rządy zaborcze, a wówczas przez rodzimych agitatorów, gorliwie podniecany, był doskonałym podłożem dla rewolucyjnych haseł, płynących z Rosji olbrzymią falą propagandowej bibuły.

Ciemne masy ludowe, tak nagle obdarzone wolnością, nie rozumiejąc ani znaczenia, ani celu tego pojęcia, utożsamiały je z samowolą i anarchią i ulegały różnym, co chwila, nastrojom; zasadniczo, jednak, i najczęściej, silnym zawrotom głowy i atakom szaleństwa.

Dominujące hasło Polski „ludowej” identyfikowano z dyktaturą proletariatu i, w konsekwencji dochodzono do wniosku, że jeżeli jakakolwiek władza w ogóle jest potrzebna, to już nie inna, jak tylko chłopsko-robotnicza; a więc: na czele państwa — chłop, komisarzem ludowym — chłop, burmistrzem — robotnik, itd. Jednocześnie zaś, wzajemna podejrzliwość, nieufność i niechęć pomiędzy proletariatem wsi i miast wytwarzały, łącznie z powyższymi nastrojami, atmosferę niezwykłego chaosu, wielkiego napięcia i wszelakich możliwości. Praca więc w tych warunkach była nie łatwa i dość emocjonująca, ponieważ jej skutków nie można było nigdy przewidzieć, jak zwykle, zresztą, gdy ma się do czynienia z tłumem, zwłaszcza wygłodzonym i rozagitowanym. Mając w pogardzie papierową stronę mego urzędowania, zleciłem ją referentom i kancelistom, sam zaś oddałem się w 90% żywej pracy w terenie; rozumowałem, że tylko ta bezustanna, bezpośrednia styczność z ludnością da mi możliwość względnego, przynajmniej, poznania rzeczywistości, właściwej oceny sytuacji, odpowiedniego ustosunkowania się do ówczesnych wydarzeń i jakiegokolwiek na nie wpływu.

Pośrednictwo w konflikcie dworsko-włościańskim miałem ułatwione, dzięki dobrej znajomości obu stron. Urodziłem się wszak i wychowałem we dworze, a z chłopstwem pozostawałem w życzliwych stosunkach od najwcześniejszego dziecięctwa; znałem więc ich psychologię na wylot, i mogłem do nich mówić własnym ich językiem; a jednak i tu trzeba była nieraz kierować się tylko intuicją, kiedy i gdzie, miodem wypadało posmarować, a kiedy pięścią w stół uderzyć.

Tak, na przykład, na jednym z niezliczonych zgromadzeń gminnych, które, jak zwykle rozpoczynałem przemową z wysokości stołu, wystawionego przed domem urzędu gminnego, próbowano sprowokować jakąś awanturę; zaledwie stanąłem na stole, zebrani wszczykali jakieś szeptki, rozmowy pomruki, co przy udziale kilku tysięcy ludzi (frekwencja była wówczas na wszelkich zgromadzeniach bardzo liczna), uniemożliwiało mi zupełnie dojście do głosu; najspokojniej więc w milczeniu, schodziłem ze stołu, dając do zrozumienia, że czekam, aż się uciszą, powtarzało się to parokrotnie, wreszcie, rozdrażniony, wskoczyłem na stół zniecacka i ryknąłem: „ja chcę tylko wiedzieć, kogo mam tu przed sobą, ludzi, czy bydło! — jeżeli ludzi, to będę do nich mówił, — jeżeli bydło, to wezmę bat!” Efekt był piorunujący; zdumienie mowę im odebrało; korzystając z tej chwili, improwizowałem bezzwłocznie dalej: „a więc, chciałem wam powiedzieć co o was rzekł wielki nasz rodak i poeta; otóż, Stanisław Wyspiański powiedział, że „chłop potęgą jest i basta!”. Dobrze powiedział i..., rozwijając ten temat, jaką to potęgą polski chłop być może i powinien, przemawiałem wśród absolutnej ciszy dość długo, i z dobrym, jak się zdaje, skutkiem.

Innym razem, kiedy hasło ludowładztwa i, związane z tym nadzieje, zbyttno rozpałiło wyobraźnię tych biedaczków, zastosowałem następujący prysznic chłodzący: podczas obrad sejmiku zapytałem nagle jednego z zebranych: „panie Piguła, ile pan ma morgów ziemi? Zaskoczony, podrapał się dla zwyczaju w głowę i odpowiedział: „a no, będzie tego, prose W. Pana Starosty 22 morgi i 80 prętów, ale to mało co warte, bo zimnia letko, ino tu z brzega, co krzyne lepse”... (Ten dodatek był bardzo charakterystyczny; Piguła przywykł przeciw od lat wielu, że jeżeli przedstawiciel władzy pyta go o stan posiadania, to to musi mieć ścisły związek z jakimś nowym podatkiem, lub inną ofiarą; przezornie więc, i zawczasu starał się obniżyć wartość swej własności).

„Serdecznie mi pana żal, przerwałem, że pan ma taką marną gospodarkę, panie Piguła, ale narazie nie o to chodzi; niech mi pan powie jeszcze, ile na tych 22 morgach chowa pan inwentarza?” Wymienił: 3 konie, 6 krów, 12 świń, ileś tam kur i kaczek, razem około 70 sztuk. Teraz niech mi pan powie, któż to tam u pana w tym gospodarstwie rządzi?

Chłop zaniemówił, a po chwili, wielce zakłopotany: „a no, proszę Pana Starosty, któż ta niby ma rzundzić, przecie to moje, to ja rzundzę”...

Jakto? zawołałem, pan jeden? jakto nie konie, cielęta, gęsi? przecież oni mają większość? — jak to może być! to niesprawiedliwie!

Piguła całkiem zgłupiał; po chwili, kiedy tu i owdzie, tłumione śmiechy dały się słyszeć, zaczął bąkać: „a no, jak żeby to było, żeby bydłoki rzundziły, przecież une ni majom do tego rozumu”...

Otóż to, moi panowie! przerwałem. Okazuje się, że nie zawsze większość może rządzić; tak też będzie i z rządami ludowymi w Polsce; chłop, pomimo, że jest w znacznej większości, wtedy dopiero rządzić Polską będzie, kiedy zdobędzie potrzebny do tego zasób wiedzy i rozumu, więc też najpilniejszą naszą potrzebą to szkoły... Rozwinąłem konieczność rozbudowy szkolnictwa i uzyskałem odnośne uchwały. Dla złagodzenia zaś poprzedniego wrażenia dodałem na zakończenie, „naturalnie, że panom tu zebranych nie potrzebuję tego wszystkiego tłumaczyć, bo wiem, że mam tu przed sobą wybór, sam kwiat inteligencji włościańskiej; idzie mi tylko o to, żebyście tę prawdę zanieśli tam, pod strzechy waszych wyborców, do tych ciemnych jeszcze umysłów, które często nie wiedzą, co czynią i idą naoslep za pierwszym lepszym agitatorom, jak szczury za znachorem, który ich prowadzi do topieli.

Kiedyindziej znowu, próbowałem zagrać na ich ambicji. Zauważywszy wiele przydrożnych drzewek bądź uszkodzonych, bądź całkowicie połamanych przez powracających z jarmarku „wesołych” kmiotków, kazałem, w odstępach parukilometrych, umieścić dość duże tablice z następującym tekstem, „Pamiętaj żeś nie zwierzę ani barbarzyńca dziki, lecz syn polskiego, na świat cały, sławnego narodu!

Więc, nie łam i nie niszczy, jeno sadz i pielęgnuj”!

Pomogło. Szkody znacznie się zmniejszyły. I tak udawało się jakoś, ale — nie zawsze i nie wszędzie. Wypadek, jakiemu uległ jeden z moich kolegów sąsiadów, świadczy, jak łatwo było potknąć się na tej drodze i zbłądzić w wyborze sposobów działania. Kolega ów widocznie użył niewłaściwych argumentów i w nieodpowiedniej chwili bo w pewnym momencie znalazł się w worku i na taczkach. Co prawda, przymusowej kąpieli w rzece, bo i ta była w programie, jakoś uniknął, ale powiat musiał opuścić bezpowrotnie. Kto zaś miał w zanadrzu przysłówiowy łut szczęścia, ten lawirował z dnia na dzień, od wypadku do wypadku, w dosłownym tego znaczeniu; bo wypadki szły nieprzerwanie i w zawrotnym tempie. Tu, wójt ogłasza się w swej gminie prezydentem niezależnej republiki i nie uznaje żadnej ponad sobą władzy, tu komuniści okupują na swój rachunek fabrykę, a jej właściciela chcą skrócić o głowę, tu znów, zaagitowany tłum terroryzuje sąd i uniemożliwia wymiar sprawiedliwości, a jednocześnie forsuje bramy więzienia, aby uwolnić, niesłusznie tam odosobnionych towarzyszy... itp. Pomimo to wszystko czułem się w swoim żywiole; czułem, że znalazłem właściwe pole działania. Być wszędzie, interweniować osobiście, tak, czy inaczej, byle skutecznie, byle na bieżącą dobę względny spokój utrzymać, uważałem za swój pierwszy obowiązek i było wewnętrzną moją potrzebą. Po dziesięcioletnim prawie urzędowaniu doszedłem do głębokiego przekonania, że urząd

starosty, to najpiękniejsze stanowisko i jedno z najważniejszych w Polsce.

Starosta to jedyny przedstawiciel rządu, o wyższym poziomie wykształcenia i kultury, wyposażony w szeroki zakres specjalnej władzy, a jednocześnie, bezpośrednio ze społeczeństwem związany.

W owym, mniej więcej czasie wznowiłem stosunki z Walerym Sławkiem. Podczas pierwszego, naszego, od lat 20 spotkania, prosił, żeby być z Nim w stałym kontakcie.

Przez cały czas mego starostowania na prowincji, kontakt ten, z natury rzeczy był bardzo rzadki; dopiero, po przeniesieniu mnie w tak zwany „stan spoczynku”, stał się częstszym, zwłaszcza, w okresie mego urzędowania w Z. N. P. W.

Były sprawy, które nas zbliżały, to znów takie, które, na czas pewien, nas dzieliły.

Ostatni raz widziałem Go, na kilka tygodni przed śmiercią, w Jego mieszkaniu, przy ul. Szucha.

Był wyjątkowo serdeczny i niezwykle podniecony. Znałem Go, jako człowieka bardzo opanowanego i zrównoważonego, z pewnym więc zdziwieniem zauważyłem, jak żywo reagował dnia tego na takie, lub inne życie, dyskutowanego tematu.

W pewnej chwili powiedziałem: proszę, zechciejcie mi kolego, wyjaśnić fakt, którego, w żaden sposób, wytłumaczyć sobie nie mogę, a mianowicie: to, że nie jesteście premierem — rozumiem; to, że nie jesteście marszałkiem Sejmu, też rozumiem; ale, jak mogło się stać, żeby Sławek nie uzyskał zwykłego mandatu poselskiego, kiedy zdobywa go nieraz pierwszy lepszy, tego pojąć nie mogę...

Wstał, w bezradnym ruchu rozkrzyżował ręce i zaczął nerwowo chodzić po pokoju; po chwili siadł, zapalił papierosa i, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, zaczął mówić, jakby nie do mnie; mówił jakby wygłaszał exposé z trybuny Sejmowej; nie przerywałem, oczywiście, ani słowem; miałem wrażenie, że rad jest, iż może się wypowiedzieć i że ma nieobojętnego słuchacza; mówił więc przeszło godzinę!

Przy pożegnaniu powiedział z widocznym przygnębieniem: a teraz, widzicie, moi drodzy, nie pozostaje nic innego, jak tylko likwidować to oto mieszkanie, bo utrzymać go nie mam zaco, i... wyjeżdżać... jak najdalej!...

Przez myśl mi wówczas nie przeszło jednak, że widzę Go poraz ostatni i do dziś trudno w to wierzyć!

Bo, któż to tak niespodziewanie, tak „dobrowolnie” opuścił Polskę na zawsze?

Najbliższy towarzysz pracy i przyjaciel Józefa Piłsudskiego!

STANISŁAW LIS-BŁOŃSKI.

PIĘCDZIESIĄT DNI NA PODOLU W 1920 ROKU *).

I.

Przyjechałem do Równego 22 kwietnia 1920 roku. Przybyłem w samą porę. Nie spóźniłem się. Znałem już dobrze front litewsko-białoruski, Wilno, pogranicze litewskie. Poznałem również mieszkańców tych okolic, miejscowe stosunki i warunki bytu, zwyczaje i obyczaje. Służba oficera w owym okresie była taka, że musiał wszystko wiedzieć, na wszystkim się znać, ucząc się sam, winien był uczyć innych.

Gdy otrzymałem rozkaz udania się z Wilna przez Warszawę do Sztabu ścisłego Naczelnego Wodza w Równem, bardzo się ucieszyłem. Tyle słyszałem i czytałem o ziemiach Ukrainy, o Wołyniu i Podolu! Legenda tu przeplatała się z historią, bajka z rzeczywistością... Tyle wielkich bitew, tyle zmagañ oręża polskiego, tyle momentów chwały i klęski związanych z tą ziemią!

Toteż nie mając jeszcze żadnych danych co tam będę robił, jaka będzie moja funkcja, ani pod czym rozkazem będę służył — bardzo byłem rad z rozkazu, który mnie tam powoływał.

Z Wilna wyjechałem natychmiast. W Warszawie zatrzymałem się tylko do następnego pociągu, zaledwie tak długo, jak było to potrzebne by zabrać z Naczelnego Dowództwa odpowiednie dokumenty.

Jadę... Pociągi przepełnione do ostateczności. Ludzie tłoczą się jeden na drugiego i stoją nawet w drugiej klasie. Wagony prymitywne, przerobione z towarowych. Parowozy „zmęczone” sapia. Szybkość jazdy najwyżej 25—30 km na godzinę. Cóż to za jazda, pożałuj się Boże? Mimo to z zadowoleniem stwierdzam znaczny postęp w dziedzinie lokomocji. Pół roku temu jechało się do Mińska po zajęciu tego miasta przez nasze wojska w wagonach towarowych zupełnie zniszczonych o dziurawych ścianach i dachach. Deszcz, jak przez sito, sączył się na głowy pasażerów. Pasażerami tymi było

*) Wspomnienia moje oparte są na współczesnych robionych przeze mnie zapiskach i notatkach.

przeważnie wojsko. Tylko bardzo mała garstka osób cywilnych udaje się do Mińska za specjalnymi przepustkami. W pobliżu Mołodeczna lokomotywa odmawia posłuszeństwa z powodu braku paliwa. Pociąg zatrzymuje się. Wszyscy wysiadają. Każdy musi spełnić swoją powinność — przynieść maszyniście z pobliskiego lasu, naręcze drzewa. Moloch - lokomotywa nasycony — można jechać dalej. I tak po kilka razy. Z Lidy do Mińska jechało się 24 godziny. Nic dziwnego, że obecna jazda z Warszawy do Równego, chociaż w niemożliwym ścisisku i na stojąca, wydaje mi się szczytem szybkości i wygody.

Po przyjeździe do Równego widzę jak w bajce dwa wspaniałe, oświetlone elektrycznością, pociągi. Takich jeszcze w niepodległej Polsce nie widziałem! Cóż za duma i radość mnie opanowały! Takie oto już mamy pociągi! A mieści się w nich Sztab ścisły Naczelnego Wodza Armii Polskiej! Ja też do tego sztabu będę należał! Spieszę czempredzej się zameldować. Koledzy przyjmują mnie serdecznie i zasypują tysiącami pytań o nowiny z Warszawy, o nastroje, o sytuację na froncie północnym.

W Sztapie panuje szalony ruch. Praca wre, nie ustaje ani na chwilę. Brak tu specjalnych pokoi, sal, gabinetów — wszystko jest rozlokowane w wagonach, skupione na małej przestrzeni, ale tu jest front, nie czas na wygody. Od jednego z kolegów dowiedziałem się, że Naczelnny Wódz również w tym pociągu urzęduje. Z Nim razem są najbliżsi Jego współpracownicy: Szef Sztabu Naczelnego Dowództwa oraz oficerowie sztabu ścisłego: ppłk. Matuszewski, kpt. Boerner, kpt. Schaetzel i inni.

Jakże pragnąłem zobaczyć Naczelnika Państwa! Już teraz, w tej chwili! Ale był już późny wieczór; przez okno dojrzeć nie mogłem, wejść do wagonu pod jakimkolwiek pretekstem nie wypadało. Zazdrościłem starszym oficerom. Oni szczęśliwi! Znajdują się blisko Komendanta, mogą Go często widywać, rozmawiać z Nim, słuchać rozkazów z Jego ust. Jadą z Nim w jednym przedziale, towarzyszą Mu w samochodzie...

— A my, co „patałachy”? — mówi jeden z kolegów podchorążych. Pocięszam go, że i tak jesteśmy szczęśliwsi od innych. Wszak jesteśmy tu blisko, obok, bierzemy udział w wyprawie Kijowskiej, idziemy na daleką Ukrainę. Jesteśmy częstką, atomem tego wielkiego dzieła, które się dokonywa. Każdy z nas ma przydzieloną sobie część pracy, którą musi wykonać. Czy to będzie generał, dowódca armii, czy pułkownik, czy też skromny podchorąży, każdy ponosi swoją część odpowiedzialności.

II.

Po zapoznaniu się z otoczeniem, przełożonymi i kolegami, poszedłem zwiedzić Równę. Gdy już nic, zdawało mi się, nie uszło mojej uwagi, a parogodzinną włóczęgę porządnie czułem w nogach, uznałem za wskazane posilić nadwątlone ciało darami bożymi

w miejscowej cukierni. Do dziś dnia pamiętam niezrównany smak, i śnieżną białość bułek, jakie tam dostałem. Skojarzyłem zaraz tę ich dobroć z życiodajną glebą wołyńską i jej przypisałem wysoki gatunek pszenicy, z której pieką takie wspaniałe bułki. Koledzy moi skwapliwie mi to potwierdzili. Pałaszowaliśmy z apetytem bułki i ciastka popijając smakowitą kawą. W ciągłej tułaczce wojennej, nieustannym przenoszeniu się z miejsca na miejsce, rzadko spotykała nas taka gratka, jak dzisiaj. Dlatego też ta uczta utkwiała mi tak mocno w pamięci. Cieszyliśmy się życiem, cieszyliśmy się, że jesteśmy na Wołyniu, że idziemy naprzód.

Lecz trzeba było wracać do Sztabu. Dwa długie pociągi, jak legendarne węże wyciągnięte na szynach, oświetlone à giorno, jak sale balowe podczas wielkiej uroczystości. Bo też istotnie, przygotowywano się tam do uroczystości, do wielkiego święta, nie tylko dla całej armii, lecz dla całej Polski. Wódz Naczelny przygotowywał plan zdobycia Kijowa!

Zanim zdążyłem znaleźć sobie odpowiedni kąt w wagonie, zanim dowiedziałem się, jaką mam pełnić w Sztacie funkcję, już otrzymałem rozkaz objęcia służby oficera inspekcyjnego Sztabu ścisłego Naczelnego Wodza. Zdumienie moje nie miało granic. Dziś dopiero przyjechałem, nie miałem jeszcze czasu zapoznać się z warunkami ani tokiem pracy, a już miałem pełnić służbę tak ważną, tak odpowiedzialną, jak służba oficera służbowego Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich na froncie!

Natychmiast uzupełniłem swój stan uzbrojenia: zaopatrzyłem się w odpowiednią ilość amunicji do pistoletu, poprawiłem oporządzenie do „stanu bojowego” i wyszedłem na odprawę z przydzielonymi do tej służby żandarmami. Przed tym jeszcze ponowiłem u rozkazodawcy pytania co do zakresu mej służby i zachowania się na posterunku. Służba moja miała polegać na obserwowaniu i czuwaniu, by nikt bez ścisłego wylegitymowania się nie zbliżył się do pociągu Naczelnego Wodza. Służbę pełniły gęste posterunki żandarmerii, ja natomiast byłem obowiązany kontrolować czujność żandarmów, a przeto byłem obowiązany znajdować się stale w pobliżu pociągu.

W pociągu tym przez całą noc pracował Naczelny Wódz! Wódz, którego imię było symbolem wielkości Ojczyzny, na którego jedno skinienie żołnierze gotowi byli w tej chwili oddać życie! Był tu na miejscu, za cienką ścianą wagonu salonowego. Trzeba Go było strzec jak najświętszego skarbu!

Pełniłem służbę z niezmiernym przejęciem i nadzwyczajną gorliwością. Chodziłem i chodziłem niezmordowanie koło pociągu, bojąc się zaufać nawet tym starym, wiernym żołnierzom, z jakich składał się posterunek żandarmów.

Kto pamięta te dnie i noce w końcu kwietnia i w maju 1920 roku? Kto pamięta te piękne noce gwiazdziste, księżycowe? To wspaniałe nocne powietrze, ten upajający zapach wołyńskich, a następnie podolskich pól i łąk! Pamiętam tę lekkość na sercu i duszy, tę radość i beztróskę te uczucia ufności i dumy, które pokonywały naj-

większe zmęczenie, największe nie wyspanie i trudy — bo wiedziało się, że wszyscy dążymy do wielkiego celu, realizujemy wielką rzecz, realizujemy plan Wskrzesiciela Niepodległej Ojczyzny!

Tak więc i w tę pamiętną noc kwietniową, pomimo kilku nieprzespanych nocy, pomimo braku odpoczynku po męczącej podróży, nie czułem się wcale zmęczony; z dumą chodziłem i pilnowałem pociągu Naczelnego Wodza. Było cicho, spokojnie na ziemi, jasno, gwiazdziście na niebie. Dookoła panował spokój. Tylko od czasu do czasu gdzieś zagwizdał jakiś manewrujący po szynach parowóz, zrzwał koń, zaszczekał pies lub z daleka, z miasta, echo niosło głosy nocnych włóczęgów. Tylko w wagonie Sztabu ścisłego słychać było nerwowy stukot maszyny do pisania.

Tak przechodziła pierwsza moja noc na posterunku.

Nieraz słyszałem, że Wódz nie tylko nie lubi, ale nawet nie jest w stanie załatwić wszystkich spraw w dzień, jak to się mówi „w godzinach urzędowych” i że bardzo często pracuje długo, długo w nocy. A teraz, w decydujących chwilach, w tak ważnym okresie historycznym, gdy ważą się losy państwa, losy zwycięstwa — na pewno pracuje po całych nocach. „Nie wiadomo kiedy odpoczywa — mówi mi jeden z kolegów — uważaj więc, trzymaj się, bo może niespodziewanie wyjść z wagonu i nie będziesz wiedział, co ze sobą zrobić, jak się zachować!” „Nie bój się — powiedziałem — dam sobie radę!”

Nie bardzo wierzyłem, by mogło mię spotkać szczęście ujrzenia Komendanta, jednak, maszerując wzdłuż pociągu, powtarzałem sobie słowa meldunku. Byłem w nielada kłopotcie, jak mam się zameldować. „Obywatelu, Komendancie...” nie śmiałem. (Od kilku miesięcy, rozkazem, zdaje się, Ministra Wojny, „obywateli” przemianowano na „panów”). „Panie Naczelniku Państwa”... nie podobało mi się. „Naczelnny Wodzu” również nie wydawało mi się odpowiednio. Słowem, głowiłem się i głowiłem, a nic mądrego nie mogłem wymyślić. W końcu uspokoiłem się. Przestałem wierzyć, by Marszałek miał wyjść z wagonu tej nocy.

Maszerowałem więc dalej, oddany swoim myślom. Noc zbliżała się ku końcowi. Zaświtał ranek. Żał mi było, że ta cicha, czarowna noc się kończy. Kończy się moja odpowiedzialna służba. Kto wie, czy los pozwoli mi pełnić ją jeszcze raz?

Była godzina około 3.30. Wciąż chodziłem. Od czasu do czasu zamieniałem pół głosem kilka słów z żandarmem i dalej maszerowaliśmy, milcząc.

W tym, o Boże! Kogo widzę?! Wychodzi z salonki Naczelnny Wódz. Widzę Go o jakie 30, 35 kroków ode mnie. Skierował się w lewo, w przeciwną ode mnie stronę. Serce mi zakotało. Nie wiedziałem, co mam ze sobą robić: biec za Komendantem, by Mu się przy końcu pociągu zameldować, czy też dać spokój? Stoję więc wpatrzony w postać Wodza i ani z miejsca. O ile byłem szczęśliwy, że Go widzę, o tyle dziękowałem Bogu, że nie skierował się w moją stronę. Patrzę i nasłuchuję, czy który z żandarmów nie podbiegł,

by się Komendantowi zameldować. Nie. Stoję więc i dalej obserwuję. O ile sobie przypominam, miałem prócz szabli i pistoletu przy boku, przewieszony przez ramię karabinek z nabojami. Wyglądałem więc prawdopodobnie bardzo „bojowo”, jak sam Mars.

Stałem, przestępując z nogi ona nogę i nie spuszczałem wzroku ze spacerującego Komendanta. W tym widzę — Marszałek wraca z powrotem. Co zrobi: wejdzie do wagonu, czy też pójdzie w moim kierunku? Minął swój wagon, idzie ku mnie. Spłoszone myśli zaczęły kołować w mojej biednej głowie. Jakżeż mam się wreszcie zameldować? Nic mądrego mi na myśl nie przychodziło. Marszałek był tuż... tuż...

Podskoczyłem do wagonu, obok którego stałem, wyciągnąłem się jak struna, dotykając plecami ściany i przyłożyłem dwa palce do daszka czapki i na tym koniec. Zdecydowałem, że zamiast zameldować się źle, lepiej nie przerywać Komendantowi spaceru i milczeć. Może tak będzie lepiej? Może sobie Komendant pomyśli, że taki dostałem rozkaz. Zresztą, zauważyłem, że żaden z żandarmów nie meldował się, a przecież oni tu dłużej niż ja pełnili służbę, pełnili ją codziennie.

Komendant nawet na mnie nie spojrział. Może myślał, że stoi taki sam żandarm, jak inni? Może nie wie, że to ja jestem oficerem służbowym? Takie myśli przebiegały mi przez głowę w ciągu tych kilku minut. Komendant poszedł. Odetchnąłem. Tylko serce biło mi dalej jak młotem. Policzki paliły, tak, jakbym stał koło rozpalonego pieca.

Ale nie był to jeszcze koniec mojej niepewności i męki. Bo przecież Komendant musi wrócić. Znowu pójdzie w moim kierunku. Musi iść tędy. A może pójdzie na drugą stronę wagonów. Co ja wtedy zrobię? Znowu gorąco mi się robi. Czy mam biec za Nim, by Go w ten sposób strzec, czy też wprost pod wagonem przejść na drugą stronę? I tak źle, i tak nie dobrze. Jak to będzie wyglądało, gdy oficer inspekcyjny będzie przełaził pod wagonami? A nuż, wyjdę za wcześniej i będę stał jak wryty przed postacią Naczelnego Wodza?

Sam nie wiedziałem co mam robić? Postanowiłem biec za Komendantem i posuwać się za nim w odległości kilkunastu kroków.

Nie zdążyłem wykonać swego zamiaru, gdy nagle Komendant zawrócił. Idzie przyspieszonym krokiem. Nie ma mowy, żebym się teraz miał zameldować. Mogłem i powinienem był to zrobić wtedy, gdy Wódz dopiero wyszedł z wagonu. Nawet nie było za późno wtedy, gdy szedł w moim kierunku po raz pierwszy, ale teraz?...

Stałem więc jak poprzednio, oparłszy się o wagon i bystro patrzę na przechodzącego Wodza.

Teraz spojrziałe na mnie, zdawało mi się, że lekko w moją stronę głową skinął i poszedł do swej kwatery.

Teraz dopiero, gdy Naczelnik wszedł do wagonu, poczułem jak mi z czoła zaczął spływać zimny pot, a przez plecy i szyję przecho-

dzili dreszcze. Byłem cały mokry jak mysz. Takich chwil, jak ta, już nigdy w życiu nie przeżywałem.

Nigdy tej nocy i tego przeżycia nie zapomnę. Od tej nocy upłynęło osiemnaście lat. Czas pędzi naprzód niepowstrzymanie. Lata i miesiące nie są wszystkie do siebie podobne. W mojej pamięci wiele ważnych momentów zatarło się, wiele znikło. Noc tę i ten moment będę pamiętał do śmierci.

III.

Służba skończyła się normalnie. „Żadnych wypadków. Nic nowego. Wszystko w porządku”. Zameldowałem tylko odpowiedniej władzy przełożonej, że Wódz Naczelny wychodził z wagonu i spacerował wzdłuż pociągu przez kilkanaście minut.

Nie pamiętam co robiłem następnego rana. Pewno chodziłem od wagonu do wagonu, przechodziłem jakąś praktykę, czekałem na dokumenty. Zostałem bowiem wyznaczony jako oficer Oddziału II Naczelnego Dowództwa (Sztabu Ścisłego) do obozu jeńców w Korosteniu.

Trudno by mi było dziś odtworzyć w jaki sposób i której przybyłem do tego miasta, by objąć wyznaczony mi posterunek pracy. Jedynie do dziś dnia posiadam rozkaz, podpisany przez kpt. Szt. Gen. Schaetzla z datą 22 kwietnia 1920 roku Nr 3025, w którym jest powiedziane, iż jestem oficerem do spraw jeńców i wszelkie władze winny mi okazywać pomoc i opiekę oraz, że mi ten dokument służy na prawo korzystania z wolnej jazdy na wszystkich liniach kolejowych R. P.

Ponadto otrzymałem wszelkiego rodzaju ustne i pisemne instrukcje i wytyczne, oraz do pomocy jednego sierżanta i kilku szeregowych.

Około 25—26 kwietnia znalazłem się w Korosteniu.

Należy tu zaznaczyć, że wszystkie instrukcje, wszystkie wytyczne i rozkazy pochodziły od mego bezpośredniego przełożonego, tak w tym wypadku, jak i w przyszłości, aż do końca wojny — od kapitana Ignacego Boernera.

My jego oficerowie i młodsi koledzy nie tylko kochaliśmy go, aleśmy go czcili. Nie raz w zdenerwowaniu skrzyczał człowieka, nawymyślał, lecz nigdy nie skrzywdził, zawsze był sprawiedliwy i wyrozumiały. Na służbie był przełożonym, dowódcą, nauczycielem, po służbie — kolegą i przyjacielem. Każda jego praca, każde poczynanie były nacechowane ideą dobrego służenia sprawie Ojczyzny, którą tak umiłował i do której miłość wpajał w swoich podwładnych.

Do Korostenia jechałem z instrukcjami kpt. Boernera. Nie wiedziałem jaka będzie tam moja rola, jakie tam będę miał obowiązki. Kpt. Boerner pouczył mnie o nich bardzo szczegółowo.

Przyjechałem do Korostenia ze swoim aparatem ludzkim. Przede wszystkim zameldowałem się na dworcu pierwszej władzy wojskowej, jaka tam była, tj. komendantowi dworca. Ta wizyta była wstę-

pem do mego urzędowania. Na dworzec bowiem przybywały tysiące jeńców ze wschodu i tu musiałem nawiązać z nimi bezpośredni kontakt.

Dworzec w Korosteniu wyglądał jak przed ewakuacją. Biwakowały tu tysiące najrozmaitszych typów ludzkich. Było tu istne obozowisko zbieraniny z całego świata. Tak zatłoczonych sal, peronu i różnych zakamarków nie widziałem jeszcze na żadnym polskim dworcu.

Ze stacji udałem się na miasto celem znalezienia jakiegokolwiek kwatery. Nie pamiętam, czy przy pomocy Komendanta Placu, czy bez jego interwencji, kwaterę dla siebie i moich podkomendnych natychmiast otrzymałem. Był to pokój u jakiegoś kupca czy bogatszego rzemieślnika Żyda. (W Korosteniu w tym czasie była przewaga ludności żydowskiej).

Po doprowadzeniu się do porządku, zaczęliśmy czynić starania celem zdobycia czegoś do jedzenia. Z aprowizacją w tym dniu i w dniach następnych nie było łatwo. Sklepy były puste. Nie było ani chleba, ani mięsa. Wszystko zjedzone, lub wywiezione. Panował ogólny głód. Po wielkich staraniach i poszukiwaniach zdobyliśmy trochę skamieniałej czekolady, którą popijaliśmy herbatą. Taki był nasz pierwszy posiłek.

Udałem się do obozu jeńców, który znajdował się o kilometr na północ od dworca. Zastałem tam Komendanta obozu kapitana Szt. Gen. Arensa, który po zameldowaniu się przyjął mnie b. serdecznie. Oprowadził mnie po całym obozie, pokazując i wyjaśniając wszystko, co mogło mnie interesować oraz to, co mnie wcale nie interesowało. Mówiąc szczerze obchodziło mnie jedynie to co miałem wykonać, obchodzili mnie jeńcy z punktu widzenia polityczno-wojskowego. A piekarnie, łaźnie, koszary itp. mniej mnie interesowały. Były to zagadnienia gospodarcze, znaczenia i wagi których wówczas nie doceniałem. Wszystkie wymienione instytucje były już przed tym zorganizowane. Jeńców było około 15.000, może nawet więcej. Wyglądali oni jak najędzniejsi żebracy. Obdarci, zarośnięci, brudni, wymizerowani. Zewnętrzny ich wygląd wcale nie przypominał wyglądu człowieka pochodzenia europejskiego. Była to jedna wielka masa nieszczęśliwych istot, pędzonych przez czerwonych komisarzy po „szczęście” do „białej Polski”. Szedł taki ciemny, biedny, obdarty i głodny chłopina rosyjski, sam nie wiedząc dokąd i po co, ale szedł, bo go pędzono.

Całą tę masę pseudo wojska sowieckiego w jednej olbrzymiej grupie przedstawił mi komendant obozu. Chodziło o to, by mnie wszyscy poznali, a raczej zobaczyli, gdyż przyjechałem po to, by nad nimi pracować.

Nazajutrz rozpocząłem pracę. Na czym ona polegała?

Wytyczne Naczelnego Dowództwa były tego rodzaju, by przeprowadzić uproszczoną ewidencję i sekregację jeńców z punktu widzenia jak gdyby plebiscytu i podzielić ich na grupy. Grupy te miały być następujące: 1-sza grupa mogła swobodnie, jeśli chciała, wracać

z powrotem tam, skąd przyszła — za front, 2-ga — mogła optować do armii czy grupy narodowościowej, sprzymierzonej, która walczyła po stronie polskiej przeciwko bolszewikom oraz 3-cia — to ci jeńcy, którzy z rozmaitych względów byli wysyłani do obozów w głąb kraju.

Pracowałem w ten sposób, że zbierałem grupę około 500 jeńców do jednej wielkiej sali lub pod gołym niebem w jednym z punktów obozu i naprzód wyjaśniałem cel ich zebrania, a następnie przedstawiałem samą treść instrukcji. Mówiłem im, że Rzeczpospolita nie walczy z ludem rosyjskim, że Polska własnym wysiłkiem i krwią przelaną zdobyła wolność po z górą 100 latach niewoli, że najazd na Polskę został dokonany i był kierowany przez komisarzy bolszewickich, tak, ja kongiś przez cara i jego generałów. Ze my się jedynie bronimy i wyrzucamy wroga z granic naszej Ojczyzny. Na dowód tego, że nie walczymy z narodem rosyjskim, robotnikiem i chłopem, gotowi jesteście natychmiast zwolnić z obozu tych, którzy naprawdę, rzeczywiście, nie chcą z nami walczyć, a po przejściu za front, z powrotem, wrócą do własnych rodzin, do własnych domów.

Natomiast ci, którzy widzą niebezpieczeństwo zagłady wszelkiej kultury, ładu i porządku ze strony komisarzy bolszewickich i chcą z nimi walczyć, mogą to zrobić, jeżeli chcą zaciągnąć się dobrowolnie do jednej z grup narodowościowych, walczących po naszej stronie.

Reszta, która boi się wracać poza front albo nie chce brać udziału w walce przeciwko bolszewikom, musi pozostać pozbawiona wolności w jednym z obozów koncentracyjnych.

Wszyscy jeńcy byli w miarę możności ewidencjonowani na podstawie posiadanych przeze mnie dowodów osobistych, dokumentów wojskowych lub zeznań świadków. Jeniec, który wyraził zgodę na przejście linii demarkacyjnej i udanie się do domu, był zaopatrywany w odpowiednią ilość żywności (chleb, konserwy, śledzie, papierosy albo tytoń). Nie dostawał tylko ubrania i obuwia. Szedł w tym, w czym był wzięty do niewoli, z tą różnicą, że zarówno on, jak i jego ubranie zostało wydezynfekowane. Ponadto dostawał jak gdyby „dekalog” wydrukowany na kawałku bibuły w rosyjskim i innych językach. Były w tym „dekalogu” wyszczególnione te wszystkie powody, dla których Wódz Naczelny odsyła, pragnących tego jeńców, do domu.

Pracę tę wykonywałem codziennie, w końcu mechanicznie, nabierając coraz to większej wprawy w operowaniu argumentami, stając się, że tak powiem, fachowcem. Praca trwała po całych dniach od rana do wieczora. Tysiące jeńców wysyłałem poza front oraz w głąb Rzeczypospolitej.

Zdarzały się nieraz różne niespodzianki. Pomiędzy tymi biedakami, ofiarami terroru bolszewickiego, znajdowali się zamaskowani komisarze polityczni, którzy ukrywali się wśród masy jeńców specjalnie w celu agitacji bolszewickiej. Agitatorzy ci b. często posiadali przy sobie polecające listy lub instrukcje do różnych osób, na

terenie Rzplitej, działających przeciwko państwu polskiemu. Dokumenty te były ukrywane i przechowywane tak starannie i pomyślowo, że trzeba było nie lada przenikliwości, by takiego szpiega-agitatora wykryć. Czasem taki jeniec sam się zdradził, czasem zdradzili go towarzysze, nieraz z góry było wiadomo w jakim celu się tu znalazł. Tymi zajmowałem się specjalnie, wysyłając ich pod silną eskortą w głąb kraju.

Podczas kilkunasto dniowego mego urzędowania nie zaszedł ani jeden incydent na tle agitacji. Żadnych większych nieporozumień w obozie nie było, mimo, iż stan warty wojskowej był bardzo słaby. Policji jeszcze wtedy nie było. Spokój, jak za najlepszych czasów. O ile zanosilo się na pewne fermenty polityczne — po wynalezieniu źródła agitacji, jakim byli ci specjalnie wysłani komuniści i po oczyszczeniu z nich masy jeńców, porządek był wzorowy.

W tym okresie miasto również zaczęło przychodzić do normalnego stanu. Otworzono sklepy i wszystkiego można było dostać. Z zachodu zaczęły przychodzić towary. Bieg życia mieszkańców zaczął wracać do normy.

Przez cały czas miałem kwatery w mieście. Nie chciałem mieszkać w obozie. Zbyt przygnębiający miałem widok przez cały dzień. Wolałem więc mieć trochę spokoju, trochę oderwania się od tych mas, które były zrezygnowane, zdeterminowane. Bo przecież jeńcy ci nie tylko brali udział w wojnie z nami. Niektórzy z nich od 1914 roku nie widzieli swych rodzin, ani swych ojczystych miejscowości. Walczyli na wszystkich frontach z Niemcami i Austriakami, brali udział w rozmaitych ekspedycjach karnych. Zapomnieli nawet skąd pochodzą, jak się nazywa ich wieś rodzinna, powiat, gubernia... Trudno jest wprost uwierzyć, by człowiek mógł zapomnieć skąd pochodzi. Z początku zdawało mi się, że to symulacja, lecz nic podobnego. Zetknąłem się z wielu takimi wypadkami. A takich, którzy nie znali imienia swoich rodziców, były całe setki.

Ciekawym było poznać tę dziką masę nieszczęsnych obdartusów. Nie chciało się wierzyć, że w 20 wieku, w Europie może istnieć taka ciemnota, taki prymityw.

Musiałem z każdym jeńcem zamienić osobiście choć kilka słów albo przysłuchiwałem się jak moi podkomendni z nimi rozmawiają. Chciałoby się w tę biedną, głupią, dziką czaszkę wlać choć odrobinę światła, rozumu, wiedzy...

Poza tym, że jeńcy byli straszliwie brudni, większość ich była zarażona najrozmaitszymi zaraźliwymi chorobami. Była to istna plaga! Trzeba było tę nędzę ludzką leczyć. Trzeba było lekarzy, lekarstw, szpitali, opatrunków...

A tu jeńców przybywało co raz więcej. Trzeba było Dowództwu Frontu ułatwić sytuację, zabierać ich, segregować, wysyłać dalej...

Jeniec, zarażony, chory, chociażby był jak najdziksze zwierzę, chciał się leczyć, chciał żyć...

Dotychczas gnił, bez żadnej opieki, dotychczas od niego tylko wymagano by siedł naprzód, strzelał, mordował, atakował, zadawał

ciosy nieprzyjacielowi, — lecz nikt się nim nie opiekował, nikt nie zwracał uwagi na to, że sam on jest u kresu życia.

Niektórzy jeńcy tak cuchnęli zgnilizną, że nie można ich było trzymać we wspólnych pomieszczeniach z innymi. Zresztą, bynajmniej, nie dlatego, że inni, zdrowi, protestowaliby, brzydziliby się. Nie, im było wszystko jedno. To z punktu widzenia naszych pojęć, naszych porządków, naszych rozporządzeń nie można było zostawiać chorych ze zdrowymi. Trzeba było ich izolować, otoczyć specjalną opieką. A było ich bardzo, bardzo dużo.

Upływały dni za dniami. Od czasu do czasu otrzymywałem różne instrukcje i rozkazy ze Sztabu Ścisłego, poza tym żadnego kontaktu ze światem, poza obozem jeńców, nie miałem. Nic nie wiedziałem co się dzieje w kraju. Za to doskonale wiedziałem co się dzieje na froncie. Wskazywały na to przechodzące przez stacje eszelony zdobytych materiałów wojennych, napływ nowych tysięcy jeńców i inne znaki, świadczące o sukcesach naszego oręża.

W tych mało urozmaiconych, smutnych dniach pracy administracyjno-politycznej, pamiętam jeden miły epizod, jaki miałem w dniu 8 maja.

Każdy żołnierz raduje się niezmiernie, jeżeli go odwiedzi miły przyjaciel, ktoś bliski, członek rodziny lub nawet zwykły znajomy; ba, cieszy się jeżeli mu się zdarzy spotkać kogoś znajomego „z widzenia” w takiej miejscowości, gdzie wszyscy mu są obcy, dalecy. Ten przypadkowo spotkany „znajomy z widzenia” staje się nagle nieomal przyjacielem, członkiem rodziny.

Tak właśnie było ze mną w Korosteniu. Zgłosiły się do mnie dwie obywatelki-peowiaczki: Halina Starczewska i Helena Ryszankowa. Niewiasty te miały do wykonania jakiegoś zlecenie Naczelnego Dowództwa W. P. Widocznie byłem im na coś potrzebny, skoro mnie odnalazły w chaosie życia frontowego. Treści rozmowy służbowej nie pamiętam i nie to było dla mnie ważne. Ważną była moja radość z powodu tej wizyty.

Tego dnia były moje imieniny. Od rodziny, z Warszawy, dostałem paczkę żywnościową, która zawierała czekoladę i inne smakołyki. Mówiąc szczerze, przesyłki takie dostawałem dosyć często, to od mojej bratowej, to od „wojennej” „chrzestnej mateczki”, lecz paczka imieninowa, to co innego!

Tak więc zbiegły się trzy elementy: goście, imieniny i paczka! Na twarzach moich zacnych gości widziałem zdumienie, skąd doszedłem do posiadania takich smakołyków? (Oczywiście nie mogłem się chwalić, że to moje imieniny). Byłem tylko szczęśliwy, że miłe niewiasty rozkoszują się smaczными czekoladkami, zapijają dobrą herbatę. Widocznie w czasie swojej podróży, nie bardzo były „przeładowane” tego rodzaju smakołykami. Radość moja nie miała granic, że gościom smakuje niezrównana uczta i że apetyt im służy.

Jak mogłem najlepiej, zaopiekowałem się obywatelkami. Naza jutrz już ich nie było. Wyjechały w dalszą podróż. Już ich w czasie wojny nie spotkałem.

Urzędowanie moje w Korosteniu dobiegało końca. Ze Sztabu Ścisłego dostałem rozkaz, że 11 maja mam zameldować się w Winnicy, gdzie mam objąć inne stanowisko. Na moje miejsce został delegowany ppor. Szulc z Oddziału II Nacz. Dow. Rozkaz opiewał, że wspomnianego oficera mam zapoznać z tokiem pracy, zdać mu urzędowanie i natychmiast wyjeżdżać.

Oczekuję na dworcu przybycia następcy. Pociąg przychodzi punktualnie i oto witam z otwartymi ramionami porucznika Szulca. Już miałem dość tego nudnego i nadzwyczaj trudnego „urzędowania”.

Pragnąłem pojechać do przyjaciół, znajomych, ludzi bliskich, sympatycznych. Ucieszyłem się zwłaszcza, gdy się dowiedziałem, że mam „urzędować” w sercu Podola, w Winnicy. Pragnąłem więc jak najprędzej się tam znaleźć.

Ale przed tym trzeba było zapoznać z pracą porucznika Szulca, wprowadzić go w tok „urzędowania”.

W momencie zapoznania się z tym oficerem na stacji, po zamienieniu z nim kilku słów zorientowałem się, że koniec mojego urzędowania w Korosteniu zapowiada się bardzo zabawnie. Zapomniałem już oddawna, że na świecie istnieje śmiech, wesołość, żarty (to tragiczne otoczenie nieszczęsnych jeńców każdego nastrajało tragicznie). Tym bardziej więc łaknąłem trochę odprężenia nerwów, trochę pogody. A tu przyjazd porucznika nastreczał mi świetną okazję do kilku chwil pustego śmiechu.

Porucznik Szulc był jąkałą, a trzeba prawdziwego zbiegu okoliczności, że i kpt. Arens, Komendant obozu również. Oczywiście, nic nie powiedziałem o tym porucznikowi, lecz na samą myśl jaka będzie rozmowa tych dwóch oficerów, ogarniał mnie pusty śmiech. Jadąc bryczką z porucznikiem Szulcem do obozu wyobrażałem sobie różne komiczne sytuacje i bawiłem się znakomicie kosztem obu, Bogu ducha winnych, biedaków.

Wreszcie przyjechaliśmy do Komendy obozu. Wchodzimy do kancelarii obozu, potem do gabinetu Komendanta. Porucznik się melduje, „że zzzz rrozkkkkkazzu” itd. Otoczenie zaczyna się dusić ze śmiechu. Kapitan, stojąc na baczność słucha chwilę, następnie wpada w złość. Rozgniewany spogląda na mnie, to na porucznika. Widocznie zrodziła się w nim myśl, że ja poinformowałem porucznika o tym, że kapitan jest jąkałą i tamten go przedrzeźnia.

Wreszcie porucznik skończył. Tamten odpowiada jakimś utartym zdaniem, lecz ponieważ jest bardzo zdenerwowany, jąka się bardziej niż zazwyczaj. Przy końcu zwraca się do porucznika z zapytaniem w jakim celu go naśladował? Czy wyobraża sobie, że w takich warunkach współpraca ich może wydać dobre rezultaty? Wreszcie, nie bez trudności, wyjaśniło się, że obaj są jąkałami. Po wyjaśnieniu nieporozumienia, zaczęła się między obu oficerami zgodna współpraca. Wspólnie dzielili odpowiedzialność za ciężką i niebezpieczną pracę.

IV.

16 maja wyjechałem przez Berdyczów do Winnicy.

Nie potrafiłbym w tej chwili dokładnie powiedzieć jak dostałem się do Berdyczowa. Pamiętam tylko jak specjalnym pociągiem złożonym z dwóch wagonów i lokomotywy śpieszyliśmy z Berdyczowa do Winnicy.

W tym dniu Naczelnik Państwa przybywał do tymczasowej stolicy Ukrainy z wizytą do jej Naczelnika, Atamana Petlury. Grupa oficerów Naczelnego Dowództwa oraz kilku członków rządu Petlury śpieszyło na powitanie Naczelnego Wodza. Spośród jadących najlepiej zapamiętałem kapitana Rotarskiego ówczesnego Szefa Łączności Sztabu Scisłego Naczelnego Wodza.

Spośród wszystkich znajdujących się tam oficerów, najmłodszym co do szarży i pełnionej funkcji, byłem ja. Nie mniej w tym znakomitym środowisku czułem się doskonale. Pierwszy raz od kilku tygodni znalazłem się pośród tych osób, które, że tak powiem, trzymały rękę na pulsie życia wojskowego. Nasłuchiwałem się rozmaitych ciekawych opowiadań, rozmaitych nowin. Ze swej strony dzieliłem się swymi wiadomościami z obozu jeńców i wnioskami, jakie wyciągnąłem z propagandy bolszewickiej, która usiłowała przeniknąć w głąb Rzeczypospolitej.

Łączności regularnej na linii kolejowej wówczas jeszcze nie było. Mimo, iż wszystkim się śpieszyło, pociąg posuwał się dość wolno. Przez całą drogę od wczesnego rana padał ulewny deszcz.

Mimo wiosennego, majowego poranka, na świecie było szaro. W takich warunkach zbliżaliśmy się do Winnicy od Berdyczowa, od strony północnej. Było około godziny 10-ej rano. Wszyscy obecni przygotowali się do wysiadania. Oficerowie przybrali strój służbowy ze względu na mający nastąpić przyjazd Naczelnego Wodza. Dygnitarze ukraińscy również przywdziali odpowiednio uroczyste stroje. Deszcz ani na chwilę nie ustawał.

Wreszcie pociąg bardzo powoli zbliżał się do stacji i stanął. Nikomu jednak ze względu na pogodę nie chciało się wychodzić z salonki. Nawiasem dodać, że pociąg ten był do wyłącznej dyspozycji tych pasażerów, z którymi miałem zaszczyt jechać. Czuli się oni w nim, jak u siebie w domu, nic więc dziwnego, że, nie mając potrzeby, nie śpieszyli się w ten deszcz wychodzić. Lecz trzeba się było dowiedzieć jaka jest sytuacja na dworcu, na którą godzinę jest przewidywany przyjazd Naczelnego Wodza. Mnie, jako najmłodszemu przypadła ta rola.

Wziąłem płaszcz na ramiona i zacząłem ostrożnie schodzić po schodkach wagonu na peron. Schodzę i widzę, jak wydłużonym krokiem, z obnażoną szablą, maszeruje w moim kierunku jakiś pułkownik. Z dworca na peron wysypuje się masa ludzi: panów w odświętanych strojach i pań w pięknych, letnich kapeluszkach pod parasolami i bez parasoli. Stojąca na peronie kompania honorowa sprezentowała broń.

Widocznie władze tak były zasugerowane przyjazdem Naczelnika Państwa, który miał nadjechać ze Zmerynki, a więc od strony południowej Winnicy, że wzięły nasz pociąg, pomimo, że przyszedł on z kierunku północnego, za pociąg Naczelnika Państwa.

Wkrótce pomyłka została wyjaśniona. Pułkownik skomenderował: „do nogi broń!... spocznij!...” a piękne panie i uroczyści panowie śpiesznie wrócili do salonów dworca.

Deszcz nie przestawał padać. My zaś w swoich wagonach mieliśmy powód do doskonałego humoru.

Okolo godziny 11-ej niebo zaczęło się przejaśniać. Deszcz ustał, zrobiło się bardzo ładnie.

W ciągu godziny zdołałem nawiązać kontakt z kolegami. W urzędach i komendach nikogo nie było. Wojsko i społeczeństwo, sztaby i urzędy zgromadziły się na dworcu, by powitać Naczelnego Wodza Wojsk Polskich i Naczelnika Państwa. Miasto było przybrane flagami o barwach narodowych polskich i ukraińskich. Cała Winnica wyglądała jak jeden piękny ogród. Tonęła poprostu w zieleni. Koło każdego domu było pełno kwiatów, na ulicach — pełno drzew. Widzę w całej pełni piękno tego uroczego miasta, stolicy Podola, obecnie tymczasowej stolicy sprzymierzonej z państwem polskim Ukrainy.

Winnica, stare polskie miasto na Podolu, na wschodnim brzegu rzeki Bohu, jest jakby oazą na bogatej, urodzajnej ziemi dawnej południowej części Rzeczypospolitej. Iluż to sławnych wodzów, hetmanów, dowódców oddziałów powstańczych maszerowało przez to miasto?! Ile pamięta ono walk, potyczek, wypadów i pościgów?!

Obecnie na ulicach jest pełno przechodniów. Nastrój panuje uroczysty, świąteczny. Pomiędzy starszymi przewijają się grupki polskich harcerzyków. Na twarzach entuzjazm! Oto maszerują na spotkanie Hetmana Polski, Wodza Narodu! Idą pełnić służbę honorową przed majestatem Rzeczypospolitej!

Powszechnie między sobą mówiliśmy, że Pan Bóg kocha Komendanta. Przed przybyciem pociągu, wiozącego Go, nie było już na niebie ani jednej chmurki. Nagle się rozjaśniło, a błękit był tak czysty, że próżno szukałbyś choć jednego obłoczka. Słońce zaglądało do najciemniejszych zakątków i rozświetlało najbardziej ponure oblicza.

Pociąg powoli się zbliża. Parowóz przestaje sapać i zatrzymuje się przed peronem. Kompania honorowa prezentuje broń. Orkiestra gra hymny narodowe: polski i ukraiński. Tysiące ludzi krzyczy: „Niech żyje! Niech żyje!” Okrzykom nie ma końca. Cóż za wzruszający, uroczysty moment!

Oto Naczelnik Państwa Polskiego, legendarny Wódz Legionów i P.O.W., Naczelnny Wódz polskich sił zbrojnych przyjechał do Winnicy, miasta, które od wieków nie oglądało takiego bohatera.

Marszałek Piłsudski wita się z Atamanem Petlurą, z ministrami Rządu ukraińskiego, z wyższymi oficerami wojsk polskich i ukraiń-

skich. Krótkie przemówienia na dworcu, wręczenie wiązanki kwiatów i odjazd do kwatery.

W tym dniu również, jak i pamiętnego czasu w Równem, miałem służbę oficera inspekcyjnego przy Naczelniku Państwa. Pełniłem tę służbę z moim kolegą, podchorążym Konczyńskim Jerzym. Dla łatwiejszej komunikacji mieliśmy przydzielony samochód osobowy. Ponadto cała patriotyczna Winnica, cała młodzież zorganizowana w P.O.W., Związek Harcerstwa itd. zaciągnęły posterunki we wszystkich punktach, gdzie tego wymagała potrzeba.

Na kwaterę Naczelnikowi Państwa wybrano pałacyk na skraju miasta. Pałacyk ten był własnością ogólnie znanego i szanowanego p. dr Nowińskiego, wielkiego patrioty i działacza niepodległościowego.

Pałacyk był piękny. Cały otoczony mnóstwem drzew i krzewów. Ogród był pełen kwiatów. Tu Marszałek wypoczywał. Wewnątrz miał szczęście pełnić służbę podchorąży Konczyński. Ja pełniłem służbę zewnętrzną. Służba ta nie trwała długo.

Po krótkim odpoczynku, Naczelnny Wódz złożył oficjalną wizytę Naczelnikowi Państwa Petlurze. Następnie wraz z nim udał się na uroczyste śniadanie. Na śniadaniu tym obaj Naczelnicy Państwa wygłosili przemówienia.

Tegoż dnia Naczelnny Wódz wyjechał w powrotną podróż do Warszawy.

Wieczorem do wyjeździe Komendanta w Winnicy odbyło się wielkie zebranie polityczne miejscowych Polaków. Zebranie było poświęcone omówieniu spraw związanych z opieką i pomocą armii polskiej. Jednogłośnie postanowiono oddać do dyspozycji wszystkie potrzebne siły. Elementy, które poprzednio już były ściśle związane z wojskiem polskim, jak P.O.W., zmobilizowały swych członków już wcześniej i otrzymały odpowiednie przydziały. Natomiast od owego zebrania uchwalono wykorzystać do prac w wojsku całą młodzież harcerską, uczennice i uczni miejscowych szkół średnich.

Oprócz zmobilizowanej P.O.W. i młodzieży ofiarowało swą pracę na rzecz wojska starsze pokolenie, które ze względu na wiek nie mogło iść z bronią w rękę. Była to przeważnie inteligencja zawodowa: adwokaci, lekarze, wszelkiego rodzaju urzędnicy itd. Zostali oni użyty do pracy w biurach i urzędach wojskowych.

Przyjrzyjmy się teraz pracy jaką pełnili uczniowie i harcerze. Pełnili oni służbę informacyjną i bezpieczeństwa na terenie miasta i w najbliższej okolicy. Pełnili tę służbę w całym rejonie Dowództwa Etapowego W.P., którego sztab znajdował się w Winnicy. Pełnili ją znakomicie. Można było na nich całkowicie polegać i można było być spokojnym, że w rejonie, gdzie ta młodzież pełni służbę, żadnych niespodzianek ze strony elementów dywersyjnych nie będzie.

Przez cały czas postoju Dowództwa w Winnicy panował tam wzorowy porządek i bezpieczeństwo.

Trzeba tu podkreślić, że nasz południowy front nie był silnie obsadzony wojskiem. Młoda nasza armia była w stadium organiza-

cyjno-wyszkoleniowym i ilość wojska była niedostateczna. Toteż przez front z łatwością przenikały na tyły naszej armii elementy dywersyjno-wywrotowe. Było to jedno z poważniejszych niebezpieczeństw, które trzeba było wszelkimi środkami zwalczać. W tej pracy, bardzo trudnej, bo w walce z najgroźniejszym wrogiem, wrogiem, który prowadził robotę w ukryciu z zastosowaniem jak najdalej idącej ostrożności, z nakładem dużych sum pieniężnych — współdziałali znakomicie winniccy harcerze.

Inteligencja starsza, nie tylko w godzinach pozaurzędowych, wolnych od zajęć zawodowych, współpracowała ze mną, ale i w godzinach urzędowych, na zmianę, fachowo, z dokładnością i zapałem, spełniała przyjęte na siebie zobowiązania.

A pracy było co niemiara! Należy szczerze przyznać, że każdy z nas, młodych oficerów tyle w tym czasie miał obowiązków, tyle zagadnień do rozwikłania, taką ponosił za wszystko odpowiedzialność, że nie mógł sam wszystkiemu podołać. Musiał posługiwać się przygotowanym i odpowiednio wyszkolonym aparatem wykonawczym. Wszak Polska prowadziła w tym czasie wojnę na wielu frontach, obejmując olbrzymie tereny, na których trzeba było zabezpieczyć tyły armii, trzeba było utrzymać ład i porządek, trzeba było zapewnić spokój tak, by żołnierz czuł się na froncie pewny, by Dowództwo miało możliwość podejmowania i realizowania swych decyzji w przestrzeni i czasie.

Do spełnienia tego zadania przyczyniły się w Winnicy elementy obywatelskie — polska inteligencja zowodowa.

Młody element był bardzo pomocny w prowadzeniu kontr-wywiadu. Pamiętam wielu harcerzy, którzy prowadzili obserwacje na terenach zajętych przez własne wojska i paraliżowały akcję dywersyjną dzięki nadzwyczajnemu zrozumieniu sytuacji, wysokiej dyscyplinie oraz wyrobieniu obywatelskiemu. Młodzież ta energicznie tropiła szpiegostwo i tzw. „podpolną organizację” komunistyczną.

Bardziej wyrobione jednostki oraz lepiej orientujące się w terenie i obeznane z miejscowym obyczajem oraz językiem, chodziły poza front dla prowadzenia płytkiego, a niekiedy głębszego wywiadu wojskowego.

Pracę tę wykonywano ochotniczo, bez żadnego wynagrodzenia. Jedynym wynagrodzeniem, jedyną zapłatą była świadomość dobrze wykonanego obowiązku.

Parę razy byłem w Winnicy obecny na odprawie, na której zdecydowano, że ten lub ów ma przejść granicę na tym lub innym odcinku dla wykonania określonego zadania. Widziałem radość niepomiarłą tej lub tego, komu zadanie zostało powierzone. Wielokrotnie meldowano mi przybycie z poza frontu po wykonaniu zleceń. Zawsze widziałem ten sam zapał i ten sam entuzjazm oraz całkowite poświęcenie się dla sprawy. Ochotnikom takim groziła niechybna śmierć. Wiele młodych istot przyplaciło swą pracę śmiercią męczeńską. Ginęli w ciemnych lasach, ginęli z głodu i zadanych tortur, nie w walce z wrogiem, jak żołnierze z bronią w ręku, lecz jako ciche bez-

imienne ofiary, ci najmłodsi żołnierze Rzeczypospolitej. Jakże wielka była różnica w cierpieniach tych bezimiennych żołnierzy, schwytanym przez nieprzyjaciela na gorącym uczynku pracy wywiadowczej, a żołnierzem wziętym do niewoli z bronią w rękę! Żołnierz wzięty do niewoli uważany był za „kombatanta”, korzystał z praw jeńca wojennego i jako taki winien był być traktowany. Należało mu się pewne minimum wyżywienia, ubrania itd., mógł przeżyć do czasu, w którym nastąpi wymiana lub wykup jeńców.

Że tego rodzaju stan nie miał miejsca w Rosji sowieckiej, gdyż tysiące naszych żołnierzy, wziętych do niewoli, umarło z głodu, chorób i nędzy w dalekich, zimnych obozach koncentracyjnych, to inna rzecz. Teoretycznie jednak, według praw międzynarodowych jeńcom opieka się należy nawet u najbardziej brutalnego wroga.

Natomiast do kategorii żołnierzy, cichych, bezimiennych, o których wyżej mówiłem, żadne względy stosowane nie były. Co najważniejsza, nikt się o nich nie mógł upomnieć, nikt oficjalnie dopomóc. Taki żołnierz mógł liczyć tylko na szczęśliwy zbieg okoliczności i swój własny spryt, swoją własną inteligencję, na nikogo więcej.

Starszy element pracował wszystkie materiały nagromadzone w kancelarii przez wywiad, prowadzony przez młodzież. Należało do niego badanie jeńców, członków band dywersyjnych i elementu przestępczego, prowadzenie dochodzeń w różnych sprawach, które miały związek z obronnością armii na jej tyłach i zabezpieczenie tam ładu i porządku.

Tak oto praca społeczeństwa w Winnicy łączyła się z pracą wojska, a szczególnie tego wojskowego instrumentu, który wsłuchuje się w każde drgnienie, w każdy powiew sytuacji, bierze pod uwagę każde choćby najdrobniejsze zjawisko, które może mieć nawet najmniejszy wpływ na przebieg operacji wojennej.

Muszę tu również wspomnieć o prowadzonej przez tamtejsze społeczeństwo polskie pracy kulturalno-oświatowej wśród wojska. Prowadzenie świetlic, wygłaszanie pogadań, otaczanie jak najczulszą opieką moralną i materialną żołnierzy, których, zresztą, w garnizonie Winnickim było, jak na tak ważny ośrodek, bardzo niewiele.

Istniało tam również stowarzyszenie, które miało za zadanie wytworzenie przyjaznej atmosfery pomiędzy żołnierzem polskim a ukraińskim. W Winnicy bowiem stacjonowała ukraińska szkoła oficerska, cały szereg instytucji, służb i dowództw oraz rząd z atamanem Petlurą na czele.

Towarzystwo zbliżenia polsko-ukraińskiego miało piękne pole do pracy. Przez cały czas naszego pobytu w Winnicy nie zanotowano ani jednego wypadku nieporozumień między żołnierzami polskimi a ukraińskimi.

Tak, dzień po dniu, noc po nocy upływała w napięciu nerwowym służba w przepięknej stolicy Podola — Winnicy. Armia polska znajdowała się daleko poza Winnicą. 18 Dywizja Piechoty walczyła aż

pod Lipcowem, biorąc kierunek jakby na Odessę. Odnosiliśmy coraz to nowe zwycięstwa, coraz to nowe sukcesy. Na tyłach armii z każdym dniem następowała normalizacja stosunków pośród społeczeństwa. Panowała ogólna opinia, że Wojsko Polskie posunęło się daleko poza Dniepr.

Na podstawie pamiętnej odezwy Naczelnego Wodza W. P. z dnia 16.IV.20 r. do wszystkich mieszkańców Ukrainy, „Wojska Polskie miały pozostać na Ukrainie przez czas potrzebny, by władzę na ziemiach tych mógł objąć prawy rząd ukraiński. Z chwilą gdy rząd Rzeczypospolitej Ukraińskiej powoła do życia władze państwowe, gdy na rubieży staną zbrojne zastępy ludu ukraińskiego, zdolne ochronić kraj ten przed nowym najazdem, a wolny naród sam o losach swoich stanowić będzie mocen — żołnierz polski powróci w granice Rzeczypospolitej Polskiej, spełniwszy szczytne zadanie walki o wolność ludów”.

Chodziło więc nie o to, by ziemie, zajęte przez Wojsko Polskie zaanektować, wprowadzić tam naszą administrację, sądownictwo, szkolnictwo, lecz po to, by pomóc narodowi ukraińskiemu wykrzesać ze siebie tyle ognia, tyle wydobyć z niego zapału, by mógł on stworzyć tak potężną armię, która by potrafiła, początkowo z nami, następnie sama, swoje terytoria utrzymać i byt niepodległy zabezpieczyć.

Podczas mojej służby w Winnicy nie bardzo się na to zanosilo. Oceniając sytuację na wsi ukraińskiej można było z łatwością przyjść do przekonania, że myśl zawarta w odezwie naszego Naczelnika Państwa, przez naród ukraiński nie została zrozumiana. Zaciąg do wojska ukraińskiego był minimalny. Nie było w tym kierunku zorganizowanej akcji propagandowej. Nie wyczuwało się w łonie tego społeczeństwa należytego uświadomienia narodowego. Natomiast stwierdziłem dość silną agitację ukraińską antywojskową oraz agitację przeciw sojuszowi polsko-ukraińskiemu i w ogóle przeciwko jakiegokolwiek bądź współpracy tych dwóch bratnich narodów.

Z jednej strony agitację tę prowadzili oficerowie i podoficerowie tzw. oddziałów „siczowych”. Elementy te w swojej polityce orientowały się na Austrię i Niemcy. Oficerowie siczowcy nawet uniform służbowy nosili zbliżony do uniformu austriackiego.

Były nawet niewielkie oddziały ukraińskie z oficerami o wymienionej orientacji na czele, które nie podporządkowały się głównemu dowództwu ukraińskiemu. Trwały one również w stanie ni to wojny, ni to pokoju względem armii polskiej. Co pewien czas dochodziły wieści albo o rozbrojeniu takiego oddziałku albo o tym, że oddział taki „podporządkował” się Głównemu Atamanowi.

Wraz z niepowodzeniem w formowaniu armii ukraińskiej przy końcu maja 1920 r., zaczęły się w niektórych miejscowościach rejonu Winnickiego, w wioskach i osadach, wyraźne rozruchy wśród miejscowej ludności ukraińskiej. Rozruchy te najczęściej miały podłoże ekonomiczne. Ludność tamtejsza, mimo, iż osiadła na glebie żyznej, dającej świetne urodzaje, widocznie już była do tego stopnia wyni-

szczona przez poprzednich „hospodarów”, że obecnie zaczęła stawiać zdecydowany opór, gdy chodziło o rekwizycje żywności dla wojska lub paszy dla koni. Rekwizycja ta nie miała zresztą charakteru zabierania produktów bezpłatnie. Za zarekwirowane płacono gotówką według cen rynkowych. Mimo to sprzeciw ze strony ludności wiejskiej dochodził niekiedy do takiej ostrości, że trzeba było wysłać do wiosek silne oddziały piechoty i kawalerii, aby uspokoić zbuntowane chłopstwo. Znałe mi są wypadki w okolicy Winnicy, gdzie kilku żołnierzy ukraińskich wraz z oficerami intendencji zostało zamordowanych przez ludność ukraińską za to, że przyjechali do wioski zakupić najlegalniej owies dla koni... Do tej wioski wysłana była karna ekspedycja oddziału wojska ukraińskiego z Winnicy. O tego rodzaju wypadkach składałem swoim władzom przełożonym szczegółowe meldunki. Na tematy te miałem mieszane konferencje z odpowiednimi oficerami wojsk ukraińskich. Było już jasne, że pod względem formowania wojska, pod względem mobilizacyjnym na całej linii nastąpiło niepowodzenie. Nie pozyskano nawet całej inteligencji na rzecz walki o niepodległość Ojczyzny, a cóż dopiero mówić o chłopach? Rząd Petlury najwyraźniej ludności wiejskiej nie pozyskał. Chłop ukraiński w olbrzymiej swej większości jeżeli nie był wrogo nastawiony przeciwko całej pięknej niepodległościowej akcji Petlury, co najmniej był względem niej obojętny. I to była cała tragedia!

W dwa miesiące później odstępowałem przez wioski i miasteczka w czasie odwrotu na innym odcinku Rzeczypospolitej, na Lublin. Na własne oczy widziałem jak się zachowywał w analogicznym wypadku polski chłop i robotnik.

Te dwa elementy: chłop polski spod Włodawy czy Lublina, Lubartowa czy Parczewa stanowił całkowite przeciwieństwo chłopstwa ukraińskiego spod Winnicy, Żmerynki, Starokonstantynowa czy Płoskirowa.

Nasz chłop w chwilach krytycznych cierpiał i walczył wraz z żołnierzem — chłop ukraiński często zadawał, jeżeli tylko mógł, ciosy ustępującym żołnierzom-braciom swoim, jak również tym żołnierzom, którzy na rozkaz swego Wodza przyszedli przebrać krew „za naszą walność i waszą”.

A jak postępowali młodzież ukraińska? Czy tak samo jak harcerz polski? jak młodziutki uczeń, który szedł na śmierć z hymnem na ustach, z hasłem walki o wyzwolenie Ojczyzny?

Młodzieży ukraińskiej w tym czasie, mówię to z całą świadomością, przy pracy odbudowy Ojczyzny, w ogóle nie widziałem. Był żołnierz z armii rosyjskiej, austriackiej, garstka robotników i oficerów-patriotów przeważnie z byłej armii rosyjskiej.

Nie piszę tego z goryczą pod adresem społeczeństwa ukraińskiego. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, że Petlura, miał za mało czasu na należyte uświadomienie swego narodu. Ukraina podczas wielkiej wojny i do początku 1920 roku była teatrem przemarszów różnych armii, magazynem i śpichlerzem, bankiem i rezerwatem

ludności dla różnych rządów i wodzów. Trudno było by w tym labiryncie rozmaitych kierunków politycznych i ideologicznych mógł w tak krótkim czasie zorientować się Hrycio ukraiński!

Pod koniec maja wyczułem lekki ruch ewakuacyjny ludności polskiej na zachód. Dało się to odczuć zwłaszcza wśród sfery ziemiańskiej... Inteligencja zawodowa trwała na miejscu aż do końca.

W tym czasie orientowałem się w ogólnej sytuacji na frontach, gdyż miałem bezpośredni kontakt z tymi naszymi oficerami, którzy tam wówczas, jak i w przyszłości odgrywali dominującą rolę w życiu państwa. Wiedziałem więc, że na innych odcinkach frontu polskiego również rozpoczęły się niepowodzenia... Należało przeto czujność swoją wzmóc w dwójnasób.

Doskonale wiedziałem jak wygląda nasz południowo-wschodni odcinek. Komunikaty miejscowe dyskretnie donosiły o ruchach nieprzyjaciela w rejonie Wapniarki, to znowu dobrze już była nam wówczas znana armia konna Budiennego. Brała ona raz kierunek na Berdyczów, to drugi — na Winnicę lub Lipowiec przeciwko „żelaznej” 18-ej Dywizji Piechoty.

Zaczęły się dnie i noce bardzo intensywnej pracy, obfitujące w wypadki pierwszorzędного znaczenia. Liczne meldunki, otrzymywane przeze mnie z różnych kierunków frontu, wskazywały na zbliżające się niebezpieczeństwo. Stwierdziłem wyraźne zdenerwowanie społeczeństwa polskiego. Ono doskonale orientowało się w sytuacji. Widziało niejednego przemarsz wojsk, już niejednego panował tu „regime”. A przy tym tak łatwo można się było dowiedzieć, co się dzieje z tamtej strony frontu. Szedł cały szereg uciekinierów z różnych stron Rosji sowieckiej. Ludzie ci zostawiali cały swój dobytek byle tylko uciec z życiem.

Uciekinierzy stamtąd byli najlepszymi informatorami. Biegałem po kilka razy dziennie z raportami. Przedstawiałem sytuację jak się wytwarzała tak poza frontem, jak i po naszej stronie frontu. Oczywiście rzecz, że wyższe władze nie oceniają sytuacji na podstawie danych z jednego tylko źródła. Widocznie wiadomości z placu boju i poza frontu były różne. Często kpt. Boerner zwracał mi uwagę, że zbyt pesymistycznie oceniam sytuację, że nie jest ona taka zła. Zresztą kazał mi osobiście meldować o tym co wiem, generałowi Romerowi. I tu spotykałem się z „oblewaniem mnie zimną wodą”.

Pamiętam około 5-6-go czerwca jak odbywały się odprawy, a następnie po odprawach zebrania z udziałem płk. Sławka. Na zebraniach tych szczegółowo były przedstawiane sytuacje tak pod względem ruchu wojsk nieprzyjaciela, jak i pod względem politycznym na terenie Etapu Wojsk Polskich. Pod względem politycznym nic naszym wojskom nie zagrażało ze strony społeczeństwa. Armia nasza zanadto wielki miała prestige, by chłop ukraiński miał czynić próby jakichś masowych wystąpień. Ale biorąc pod uwagę niepowodzenia na froncie należało się do pewnego stopnia z nastrojem mas chłopskich liczyć.

Pamiętam jak 6 i 7 czerwca upłynął na rozważaniach nad ogólną sytuacją. Już sztaby i służby zaczęły się gorączkowo pakować i przygotowywać do ewakuacji. Wszystko to robiło się w ścisłej tajemnicy przed społeczeństwem. Jednak trudno było zupełnie z tymi czynnościami ukryć się. Przecież, jak wyżej mówiłem, istniał ścisły kontakt i współpraca społeczeństwa z wojskiem. Zresztą nieraz się zdarzało, że „w zaufaniu” komuś najbliższemu coś nie coś się powiedziało i tak dalej, jeden drugiemu „w tajemnicy” szepnął i w lot rozeszła się wiadomość o przygotowującej się ewakuacji.

Noc z 7-go na 8-go czerwca przeszła w naprężeniu, lecz wszystko pozostawało na miejscu. Nasze Dowództwo najbardziej obawiało się napadu na Winnicę kawalerii Budiennego. Miasto nie miało garnizonu, który by mógł stawić skuteczny opór regularnej armii. 18-ta dyw. piechoty była o kilkadziesiąt kilometrów na południowy wschód. Brygady ukraińskich wojsk Petlury również walczyły z nieprzyjacielem obok naszej dywizji. Jazda Budiennego w tym czasie miała niejako wolną rękę i wybierała sobie kierunek marszu, obiekty do uderzenia. W pewnym momencie, na podstawie ówczesnych danych, oddziały kawalerii tej armii znajdowały się w odległości mniej więcej 50-ciu kilometrów od Winnicy. Według mnie należało cięższe przedmioty usunąć z Winnicy w głąd Rzeczypospolitej.

Tymczasem grupa Budiennego wykonała najazd na Berdyczów. Akcja ta była nieoczekiwana. Był to mówiąc ściśle nagły wypad. Dnia 9-go czerwca, około godziny 9-ej, widocznie pod wpływem tego, a może i na skutek innych niepokojących wieści, generał Romer nakazał gwałtowną ewakuację i wyjazd.

Zdaje mi się, że nie popełnię błędu jeżeli powiem, że ewakuacja ta była zdecydowana z miejsca. Należałem do tych kilku oficerów wobec których nie robiono by tajemnicy, gdyby plan ewakuacji powstał już wcześniej. Można sobie wyobrazić panikę, jak powstała wśród polskiego społeczeństwa.

Kto tylko zdążył, zabierał co mógł bodaj do podręcznych walizeczek i wraz z wojskiem ładował się do przepełnionych wagonów osobowych i towarowych byleby tylko nie zostać w Winnicy. Był to przerażający widok, ta nagła, nie przewidziana ewakuacja.

Nikt nie zatroszczył się o społeczeństwo polskie Winnicy. O rodziny tych, którzy gościli u siebie oficerów, o tych, którzy prowadzili pracę społeczną na rzecz polskości, pracę oświatową i opieki nad żołnierzem. Nie zatroszczono się o los tych elementów, które z nami ściśle współpracowały. Wszystko się stało i było zrobione tak nagle, że nie było na to czasu. Ogół miejscowych Polaków ogarnęła rozpacz.

Jeśli chodzi o ładowanie pododdziałów do ewakuacyjnego pociągu w tym wypadku również stan był anormalny. Ewakuacja była tak gwałtowna, że nie zdążyliśmy po za aktami zabrać nawet osobistych rzeczy. Nie było czasu na zdanie właścicielom lokali wraz z urządzeniem.

Dziwnie czuje się żołnierz podczas takiej ewakuacji! Jest się w zasadzie żołnierzem posiadającym broń i amunicję, ale nie jest się związanym z oddziałem bojowym, który jest gotowy do przyjęcia walki w każdej sytuacji. Taki żołnierz, który jest na funkcji podczas takiej ewakuacji przeżywa straszną tragedię. W razie napadu nieprzyjaciela nie wiadomo czego ma bronić: cennego bagażu, którego jest stróżem, otoczenia, które jest zdane na łaskę losu, czy wreszcie swoich przełożonych i siebie?

Pociąg ruszył w kierunku na Żmerynkę. Ledwo się posuwał w ścisłym tego słowa znaczeniu. Skład pociągu był tak przeładowany i było tak dużo wagonów, że w niektórych trudniejszych miejscach wszyscy musieli pociąg opuszczać i popychać go pod górę.

Pasażerowie ogarnięci paniką. Każdy chciał by jaknajprędzej jechać, byle być jak najdalej od miejsca urojonego czy prawdziwego niebezpieczeństwa. Widocznie ludność okoliczna nic nie wiedziała o ewakuacji, bo stacje, przez które pociąg nasz przechodził, świeciły pustkami. Ciekawych nie było. Nie było żadnych przeszkód w ruchu pociągu prócz nadmiernego obciążenia. Choć powoli, lecz coraz dalej odjeżdżaliśmy do Winnicy. Około godziny 14-ej dnia 8-go czerwca dojechaliśmy do stacji Klewań. Tu pociąg zatrzymał się na 15 minut. Nikomu się nie chciało wychodzić z wagonów. Na stacji nie było nic ciekawego. Wszyscy się trochę nerwowo uspokoili. Każdy jak umiał i jak go było na to stać, urządził sobie prowizoryczne locum. Dokąd się jechało — niewiadomo. Na razie do Żmerynki.

V.

Jak wiadomo piorun z jasnego nieba wpada do mego przedziału: łącznik ze Sztabu i melduje, bym się natychmiast tam stawił. Niezwłocznie w obecności generała zameldowałem się u kpt. Boernera, który polecił mi wybrać sobie pięciu najlepszych szeregowców, zaopatrzyć się w dostateczną ilość amunicji i wracać z powrotem do Winnicy. Rozkaz był ustny, krótki. Cel: miałem z powrotem zająć to miasto, nawiązać i utrzymywać aż do skutku łączność z 18-tą dywizją piechoty i tymi oddziałami, które operują w rejonie Winnicy, nawiązać i utrzymywać stałą łączność ze Sztabem w osobie kpt. Boernera. Ani środków lokomocji, ani żadnej łączności z Winnicą już nie mieliśmy. Trzeba było wszystko tworzyć nanowo. Nie było czasu na zastanawianie się. Zameldowałem generałowi odmarsz. Wybrałem 5-ciu żołnierzy w tym 2-ch podoficerów i 3-ch szeregowych. Napchałem pełne ładownice i tornistry amunicją i byliśmy gotowi. Osobisty bagaż pojechał dalej pod opieką kolegi, Jerzego Konczyńskiego.

Klewań, mała stacyjka, położona na niewielkim wzniesieniu udzieliła 6-ciu żołnierzom-tułaczom chwilowego schronienia. Musiałem zastanowić się jak wybrnąć z sytuacji, co robić dalej?

Przyznam się szczerze, rozkazem kpt. Boernera byłem skonster-nowany. Może inny, lepszy ode mnie żołnierz był by dumny z tego

wyróżnienia, uważał je za wielki zaszczyt, ja wcale tych myśli nie miałem. Po tej panicznej ewakuacji, po tej atmosferze, jaka ostatnio w Winnicy panowała, nie wyobrażałem sobie, jak mogę wrócić, jak mi się zdawało w próżnię. Wiedziałem, że tak na tym terenie, który miałem przebyć, jak w samej Winnicy, nie było już naszego wojska. Wiedziałem również jak słabą przedstawiam siłę bojową nawet wobec mas chłopskich, które, jak już wyżej mówiłem, nie żywiły do wojska wielkiej sympatii, a respekt do siebie wymóc na nich nie mogłem, bo było nas zaledwie kilku.

Rozwazałem przyczyny, dla których kpt. Boerner właśnie mnie, a nie kogo innego wysłał do spełnienia takiego, w tych warunkach wątpliwego i desperackiego zadania. Nie mogłem go przecież pytać dlaczego wysłał mnie. Kto znał Boenera doskonale rozumie, że w takich wypadkach było ryzykowne stawianie mu jakichś pytań, które by mogły mieć charakter osobisty. Ale nie było co dalej rozważać i zastanawiać się. Trzeba było jakoś rozkaz wykonać. Wyszliśmy z dworca, który przed naszym przybyciem był pusty i taki po naszym wyjściu pozostał. Skierowaliśmy się do pierwszej zagrody włościańskiej, gdzie poleciłem natychmiast dostarczyć nam dwie podwozy. Wkrótce podwozy były gotowe do odjazdu. Nie pamiętam, czy i jakie wrażenie wywarła na chłopach nasza wizyta. Widocznie nasza postawa była tego rodzaju, że stawianie jakiegokolwiek oporu uważano za bezskuteczne. Wsiadliśmy po trzech na furmanki i wzięliśmy kierunek na Winnicę. Dzień był słoneczny, upalny. Jechałem na pierwszym, parokonnym wozie z dwoma żołnierzami. Kiedy minęły chwile rozpamiętywania, spojrzałem w przestrzeń dookoła siebie. Widok był piękny. Zjeżdżając z łagodnego wzgórza klewańskiego na równy szeroki gościniec, prowadzący do Winnicy, widziałem bezbrzeżną przestrzeń pokrytą złocistymi łanami zbóż. Widać było tylko z oddali tumany kurzu, jakgdyby słupy dymu, zmieszanego z kurzem po wybuchach granatów albo pocisków artyleryjskich, wolno wznoszącego się hen, ku niebiosom.

Panował głęboki, majestatyczny spokój. Ani powiewu wiatru, ani szmeru kłosów przydrożnego zboża, ani nawet polny ptaszek nie przyfrunął, by zamącić głęboką ciszę panującą na tych rozległych terenach. Jak gdyby niebo chciało nam, biednym polskim żołnierzom, oderwanym od swojej gromady dać chwilę spokoju, pozwolić podumać, zastanowić się nad tym co będzie za parę godzin, co będzie jutro. Jechaliśmy dalej nie mówiąc do siebie ani słowa. Poleciłem specjalnie żołnierzom aby ze sobą nie rozmawiali o celu podróży, żeby się nie zdradzić przed woźnicami, to też na wozach panowało milczenie. Godziny mijały. Coraz bliżej nas były tumany kurzu, które były przedtem widoczne na daleką odległość. Jak się później okazało, był to właściciel majątku, który wraz z administracją i służbą ewakuował swój inwentarz żywy, setki koni i bydła. Na wozach wieziono wszelaki dobytek, jaki można było w tak krótkim czasie zabrać, gdy się dowiedziano, że Winnica ewakuuje. Szły bryczki, wolanty, nawet karety, zaprzężone w piękne konie.

Można sobie wyobrazić radość, a zarazem zdumienie dziedzica i jego otoczenia, gdy ze swoim wózkiem znalazłem się naprzeciwko ich zaprzęgów. Zauważywszy mnie, właściciel tego ruchomego gospodarstwa, wyskoczył z powozu i podbiegł do mnie, oblegając tysiącem pytań. Co znaczy ta nagła ewakuacja, dla czego wracam z tak małą ilością żołnierzy? Wszak wojsko polskie kontynuuje odwrót, a garnizon dziś rano opuścił Winnicę?

Odpowiedziałem swemu rozmówcy, że ma mylne informacje, że wojsko nasze nie wykonuje i wcale nie ma zamiaru wykonywać odwrotu, przeciwnie, w kierunku na południo-wschód zdążają specjalne posiłki wojenne i ja jestem strażą przednią tych oddziałów. Maszeruję na Winnicę.

Dziedzic nie posiadał się z radości. Uściskał mnie serdecznie za dobrą nowinę i oświadczył, że skoro nasi wracają, on też zawraca i jedzie razem ze mną.

Nie mogłem łatwowiernego entuzjastę tak dalece wprowadzać w błąd i narażać na niebezpieczeństwo, powiedziałem więc, że ja napewno jadę do Winnicy, a posiłki wojskowe za mną podążają, ale nie mogę mu gwarantować bezpieczeństwa, gdyby zamierzał cały inwentarz z powrotem do majątku pędzić. Poradziłem mu, aby sam wrócił ze mną do Winnicy, a gdy się sytuacja wyklaruje definitywnie, wówczas można będzie sprowadzić cały inwentarz. Moje wywody trafiły dziedzicowi do przekonania; w ciągu kilku minut wydał dyspozycję, polecił paniom przesiąść się do innego powozu i pożegnawszy się z nimi, zaprosił mnie do swego powozu, zawracając go w kierunku Winnicy.

Od tej chwili jechałem w pięknym, wygodnym powozie. Teraz dopiero, gdy pozbyłem się niepożądanego świadka w postaci mojego woźnicy, mogłem mówić szczerze. Widziałem jak mego rozmówcę obleciał strach, ale wstydził się przyznać do tchórzostwa. Wracać nie wypadało, więc chociaż w duszy zacny obywatel złorzeczył mnie i swojej decyzji powrotu, ale nie było innego wyjścia. Woźnica poganiał konie co raz to energiczniej, jakby się śpieszył do Winnicy po szczęście, a za nami szły dwa nędzne wózki z moją „siłą zbrojną”.

Około godziny 21-ej po parokrotnych, krótkich odpoczynkach w celu napojenia koni po drodze, „w szyku rozsypanym” weszliśmy z powrotem do Winnicy. Miasto było kompletnie zamarte. Sklepy pozamykane. Na ulicy cisza, spokój.

Zajęliśmy lokal dawnego swego dowództwa. Wyglądało tu jak po pogromie, jak gdyby przeszedł huragan walki. Panowało istne piekło! Sprzęty, dywany, obrazy — zrabowane.

W rejonie dowództwa zastałem kilku żołnierzy, ubranych napół po wojskowemu, na pół po cywilnemu, którzy kierowali się tu z różnych odcinków frontu i z po za frontu, z informacjami, zdobytymi na wywiadzie. Nie zastawszy w Winnicy nikogo, przygotowywali się do dalszych grupowych marszów wślad za nami albo do swoich macierzystych oddziałów.

Po jako takim zainstalowaniu się, po wysłuchaniu krótkich raportów od żołnierzy, których tu zastałem, a także rozmówiwszy się z kilku obywatelami miasta, którzy masowo zaczęli przybywać po informacje i ratunek do mego skromnego dowództwa (wieść o moim powrocie rozeszła się lotem błyskawicy), wyznaczyłem służbę na najbliższe godziny. Sam wraz z jednym żołnierzem udałem się na dawną swoją kwaterę do pań Jaroszewskich. Specjalnie muszę tu wspomnieć serdecznie patryotyzm i gościnność tego polskiego domu składającego się z samych kobiet: starszej pani Jaroszewskiej, jej córki, studentki jednego z wyższych zakładów naukowych i chorej, niedołążonej starszuszki, matki pani Jaroszewskiej. W domu pań Jaroszewskich mieszkali i bywali najwybitniejsi oficerowie sztabowi, jak płk. Matuszewski Ignacy i inni. Dom ten, był jednym z punktów zbórnych elementów niepodległościowych na tamym terenie.

Największą tragedią tej rodziny w obecnej sytuacji było to, że niewiadomo było co robić z chorą babcią. Zabrać ją ze sobą, uciekając do Polski, było trudne, poprostu nie możliwe, zostawić samą w Winnicy wykluczone. Pozostać całej rodzinie dla niej jednej — to skazać się dobrowolnie na tortury bolszewików, którzy w najkrótszym czasie do Winnicy mieli wkroczyć.

Gdy wszedłem do mieszkania, zostałem powitany przez czcigodne panie serdecznym okrzykiem radości, ze łzami w oczach. Dopiero w kilka godzin po naszej ewakuacji, dowiedziały się, że nas już w Winnicy nie ma. Rozpacz ich nie miał agraphic. Wszak całą swoją nadzieję pokładały w nas, swoich żołnierzach, że w razie klęski i konieczności opuszczenia miasta, zaopiekujemy się nimi i ułatwimy wyjazd. Tymczasem wojsko wycofało się, pozostawiając je swojemu losowi. Nawet ja, jeden z najstarszych lokatorów tego domu, nic o zaistniałej sytuacji nie powiedziałem.

Jakoś się ze swej zdrady wytłomaczyłem. Wina została mi darowana. Zdaje się, że najlepszym argumentem, przemawiającym za mną, był mój powrót. Po powitaniach, tłumaczeniach i opowiadaniach, zabrałem się do gruntownego mycia, czyszczenia, wreszcie zasiadłem do pierwszego po kilkunastu godzinach posiłku.

Po tym wszystkim wróciłem z powrotem do dowództwa. Dowództwo moje mieściło się w oddzielnym, jedno piętrowym pałacyku dawnego Banku Włociańskiego.

W budynku było rojno. Przybywało co raz więcej ludzi. Byli to różni wywiadowcy ze sfery przyfrontowej, emisariusze z po za frontu, szereg osób, które kontynuowały swoją ucieczkę na zachód. Każdy wstępował po informacje, radę, pomoc i otuchę. Wiele osób nawet nie wiedziało o ewakuacji Sztabu, o tym, że moje „wysokie dowództwo” powróciło w szyku bojowym na wózkach, uprzednio wysadzone z rozkazu kpt. Boernera z wagonu na stacji Klewań. Panowała istna wieża Babel! Każdy czegoś chciał, o coś prosił, o coś się informował, ofiarowywał swoje usługi. Zaczęło się celowe, pożyteczne dla sprawy urzędowanie. Wiadomości o całej sytuacji miałem poddostatkiem. Musiałem je wykorzystać. W pierwszym rzędzie musiałem doprowa-

dział do należytego porządku swoje „apartamenty urzędowania”, założyć z powrotem telefony, urządzić jako tako biuro, sekretariat itd. Wszystko to trwało krótko. Około północy służba szła zupełnie normalnie. Materiały oczekiwaly na przerobienie i odesłanie ich do sztabu. Posiadałem już około 50 w najrozmaitszy sposób zmobilizowanych i najróżnorodniej uzbrojonych ludzi. Można było śmiało nazwać moje uzupełnienie stanu zbrojnego pospolitym ruszeniem. Wysłałem też dość silny patrol na ulice miasta. Chodziło mi o to, by miasto wiedziało, że jest we władzy wojsk polskich. Żadnego jednak kontaktu, żadnej łączności po za miastem tej nocy nie nawiązałem.

Na linii Winnica — Żmerynka nie przestawały kursować pociągi a zwłaszcza pociągi pancerne, lecz z władzami kolejowymi, nie wiem z jakiego powodu, również łączności nie nawiązałem. Możliwe, że nie przyszło mi to do głowy. Ani przez chwilę jednak nie przestawały mi przybywać uzupełnienia. Co raz to jakiś podoficer, szeregowiec, kurier lub wywiadowca zza frontu meldował się u mnie. Wszyscy oni grupowali się w moim dowództwie, i dostawali odpowiedni przydział. Nie było mowy tej nocy o wypoczynku. Ta noc z 8-go na 9-go czerwca była dla mnie i dla moich ludzi jakby pierwszą po zdobyciu miasta. Wszystko znajdowało się w stanie pogotowia. Może ten stan był zbędny, ale tak było. Pierwsze piętro, schody, przedpokoje, wszystko zapełnione ludźmi, bronią i amunicją. Podoficer służbowy i miejscowy obywatel-żołnierz, który dobrze znał ludność, stale byli w ruchu i czuwali nad tym, aby między uzbrojoną garść żołnierzy nie dostał się ktoś nie powołany.

Około godziny 23-ej usłyszałem na korytarzu jakąś głośną rozmowę. Po chwili wpadł do mnie podoficer służbowy i zameldował, że przyszli jacyś dwaj oficerowie z ukraińskiego oddziału partyzanckiego.

Kazałem natychmiast zaprosić gości do gabinetu. Weszło dwóch uzbrojonych kawalerzystów, uniformem nie zupełnie przypominających oficerów kawalerii ukraińskiej. Wprawdzie mieli płaszcze, ostrogi, papachy na głowie i przy boku pistolety, ale całym swoim wyglądem tak byli nie podobni prawdziwych wojskowych, że nie wiedziałem kim ci panowie są i kogo reprezentują. Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Otóż ci dwaj uzbrojeni obywatele byli przedstawicielami i delegatami grupy partyzanckiej atamana Szepiele.

Okazało się, że w niedalekiej odległości od Winnicy, znajdował się oddział partyzancki tego atamana. Trudno sobie wyobrazić, by tak liczny oddział uzbrojonej kawalerii mógł się znajdować przez czas dłuższy w okolicy miasta, w którym miały swoją siedzibę liczne sztaby i urzędy wojskowe. A jednak tak było. Ataman Szepiel, jak mi w pół godziny później sam mówił, przez okres kilkunastu dni znajdował się w odległości 30, 40 klm. od Winnicy i nikt, z wyjątkiem ludności wiejskiej o tym nie wiedział. Prócz tego utrzymywał on drogą zakonspirowaną kontakt z miastem. Tak dobre zakonspirowanie tego oddziału ilustruje stosunki, jakie wówczas panowały wśród ukraińskiego włościństwa. Jak to, ataman Szepiel, dość znany par-

tyzant, mając oddział około 700 uzbrojonych kawalerzystów, chodził sobie bez przeszkód raz na południe raz na północ, to znowu na wschód, a nikt o nim nic nie wie, nikomu on nie podlega! Cała ta historia zakrawa poprostu na żarty!

Przyznaję się, że gdy się dowiedziałem od delegatów, iż przyszedł oni od atamana Szepiela, który pragnie mnie widzieć i znajduje się na kwaterze w miejscowym hotelu — byłem tą wiadomością nie mile zaskoczony. O Szepielu słyszałem. Wiedziałem, że gdzieś w okolicy Białej Cerkwi, czy też po za naszym frontem łupił bolszewików. Uważałem, że tak jest w porządku, natomiast wcale mi się nie podobało, że akurat dziś przyszedł do Winnicy i pragnie się ze mną widzieć, w dodatku w takiej dość dla mnie nie pewnej sytuacji. Ale trudno! Rozumiałem, że muszę się z nim zobaczyć. Wolałem zobaczyć się z atamanem, w jego kwaterze, a nie u mnie. Rozumowałem, że gdy pójdę do niego, będę jego gościem, będzie musiał być wobec mnie uprzejmy i gościnnie. Ja będę mógł rozejrzeć się w sytuacji na miejscu i zorientować jaką siłę on przedstawia. Nie chciałem natomiast, by on przychodził na moje podwórko, by przypadkowo nie zechciał spenetrować jak słabą siłę ja reprezentuję. Zanim delegaci zdążyli mnie zaprosić, ja sam oświadczyłem, że „owszem odwiedzę atamana, gdy będę w tamtych stronach na inspekcji wart garnizonowych”. Może nie każdy słyszał o tym, że na terenach nie zmierzonych stepów lewo i prawobrzeżnej Ukrainy znajdowało się szereg mniejszych i większych ukraińskich oddziałów partyzanckich. Jednym z największych, najlepiej samorzutnie zorganizowanych oddziałów partyzanckich był oddział słynnego atamana Nestora Machno z sióła Hulaj-pole, jekaterynosławskiej guberni. Oddziały Machno można było śmiało nazywać armią. Liczbą uzbrojonych partyzantów wraz z intendenturą, taborem itd. dochodziła do kilkudziesięciu tysięcy. Trudno dziś podać ścisłą liczbę jego ludzi w oddziałach, ale według danych zaczerpniętych z rozmaitych źródeł i danych z różnych opisów, jak Arszynowa „Historia ruchu Machnowskiego”, jak i z pamiętnika atamana oraz z osobistych moich z nim rozmów, wynikałoby, że armia ta liczyła około 45.000 ludzi.

Po za Machną było jeszcze kilku czy kilkunastu mniej lub więcej znanych atamanów, którzy kierowali podporządkowanymi sobie oddziałami i zasłynęli z mniejszych lub większych wypadów partyzanckich, czy to przeciwko byłym wojskom Skoropadzkiego, czy też przeciwko bolszewikom albo Petlurowcom. Oddziały te miały charakter anarchistyczny. Nikomu się nie podporządkowywały, żadnej władzy nie uznawały, nikomu nie chciały służyć, nadewszystko ceniły niezależność i wolność.

Jednym z takich licznych atamanów partyzanckich był Szepiel. Był Ukraińcem. Oddział jego składał się z żołnierzy i podoficerów b. armii rosyjskiej również Ukraińców. Nie uznawał żadnej władzy. Nie czuł się niczym związany z Naczelnym Wodzem Ukrainy atamanem Petlurą, ani wówczas organizującą się narodową armią ukraińską. Przenosił się ze swoją armią z jednego miejsca na drugie, z jed-

nego na drugi powiat, z jednego na drugi odcinek frontu. Przez jakiś czas przebywał po za naszym frontem wykonywując szereg wypadów na tyły wojsk sowieckich, na obozy i magazyny. Jeżeli widział, że znajduje się w krytycznej sytuacji, rozpuszczał swój oddział, a po kilkunastu dniach w umówionym zbórnym punkcie, po naszej stronie nanowo go zbierał, organizował i nanowo rozpoczynał koczownicze życie.

Stosunek Szepiela do armii polskiej był poprawny. Nigdzie nie było stwierdzone, by ludzie jego zajęli wrogie stanowisko względem naszych żołnierzy. Wiedziałem o tym, nie mniej czułem się nieswojo, mając takiego gościa w Winnocy. Wziąłem ze sobą dwóch podoficerów uzbrojonych tak samo dobrze, jak delegaci atamana i wyszedłem na miasto. Około godziny 24-ej przybyłem do kwatery atamana. Wokół hotelu było dość rojno. Co prawda wojska nie było widać, było ukryte, ale zdążyłem się dowiedzieć, że partia liczy, jak wyżej powiedziałem, 700 koni. Ataman przyjął mnie z wyszukaną kurtuazją. Przepraszał, że sam się do niego fatygowałem, że on sam gotów był zameldować się u mnie, ale pierwiej chciał się upewnić przez swoich adiutantów, czy o tej porze jeszcze urzęduję i czy będę chciał go przyjąć.

Należałoby według zwyczaju opisać sylwetkę atamana. Pamiętam treść mojej z nim konferencji, „figury”, jakie się koło nas kręciły, pamiętam wygląd „adiutantów”, ale nie podjąłbym się w żaden sposób opisać zewnętrznego wyglądu bohatera tej nocy. Nie miał on widać nic charakterystycznego, co by mi się mogło utrwalić w pamięci wzrokowej. Np. atamana Machno pamiętam doskonale. Był niski, krępy, kulawy, ciemnowłosy. Ataman Szepiel był, zdaje mi się blondynem, no i tyle. Raz go tylko w życiu widziałem i to w nocy przy słabym świetle, to też na takim opisie jego osoby poprzestaną.

Po powitaniu natychmiast zaprosił mnie na posiłek. Tłómaczył się że jest w przemarszu, że nie zamierza tu długo przebywać i dlatego pragnie spożyć wraz z mną przygotowaną kolację. Postępowanie to zdawało mi się trochę dziwne. Wymawiałem się brakiem czasu i obowiązkiem powrotu do dowództwa, ale zasadniczo nie miałem nic przeciwko temu. I jeść mi się chciało i ciekawy byłem tej rozmowy. Rzecz zrozumiała, że przy jedzeniu najłatwiej i najbardziej szczerze się rozmawia. Uległem więc prośbie atamana i zostałem.

Rozmowa zaczęła się od zapytania co słyhać, jaka jest sytuacja, co ja tu robię? Odpowiedziałem, że jestem przedstawicielem armii polskiej i pełnię tu takie obowiązki, jakie na mnie włożyły moje władze przełożone. Jeżeli chodzi o sytuację, o którą pyta ataman, sądzę, że on to samo wie co i ja, gdyż według mego zdania walczy on z bolszewikami w związku z narodową armią ukraińską, jako sprzymierzeniec wojsk polskich.

Nie miałem prawa i nie mogłem więcej na jego pytania odpowiedzieć, gdyż nie mogłem wtajemniczać go w sytuację jaka była wówczas, a była ona dość nie wesoła. Przypuszczam, że Szepiel z tej mojej odpowiedzi zrozumiał moją rezerwę i niechęć do wywnętrzania się.

Sam jako gospodarz zaczął mnie „bawić” rozmową. Przede wszystkim oświadczył, że wcale nie walczy w związku z armią atamana Petlury, że mu wcale nie podlega i jest zupełnie samoistną formacją. Oświadczył mi, że nie powiniennem go uważać za petlurowca, natomiast twierdził, że ceni wysoko geniusz Naczelnego Wodza polskich sił zbrojnych i dlatego zapewnia mnie o całkowitym do mnie jako przedstawiciela armii polskiej, szacunku. Dalszy ciąg rozmowy naszej był mniej więcej tej samej treści. Mówiliśmy o sukcesach oręża polskiego, o armii bolszewickiej, szeroko opowiadał o swoich wypadach przeciwko bolszewikom, snuł plany na przyszłość itd. Wciąż jednak podczas tej „ożywionej” konwersacji nie zdradził się z tym, o co mu chodzi, jaki cel miała nasza konferencja. Wyteżyłem wszystkie zmysły, by odgadnąć jego zamiary, samemu nie zdradzając się z niczem.

Wreszcie wszedł jeden z jego oficerów i zameldował, że przybyli do mnie żołnierze i chcą się ze mną zobaczyć. Byli to dwaj łącznicy, którzy mieli za zadanie utrzymywanie ze mną kontaktu i baczenie, na moje bezpieczeństwo. W razie bowiem potrzeby cały oddział miał być zaalarmowany.

Kiedy wszedł sierżant i zameldował o konieczności udania się mego do dowództwa, ponieważ tam pilne i ważne sprawy, rozmowa z atamanem zaczęła dochodzić do sedna rzeczy. Szepiel oświadczył mi, że on ze swoją grupą spełnia zadanie, jakie mu opatrność względem jego ojczyzny-Ukrainy wyznaczyła. Na każdym kroku, on jest Jej synem, dlatego od tej ojczyzny co mu potrzeba, wziąć musi. Nie ma składów żywności, nie ma intendenty, któraby go zaopatrywała we wszystko potrzebne. To co ma, bierze stąd, gdzie jest. Przechodząc przez Winnicę pragnie w niej choć częściowo zaopatrzyć się, a wiedząc o tym, że znajduje się w miejscu garnizonu W. P., uważa za stosowne mi o tym powiedzieć i zapytać, czy nie będę miał nic przeciwko temu. Co miałem zrobić? Protestować nie miało sensu. Jakąż siłę przedstawiałem? Oświadczyłem tylko, powołując się na odezwę Naczelnego Wodza W. P., że jesteśmy tu sprzymierzeńcami ich i walczymy o wolność i niepodległość narodu ukraińskiego. Dalej oświadczyłem, że dostarczyć żywności nie jestem w stanie, natomiast powiedziałem, że jak dotychczas, tak i w przyszłości, sędzę, że ataman sam sobie pod tym względem poradzi.

Po tym moim oświadczeniu rozmowa nasza została zakończona. Pożegnałem się z atamanem, który ze swej strony pożegnał mnie bardzo kurtuazyjnie, i wyszedłem.

Wyszedłem i dopiero wtedy zacząłem się zastanawiać o co naprawdę ukraińskiemu watałce chodziło? Po pierwsze rozmowa nasza miała miejsce w wyjątkowym czasie i okolicznościach, po drugie, dziwne było to, że ni stąd ni z owąd, Szepiel przybył do Winnicy w tym czasie, gdy wszystkie nasze siły z Winnicy odeszły. Wyglądało na to, jakby go tu ktoś specjalnie sprowadził. Chyba nie poto, żeby się ze mną bić? Nie rozmawiałby tak ze mną przyjaźnie i nie zapraszał na kolację. Mógłby był bezkarnie dokonać na mnie napadu, lecz tego nie zrobił. Jeżeli potrzebował żywności lub futrażu, łatwiej

było go zdobyć na wsi, po co przybył do miasta? Głowiłem się bezskutecznie nad tym pytaniem. Przyszedłszy do dowództwa zarządziłem ostre pogotowie. Wyjaśniając ludziom cel pogotowia, opowiedziałem pokrótce kilku inteligentniejszym podoficerom i żołnierzom o rozmowie z Szepielem i o moich obawach, by nie wykonał na nas napadu. Wyciągnąłem się na chwilę na otomanie, by trochę odpocząć. Nie upłynęło dwóch godzin, gdy zostałem nagle zbudzony. Okazało się, że Szepiel miał swój cel, przybywając do Winnicy. Około godziny 3-ej po północy upatrzwszy sobie bogatsze dzielnice miasta, zamieszkałe przez żydowskich kupców — zaczął rabunek, rozbijając sklepy i mieszkania. Słychać było z oddali trzaski, hałasy, krzyki i jęki. Wszedłem z plutonem w kierunku pogromu. Widziałem jak konne watahy narabowawszy prawdopodobnie dosyć, kierowały się na wschód wzdłuż toru kolejowego. Pogrom nie trwał długo, prawdopodobnie w obawie interwencji naszych wojsk, co do których Szepiel nie wiedział w jakiej są ilości.

Na wschodzie niebo było zachmurzone. Z południa, gdzieś zdaleka, ledwie, ledwie słychać było cienki gwizd lokomotywy. Powiewał chłodny wiaterek. Świat zaczął budzić się ze snu, by żyć.

Dzień 9-go czerwca był dla mnie dniem wielkiej doniosłości, W dniu tym uzyskałem połączenie kolejowe i telefoniczne ze Żmerynką, z członkami 6-ej armii. Nawiązałem również łączność z 18 dyw. piechoty. Wypełniłem powierzone mi w dniu wczorajszym na stacji Klewań zadanie. W tym wszystkim był dla mnie jeszcze jeden bardzo ważny moment prestige'owy. Dobrze jest jeżeli się łączy pożyteczne z przyjemnym, a to właśnie w dniu 9-ym czerwca miało miejsce.

Znany jest powszechnie napad bolszewickiej kawalerii na Berdyczów. Napad ten miał miejsce 7-go albo 8-go czerwca. Podczas tego napadu, ratując się przed niebezpieczeństwem, szofer wożący wyższych oficerów sztabu generalnego, uciekł z miasta wraz ze swoim samochodem. Nie mając innego wyjścia z sytuacji, bo widocznie droga na zachód była niebezpieczna, wziął kierunek na Winnicę. Szofer wiedział o tym, jakie oddziały są stacjonowane w Winnicy, bo widocznie tu nieraz przyjeżdżał, ale nie wiedział o tym, że od 30 godzin nastąpiła ewakuacja. Nie zatrzymując się, powoli, powoli (gdyż tamte drogi pozostawiały wiele do życzenia) przyjechał do Winnicy i zameldował się u mnie. Od tej chwili miałem własny, reprezentacyjny samochód. Dodawał mi on powagi. Nikt, za wyjątkiem kilku zaufanych podoficerów nie wiedział, że otrzymałem go przypadkowo. Mówiono, że to Naczelne Dowództwo mi go przysłało. Od czasu do czasu przejeżdżałem się nim po mieście do różnych urzędów i instytucji. Posiadając samochód czułem się jakby lepiej uzbrojony i bezpieczniejszy.

W Winnicy pozostałem do późnej nocy dnia 13-go czerwca. W okresie tym systematycznie wysyłałem meldunki do Sztabu Etapu W. P. na Ukrainie. Taką dowództwo nasze posiadało oficjalną nomenklaturę. Dowództwo stacjonowało w tym czasie w Starokonstantynowie. Meldunki wysyłałem przeważnie konno bezpośrednio przez Li-

tyń — Latyczów. Kurierów wysyłałem jednostronnie bez obowiązku powrotu. Wiedziałem bowiem, że lada moment nastąpi mój wyjazd do Sztabu. Co dzień była ta sama, nerwowa, bez wytchnienia, praca. Otrzymywane nieustannie meldunki z różnych odcinków frontu trzeba było natychmiast przysyłać, odpowiednio kondensując, do wyższego dowództwa. Trzeba było przy tym usilnie dbać o utrzymanie i zabezpieczenie środków łączności, jak telefon i telegraf. Należało strzec mostów i linii kolejowej, by pozostały one w należyтым porządku dla utrzymywania kontaktu między poszczególnymi, walczącymi jednostkami i dla dokonania sprawnego odwrotu. Posiadałem dokładne informacje, kiedy będziemy zmuszeni definitywnie Winnicę opuścić. Jeżeli chodziło o zabezpieczenie torów kolejowych i mostów, funkcje te wykonywały specjalne oddziały wojskowe. Oddziałom tym trzeba było ułatwić pełnienie swych obowiązków. Po za tym trzeba było zbierać wszystkie informacje, dotyczące sytuacji w danym rejonie. Nie można było dopuścić do tego, by zaszła potrzeba obrony czynnej tych obiektów. Pracę tę wykonywałem przy wzajemnym współdziałaniu z dowództwem wojsk ukraińskich. Od kilku dni prócz użycia wszystkich środków, posiadanych przez mnie do ochrony linii kolejowej i dla współdziałania z cofającą się 18-tą dyw. piech., stale znajdował się na linii Żmerynka — Winnica pociąg pancerny, zdaje się „Śmigły”.

Nastąpiły ostatnie dni pobytu i urzędowania w Winnicy: 11, 12 i 13 czerwca. Dnie te były istnym piekłem. Ewakuacja społeczeństwa trwała bez przerwy. Każdy chciał zabrać jaknajwięcej swego dobytku. Pociągi były do tego stopnia przepełnione, że prawie nikt nie wiedział gdzie się jego rzeczy znajdują. Były takie rodziny, które chciały zabrać najmniej wartościowe przedmioty. Wielu obywatelom zdawało się, że świętym obowiązkiem władz wojskowych jest zaopiekowanie się w pierwszym rzędzie nim, jego osobistym dobytkiem, a sprawy ogólne, front — to są rzeczy podrzędne. Widziałem przed dworcem kolejowym całe sterty, całe kopce złożonych rupieci. Uciekinierzy chcieli wszystko to zabierać ze sobą. Zarówno władze wojskowe, które do tej ostatniej ewakuacji były delegowane, jak i ja, dokładaliśmy wszelkich starań by społeczeństwu zadość uczynić. Lecz nic nie można było zrobić po za granicami możliwości.

Moje gospodynie były mało wymagające. Wzięły tylko najniezbędniejsze rzeczy. Pamiętam jak w 1927 czy 28 roku spotkałem w Warszawie staruszkę, właścicielkę wielkich dóbr pod Winnicą, która zaczęła wyrzekać, że nie umożliwiłem jej wywiezienie z Winnicy palisandrowych mebli i tym samym obciążyłem swoje sumienie, a ją unieszczęśliwiłem.

Ano, niech mnie Bóg weźmie w swoją opiekę! Może i popełniłem wielki błąd. Żebyśmy przeprowadzali ewakuację tylko Winnicy i okolic, mieli do dyspozycji dziesięć razy większy tabor kolejowy, niewątpliwie palisandry pani dziedziczki nie zostały by w Winnicy. Ale niestety trochę więcej i trochę cenniejszych rzeczy, bo dużo krwi żołnierskiej tam zostało. Ale trudno — wojna, wymaga ofiar.

Wieczorem dnia 13 czerwca przez Winnicę zaczęły przechodzić pierwsze oddziały 18-ej dyw. piech., szpital polowy, intendentura itd. W nocy około godziny 22-ej przybył Sztab Dywizji z gen. Krajowskim na czele. Znowu zaczęły się nerwowe godziny, minuty. Słychać było walkę: strzały artyleryjskie, następnie karabiny maszynowe. Generał śnać oparł się o miasto, chcąc powstrzymać napór nieprzyjaciela. Cały swój oddział, który już liczył około 50 ludzi, ewakuowałem w ten sposób, że codziennie wysyłałem kilku, jako kurierów. Pozostałą część wysyłałem do oddziałów macierzystych, resztę wieczorem 13-go wysłałem ostatnim pociągiem ewakuacyjnym do nakazanego przez Sztab punktu. Zostałem z 3-ma podoficerami i samochodem. Nazajutrz dnia 14-go przez Winnicę cofały się ubezpieczenia tylne. Bolszewicy nie napierali. Wojska nasze znacznie oderwały się od nieprzyjaciela. Widziałem jak bataliony piechoty cofały się gościńcem z bronią na karku tak, jakby wracały z ćwiczeń do koszar. Odbywał się ogólny odwrót oddziałów bojowych.

18 dyw. piech. cofała się z Winnicy na Lityń — Latyczów. Po przejściu przez Winnicę ostatnich oddziałów i ja, w ślad za generałem Krajowskim, wyjechałem z Winnicy. Marzyłem, by jaknajprędzej dostać się do Starokonstantynowa. Bardzo byłem zmęczony. Chciało mi się spać. Nie spałem chyba ani jednej dosłownie nocy między 8-ym a 13-ym czerwca. Żyłem w tym czasie nerwami.

Jeszcze raz objechałem samochodem miasto aż do dworca, stwierdziłem, że kończy się pakowanie i ładowanie do wagonów najprzeróżniejszych sprzętów i ewakuacja ludności cywilnej, po czym wraz z trzema podoficerami odjechałem w ślad za ustępującą 18-tą dyw. piech. szosą na Lityń — Latyczów.

Wymijałem kolumny piechoty, które posuwały się po lewej i prawej stronie. Wyminałem kolumnę ciężarowych samochodów z różnymi sprzętami, amunicją i prowiantem. Po drodze spotkałem generała Krajowskiego, któremu zameldowałem swój odjazd i pojechałem dalej. Blisko Litynia spotkałem cofające się oddziały brygady wojsk Atamana Petlury. Zdaje mi się, że była to brygada piechoty i jakieś oddziały, jak szkoła podchorążych i inne. Z Winnicy na Lityń — Latyczów — Starokonstantynów była szosa, co bardzo ułatwiało naszą podróż. Cieszyłem się z tego niezmiernie, bo pragnąłem jaknajprędzej znaleźć się w miejscu pobytu moich bezpośrednich władz. Jaknajprędzej chciałem oderwać się od linii frontu, znaleźć się przynajmniej w Latyczowie, żeby tam choć przez kilka godzin wypocząć.

Gdy przyjechaliśmy do Litynia okazało się, że moja radość z powodu dobrej szosy była przedwczesna. Teraz wjechaliśmy na szeroki gliniasty gościniec. Dalsza jazda okazała się nie możliwa. Samochód grzązł w glinie w sposób nieprawdopodobny. Z wielkim trudem, z wyciąganiem samochodu, popychaniem, ujechaliśmy ze 3 kilometry i dalej ani rusz! Nie wiadomo co było robić? Tymczasem zbliżyła się kolumna samochodowa 18 dyw. piech. Tu sytuacja była gorsza. Nie było mowy, by przeładowane samochody ciężarowe mogły tę drogę przebyć. Było ich około 20. Chcąc je przez te błota przeprowadzić, nale-

żało do każdego z nich zaprządź co najmniej po 4 woły lub po 3, 4 pary koni. Żadnych przygotowań w tym kierunku nie poczyniono.

Wkrótce nadjechał dowódca dywizji. Momentalnie zorientowawszy się w sytuacji, kazał багаż przeładować na wozy, a samochody podpalić. Co ja miałem w danej sytuacji począć? Żal mi było samochodu. Chciałem ten skarb, który tak niespodziewanie dostał się w moje ręce oddać nie uszkodzony właściwej władzy. Zresztą za zgodą tej władzy samochód został pozostawiony do mojej dyspozycji i znakomicie mi ułatwiał poruszanie się w terenie. Tymczasem teraz oto przychodzi koniec żałosny. Muszę samochód spalić, a sam maszerować piechotą 120 kilometrów po gliniastej, grząskiej drodze do pierwszej linii kolejowej. Posiadałem również przy sobie багаż, który musiałem dostarczyć do Sztabu. Obecnie trzeba się było zdecydować na spalenie go; by nie dostał się w ręce nieprzyjaciela.

Chwila zastanowienia co robić? Melduję się u generała i pytam, czy nie ma nic przeciwko temu, że ja spróbuję wrócić samochodem szosą do Winnicy na dworzec. Zrobię to na własne ryzyko. Może mi się uda złapać jeszcze w Winnicy pociąg pancerny i załadować nań samochód?! Jeżeli zaś spotkam po drodze oddziały bolszewickie, zawrócę i zdążę jeszcze uciec. Wtedy już nie będę miał wyrzutów sumienia i samochód spale, bo innego wyjścia nie będzie. Droga do Winnicy nie będzie trwać dłużej niż 20 minut. Jest godzina 14-ta. Pociąg pancerny nie może stamtąd wyruszyć wcześniej niż o godzinie 15 — 16-ej. Wszystko więc przemawia za tym, że zdążę. Gdyby mi się do udało, będę wcześniej w Starokonstantynowie i zamelduję o sytuacji na tym odcinku.

Generał zgodził się bez wahania. Przy pomocy żołnierzy wyciągnęliśmy samochód z błota, popchnięto nas i pomknęliśmy z powrotem do Winnicy. Po drodze spotykaliśmy jeszcze cofające się oddziały straży tylnej. Nikt nas nie zatrzymywał. Jadąc w kierunku Winnicy zastanawiałem się nad tym, czy wystarczy nam zapas benzyny, gdyby trzeba było wracać z powrotem, bo pociąg już odszedł. A jeśli samochód się zepsuje co będzie wtedy? Ale, co Bóg da to będzie! Pędzimy dalej. Jak strzała wpadliśmy do miasta. Przejechaliśmy przez most. W mieście pusto. Życie jakby zamarło. Wzdłuż toru kolejowego na zachód w kierunku Żmerynki wycofywały się jeszcze nie liczne oddziały polskie, które manipulowały coś koło mostu. Widocznie podkładały jakieś substancje wybuchowe. Pociąg pancerny „Śmigły” stał jeszcze na torze. Zajechaliśmy na rampę i natychmiast załadowaliśmy samochód. Komendant pociągu, u którego zameldowałem się, powiedział mi, że mam widocznie szczęście, gdyż pociąg zaraz rusza. Jak-gdyby na mnie tylko czekał. Nie wyruszyliśmy jednak natychmiast, bo przychodziły jeszcze jakieś uzupełnienia, jeszcze ktoś się dołączał, jeszcze czegoś brakowało.

Zbliża się wieczór. Szarzeje. Idą w powietrze jakieś objekty stacyjne, wodociągi, budynki. Słychać nieprzyjacielskie strzały i odpowiedź na nie z naszej strony. Wreszcie powoli, pociąg zaczyna się ruszać. Cofamy się na Boh. Strzały umilkły. Zapanowała cisza. Siedzę

w samochodzie ze swymi ludźmi i jedziemy. Tylko, że ciągnie nas nie samochód, a pociąg. Obliczamy z szoferem na jak długo wystarczą nam benzyny. Okazuje się, że nie mamy jej tak dużo. Na dobrą drogę wystarczą nam na 100 kilometrów, na złą — około 40. No, ale nie potrzebujemy się o to obecnie troszczyć. Mieliśmy szczęście. Udało się.

Noc ciemna bez gwiazd, bez księżyca. Zbliżamy się do mostu na rzece Boh. Z zarośli dochodzą ku nam odgłosy jakichś pojedynczych strzałów, nie możliwe jest by były to strzały naszych oddziałów. Najprawdopodobniej strzelają to komunistyczne oddziały dywersyjne, lub okoliczni chłopci. Trudno jest stwierdzić kto jest ich sprawcą. Żołnierze wypadają z pociągu i zaczyna się bezładna strzelanina w kierunku, skąd strzały kierowały się do nas. Później macanie terenu granatami ręcznymi. Nie wiadomo, czy ktoś od tych strzałów ucierpiał. Stwierdzono jednak, że był to nieprzyjaciel. Następnie zbadano czy nie został uszkodzony most i pociąg ruszył dalej. Po przejściu mostu zaczęły się te same czynności co i przed opuszczeniem Winnicy. Zatrzymaliśmy się w odległości 300 — 400 metrów. Saperzy założyli materiały wybuchowe żeby wysadzić most. Pociąg stał na straży, by w razie przeszkód czynionych saperom przyjść im z pomocą. Dopiero nad ranem rozległ się ogłuszający huk i most całym swym ciężarem zanurzył się w nurtach rzeki. Pociąg ruszył w dalszą drogę w kierunku na Klewań — Żmerynkę. Od pięknej Winnicy zostaliśmy odcięci definitywnie.

VI.

Jak widać z powyższego opisu, chociaż udało mi się szczęśliwie zabrać ze sobą samochód i bezpiecznie go ewakuować, jednak nie udało mi się wyspać. Może niejeden czytający te słowa będzie miał mi za złe, że w tak dramatycznych chwilach myślałem o śnie, lecz żołnierz, który był na froncie zrozumie czym jest pragnienie snu dla człowieka do cna wyczerpanego pracą bez przerwy, wymagającą ciągłego napięcia nerwów, ciągłej odpowiedzialności, pracą pełniącej bez wytchnienia, w warunkach niebezpiecznych, w sytuacji zmieniającej się z godziny na godzinę, nieomal z minuty na minutę.

Nie ma w dalszym ciągu mowy o śnie. Sytuacja ciągle naprężona. Zbliżając się do Klewania dowiedzieliśmy się od grupki żołnierzy, że w tamtej okolicy poprzedniego wieczoru miało miejsce silne starcie patrolu W. P. z bandą chłopską, skutkiem czego zginęło paru żołnierzy. Wiadomość ta pokrywała się całkowicie z naszym doświadczeniem z przed kilku godzin w okolicy rzeki Bohu. Posuwając się po wysadzeniu mostu jakieś 1000 metrów od rzeki pieszy patrol natknął się znowu na kilkunastu uzbrojonych chłopów. Należało więc nadal mieć się na baczności, gdyż pomimo, że wojsk sowieckich w tym rejonie nie było, jednak uzbrojone bandy chłopskie mogły być dla naszego pociągu wielce niebezpieczne. Z tą okolicznością należało się poważnie liczyć.

Wiedziałem że w Żmerynce jest znaczna ilość urzędów wojskowych, taboru kolejowego itd. i że wszystko to musi być ewakuowane. Na Żmerynkę od strony Wapniarki nieprzyjaciel naciera dość silnie, więc tego rodzaju bandy chłopskie na tyłach W.P. chociażby nie miały bezpośredniego związku z regularną armią sowiecką, jednak w znacznym stopniu absorbują uwagę czynników, które do tego rodzaju pracy są powołane.

Pod wieczór, tj. 15-go czerwca przybyliśmy do Żmerynki. W czasie dalszego przejazdu żadnych niespodzianek ani niemiłych atrakcji nie mieliśmy. Przeładowałem się na następny wojskowy pociąg, który miał w nocy lub nad ranem odejść do Płoskirowa. W Żmerynce udałem się do miasta, aby zorientować się co się tam dzieje. Zdaleka od południa słychać było pojedyncze strzały artylerii. Jak mnie informowano, była to nasza artyleria. W mieście panował ruch nie do opisania. Tory kolejowe były zatarasowane pociągami. Dworzec kompletnie zapchany cywilną ludnością i wojskiem. Wyraźnie wyczuwało się panikę. Społeczeństwo już się doskonale orientowało w sytuacji. Przechodzące od kilku dni od strony Winnicy pociągi ewakuacyjne wyraźnie wskazywały na odbywający się odwrót. Nie można było ukryć tej tajemnicy. Powiem szczerze, że dla mnie jest nie zrozumiałe utrzymywanie tajemnicy o odrocie do ostatniego momentu. Wytwarza to bowiem prawdziwy chaos. Stłoczenie społeczeństwa z wojskiem, pomieszanie sprzętu wojskowego ze sprzętem cywilnym, zarażenie wojska paniką przez społeczeństwo cywilne. W takich warunkach dowódcom jest bardzo trudno wykonać planową ewakuację, planowe regulowanie ruchu pociągów itd. Widziałem tego rodzaju kilka wypadków, nietylko w Winnicy i Żmerynce. Na stacji w Żmerynce widziałem niepokój w szeregach wojska. Niepokój ten był spowodowany jakąś dziką pogłoską, że od strony południowej od Wapniarki miały wdrzeć się poza linię naszych wojsk sowieckie pociągi pancerne. Wkrótce sprawa została wyjaśniona, pogłoskę zdementowano i nastąpiło uspokojenie. Na stacji zator trwał dalej. Należało użyć energii żandarmerii polowej, która również była w stanie ewakuacji. Wreszcie pociąg zwolna ruszył i zaczął się posuwać w kierunku Płoskirowa. Krok za krokiem co raz bardziej zaczęliśmy się oddalać od tego zgiełku, jaki panował w Żmerynce. Uczułem ulgę, że nareszcie jestem w drodze do jakiegoś celu, że poza mną pozostaje ta przygnębiająca atmosfera, ten przykry i denerwujący widok.

Z drugiej strony dokładnie zdawałem sobie sprawę z grozy sytuacji. Widzę oto na własne oczy, że sytuacja jaką widziałem i przeżywałem w Winnicy panuje na całej linii. Im dalej na zachód tym większe widziałem zgęszczenie ewakuowanej ludności, tym więcej sprzętu, tym większe skupienie wojska. Razem to wszystko wyglądało wręcz przerażająco. Wzdłuż toru kolejowego po jednej i drugiej stronie setki i tysiące wozów, całe stada pędzonego bydła i koni. Co kilka metrów pociąg zatrzymuje się, bo przecież to nie idzie jeden skład pociągu, lecz przed nami ciągnie się węzłem kilka takich składów, przed którymi piętrzą się różne przeszkody. Widzę i rozumiem

te wszystkie trudności. Chciałoby się pójść naprzód i jednym cięciem szabli przeciąć te wszystkie przeszkody.

Widząc to wszystko człowiek wpada w przygnębienie i rozpacz. Myśli co będzie? Dokąd będziemy uciekać? Gdzie się zatrzymamy? Coś ciężkiego przygniata serce, dusi za gardło, chce się płakać... Wreszcie w człowieku wzbiera złość, rozsada go chęć czynu. Jak to, my żołnierze Polski zbudzonej z wiekowego snu niewoli mielibyśmy ustępować, uciekać? Przed kim że to uciekamy? Wszak widziałem jaka jest sytuacja za nami po stronie sowieckiej. Były tam wynędzniałe, nie zorganizowane bandy, zdemoralizowane dzikie masy, które na samą myśl o zetknięciu się z orężem polskim uciekały na złamanie karku. Przed nimi się cofać to hańba! A jednak faktom trudno zaprzeczyć. Cofamy się w dalszym ciągu. Co godzina, co kwadrans jesteśmy o kilka kilometrów dalej na północ od Zmerynki. Widać już tylko wieże kościołów i kominy fabryk. Chwilę później Zmerynka zniknęła nam z oczu.

Siedzę w samochodzie na platformie i pilnie studiuje mapę. Podoficerowie również pochylają głowy nad rozłożoną mapą i pytają mnie o objaśnienia. Czegoż to można z tej mapy się dowiedzieć? Najwyżej tego jak idzie tor kolejowy, ale jaka jest sytuacja na froncie południowym, wschodnim czy północnym nic nie wiadomo.

W Zmerynce potwierdzono moje informacje, że Sztab i moje bezpośrednie władze są jeszcze w Starokonstantynowie. Będzie więc całym moim szczęściem dostać się do mego dowództwa. Pierwszy, najcięższy etap to dostać się do Płoskirowa. Stamtąd już będę miał swobodę ruchów, będę zależał od siebie. Wyładuję samochód i pomknę w kierunku Starokonstantynowa. Benzyny napewno dostanę albo kupię gdzieś w aptece tak jak to robiłem w Winnicy.

Tymczasem pociąg wlecze się jak żółw i co chwila przystaje... Co tam za nowe przeszkody? Komendant pociągu tłumaczy, że przed nami wszystkie stacje są zatarasowane. Nie ma mowy, żeby wszystkie pociągi mogły się zmieścić. Trzeba czekać na odejście jednych i dopiero przyjdzie kolej na następne. Na pierwszym przystanku stałimy kilka godzin.

W tym czasie mamy szereg nie miłych wrażeń. Między wojskiem a cywilną ludnością zaszła awantura. W pociągu wszyscy są podekscytowani. Przypominają się chłopskie awantury w okolicy Winnicy, na rzece Bohu i inne. Pewno i tu zorganizowana ludność, zaagitowana przez kierowników oddziałów dywersyjnych widząc, że odbywa się ewakuacja, pragnie temu przeszkodzić i napada na pociąg.

Biorę dwóch podoficerów, amunicji ile potrzeba i biegnę do przodu pociągu zobaczyć co się dzieje. Za przystankiem widzę długi wąż wagonów. Stamtąd dochodzą hałasy, i krzyki. Podbiegam i dowiaduję się, że to zajście między żandarmerią polową a ludnością z pobliskiej wioski. Awantura ta nie ma charakteru politycznego. Pociąg zbyt długo stał na jednym miejscu. Żołnierzom żandarmerii zabrakło żywności: chleba i mięsa. Udali się więc do pobliskiej wsi i zarekwirowali wszystko, co było im potrzebne.

Za zarekwirowane podczas wojny przedmioty albo się płaci po-
dług cen ustalonych przez odnośne władze albo na zabraną rzecz zo-
stawia kwit wymieniając jej cenę. W danym wypadku żadna z tych
okoliczności nie miała miejsca. Żandarmi za zarekwirowane świnie
płacili cenę, jaką sami uważali za stosowne. Widocznie cena ta bardzo
odbiegała od cen ustalonych, gdyż chłopci uważając się za pokrzyw-
dzonych przyszli do pociągu, domagać się należności. Wraz z chłop-
ami przybiegła masa kobiet. Zanosilo się na bijatykę. Chłopstwo nie
tak łatwo decydowało się na walkę, gdyż bądź co bądź pociągi były
przeładowane różnego rodzaju wojskiem. Nie mniej jednak za chwilę
doszłoby do rozlewu krwi. Gdy się dowiedziałem o co chodzi wtrąci-
łem swoje trzy grosze, poleciłem podoficerowi żandarmerii zapłacić
chłopom żadaną sumę i zajście zostało zlikwidowane. Wkrótce po tym
incydencie ruszyliśmy naprzód. Przez cały czas od Żmerynki do Pło-
skirowa posuwaliśmy się zółwim krokiem. Nareszcie około godziny
19-ej zdaleka ukazały się kontury wież cerkwi i kościoła w Płoskiro-
wie. Jeszcze gdzieś o kilka kilometrów przed wjazdem w strefę to-
rów kolejowych dworca Płoskirowskiego zatrzymaliśmy się na kilka
minut w szczerym polu. I tu nas spotkała niespodzianka. Mianowicie
ni stąd ni z owąd zjawila się chmurka, jedna z pośród wielu przewi-
jających się na niebie. Lunął niespodziewany ulewny deszcz. Nikt
nie był na to przygotowany. Pociąg składał się prawie wyłącznie
z wagonów otwartych. Na lorach leżały wszelkiego rodzaju pakunki,
żywność, ubranie, różnego rodzaju sprzęt wojskowy. Nikt nie ocze-
kiwał takiej nagłej i gwałtownej kąpieli. Każdy z pasażerów wygła-
dał tak jakby w pełnym rynsztunku wraz ze swoim bagażem prze-
płynął przez rzekę. Po chwili deszcze ustał i pociąg zwolna wczółgał
się na dworzec w Płoskirowie.

Cały Płoskirów, wszystkie hotele i mieszkania prywatne były
przepełnione. Pełno oficerów polskich i ukraińskich, pełno urzędów,
dowództw, posterunków i ekspozytur. Wszystko skoncentrowało się
tu czekając na dalszy odjazd na zachód. Nie ma mowy aby można się
gdziekolwiek ulokować, doprowadzić do porządku, odpocząć. Wróci-
łem na dworzec by wyładować i zabrać samochód. Gdy przyszedłem,
był już już wyładowany i szofer wraz z moją „załogą” oczekiwali koło
dworca mojego przybycia. Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy
szukać jakiegoś pomieszczenia. Dzięki przemyślności podoficerów
wkrótce miałem do dyspozycji i wyboru aż trzy kwatery, jedna lepsza
od drugiej. Zakwaterowaliśmy się razem z podoficerami. W ciężkich
chwilach w otoczeniu życzliwych i oddanych ludzi lepiej się człowiek
czuje. Trzeba było zorientować się w sytuacji dokładnie, poszedłem
więc na miasto jeszcze raz. W niektórych urzędach zastałem pracu-
jących „całą parą” wojskowych, spotkałem wśród nich znajomych
i przyjaciół. Rozmowa z nimi, zorientowała mnie całkowicie nie tylko
w sytuacji na tym, lecz i na wszystkich innych frontach. Stwierdzi-
łem, że cofamy się na całej linii bez żadnego dnia przerwy i odpo-
czynku. Wszystkie oddziały, sztaby, dowództwa frontu są w ruchu.
W niektórych wypadkach cofamy się bez przymusu, li tylko ze wzglę-

dów strategicznych. Wychodzę z jednym z oficerów sztabu, by gdzieś na gruncie neutralnym, w jakiejś kawiarni czy restauracji porozmawiać swobodnie, i trochę się posilić. Było około godziny 9-ej wieczorem. Wszystkie restauracje i kawiarnie pozamykane, okna mieszkań ciemne. Tylko na ulicach pełno ludzi i pełno furmanek z uciekinierami. Na chodnikach i jezdniach bocznych ulic istne obozowiska. Tylnym wejściem weszliśmy do jakiejś znanej memu koledze kawiarni, gdzie dostaliśmy coś do zjedzenia. Okazało się, że mój towarzysz był w kontakcie z moją władzą przełożoną w Starym Konstantynowie. Ze względu na ciężką i nad wyraz skomplikowaną sytuację nie wiadomo jak długo Sztab będzie tam przebywał. Z rozmowy z kolegą przyszedłem do przekonania, że tam na miejscu widocznie nie orientują się w tym, jak sprawy naprawdę stoją, jeżeli Sztab jeszcze w Starokonstantynowie pozostaje. Dobrze mi był znany ruch wojsk nieprzyjacielskich, które większymi grupami wklinowywały się raz po raz na nasze tyły. Obawiałem się by taki wypadek nie wydarzył się w Starokonstantynowie. Na podstawie posiadanych danych bolszewicy właśnie wzięli kierunek na to miasto i lada moment mogli do niego wpaść.

Zrezygnowałem więc z upragnionego wypoczynku. Odechciało mi się miękkiego łóżka i czystej pościeli. Uważałem, że jesteśmy tam w ciężkiej sytuacji, że chwila jest tak poważna, iż natychmiast należy jechać do Starokonstantynowa. Udałem się natychmiast na kwaterę do podoficerów. Stwierdziłem tu że moi chłopcy nawiązali ściślejszy kontakt z rodziną gospodarzy. Tego rodzaju taktyka ma zawsze dobre strony. Właściciele mieszkania, a zwłaszcza płec słaba zawsze zaopiekuje się „biednymi żołnierzami”. Szczególnie jeżeli dom jest polski, katolicki można być pewnym, że niczego w nim dla żołnierza-tuльца nie zabranie. że znajdzie w nim gorące, serdeczne przyjęcie jak w rodzinnym domu. W domu żydowskim również było dobrze. Żyd o wszystko się wystarał jeżeli w domu nie miał, zdobył, nabył, przyniósł. Lecz za to wszystko trzeba było dobrze zapłacić, bo rzecz oczywista, musiał on dobrze na wszystkim zarobić. Nie miał do żołnierza polskiego jakichś specjalnie serdecznych uczuć, lecz traktował go jak magnata, mającego pieniądze. W danym wypadku mieliśmy kwaterę w domu żydowskim. Moi podoficerowie rozgościli się tam na dobre. Kolacja była przygotowana, do stołu nakryto. Czekało mojego przybycia. Przyszedłszy, dyskretnie poinformowałem moich towarzyszy o sytuacji. By nie wprowadzić zamieszania i nie dać poznać gospodarzom, że nasza sytuacja jest ciężka, zasiadłem wraz ze wszystkimi do stołu i chociaż nie byłem już głodny, lecz smakowicie przyrządzone i ładnie podane potrawy skusiły mnie do spróbowania tego i innego. Pod koniec kolacji weszła do pokoju gospodyni, uprzejmie pytając, gdzie kto będzie spał, gdyż odpowiednio do tego zarządzi przygotowanie posłań. Odpowiedziałem jej, że po chwilowym odpoczynku i tak wspaniałej kolacji czujemy się znakomicie, to też rezygnujemy z noclegu i jedziemy dalej do wyznaczonego nam celu. Nie pomogły przekonywania i perswazje gospodyni, gospodarza

i wszystkich domowników. Przekonywali oni nas, że w nocy jest jechać niebezpiecznie, że po drodze włóczą się bandy dywersyjne, że może nas spotkać jakiś „wypadek”. Z opowiadań i argumentów gospodarzy można się było zorientować, że chociaż byli to ludzie nie mający nic wspólnego z wojskiem ani z wojną, jednak zupełnie nieźle orientowali się w sytuacji, wiadomości ich były ciekawe i wnioski pod niejednym względem trafne. Nieraz jest dobrze zwłaszcza w strefach przyfrontowych uważnie słuchać co mówią gospodarze kwater, właściciele hoteli i zajazdów.

Po kolacji pożegnaliśmy gospodarzy, którzy w tym wypadku proponowanej im zapłaty nie przyjęli. Ruszyliśmy samochodem na miasto, by uzupełnić gdzieś nasz zapas benzyny. Z łatwością ją otrzymałem w jakimś ruchomym parku samochodowym. Wziąłem jej tyle, by mi starczyło na dłużej w wypadku gdybym musiał jechać ze Starokonstantynowa dalej. Zorientowawszy się w kierunku drogi i sprawdziwszy ją ruszyliśmy późną nocą do Starokonstantynowa. Parę zakrętów w mieście i już jesteśmy na peryferiach. Trochę jeszcze widać światła w oknach. Gdzieniedzie padają światła latarni ulicznych, wreszcie jesteśmy w szczerym polu. Dookoła ciemno. Ani jednej gwiazdki na niebie. Czerwcową ciepłą noc. Dookoła martwa cisza, słychać tylko szum wiatru i warkot motoru. Na drodze ani żywej duszy, ani jednej furmanki, ani jednego samochodu. Nasze reflektory rzucają światła na 800 do 1000 metrów. Na szosie wszystko można odróżnić gołym okiem, jak przy świetle słońca. Chociaż noc jest ciepła, ale wiatr trochę dokucza. Wciążam na ramiona płaszcz, nastawiam kołnierz. Wpatruję się w lewo i w prawo, by ujrzyć choć nikły promyczek światła. Zdaję sobie z tego dobrze sprawę, że jesteśmy w strefie przyfrontowej. Powinny tu być jakieś wojska, jakieś obozy, gdzie powinny stacjonować jakieś dowództwa. Tymczasem nic, ani żywej duszy, ani jednego światełka. A może już nasze wojska odstąpiły i teren zajął nieprzyjaciel. Jakaś dziwna sytuacja! Ale trudno! Nikt nas nie zatrzymuje, drogę mamy wolną, jedziemy dalej. Chodzi o to, by jak najprędzej dostać się do miejsca przeznaczenia. A gdyby już moja władza ze Starokonstantynowa wyjechała? W takim razie trzeba będzie piorunem wracać do Płoskirowa. Szczęście że mamy dosyć benzyny, a o tym czy opona „nawali” czy nie nawet wtedy nie myślałem. Jechało się. Tymczasem opona „nawaliła”. Samochód trochę w prawo, trochę w lewo, zarzucił, zawył, zadymił, ale szofer jakoś doprowadził go do równowagi, zatrzymał, odprowadził na prawo, wysiadł i zaklął. Wszyscyśmy również wysiedli. „Gdyby teraz na nas napadli, byłoby ciepło” — odzywa się któryś. „Nic by nam nie zrobili bo jest ciemno” — pociesza inny. Zresztą mamy karabiny, masę amunicji i granaty. Po oddaniu ognia i zarzuceniu nieprzyjaciela granatami, wycofaliśmy się pod osłoną nocy, a do rana zdążylibyśmy dotrzeć do Płoskirowa”.

Szofer zabrał się energicznie do reperacji dętki i po chwili maszyna ruszyła. Po jakichś dziesięciu minutach wjeżdżaliśmy do Starokonstantynowa. Było to zupełnie miłe, czyste, dosyć jasno oświe-

tlone miasto. Nawet w nocy była dobra widoczność. Mimo, iż było około godziny 2-iej w nocy spotkałem spacerującego z niewiastą znajomego oficera. On mi wskazał gdzie mieści się dowództwo dokąd natychmiast się udałem. Podoficerów wysłałem do Komendy Placu o wyznaczenie kwatery. Dowództwo Etapu W. P. mieściło się w jakimś pałacyku, który stał w pięknym ogrodzie obok szosy. Wobec tego, że nikogo z wyższych władz o tej porze w Dowództwie nie było, zameldowałem tylko swój przyjazd i udałem się na kwaterę. Nocleg miałem wspaniały. Kwaterę dostałem u jakiegoś lekarza Żyda, który przyjął mnie bardzo życzliwie. Mimo iż była późna noc gospodarze zaalarmowali cały dom, aby mi przygotować pożywienie. Nie pomogły odmowy i tłumaczenia, że nie jestem głodny, że jestem po kolacji, musiałem zasiąść do drugiej kolacji złożonej z kilku wyszukanych potraw-smakołyków, napiłem się herbaty, po tym dopiero położyłem się spać, gdy już dobrze dniało.

VII.

Gdy około godziny 10-iej zameldowałem się u kpt. Boernera, był on przyjazdem moim mile zdziwiony. Nigdy się nie spodziewał, że przyjadę do Starokonstantynowa. Sytuacja w tym czasie była taka, że łączność wielokrotnie zawodziła. Brak było wszelkiego rodzaju informacji, które albo wcale nie przychodziły albo przychodziły ze znacznym opóźnieniem. Wreszcie wiele wiadomości otrzymywanych w sztabach było nie ścisłych albo przesadnych rozdętych do dziesiątej potęgi lub były takie, które nie odzwierciedlały należycie istotnego stanu rzeczy.

W tych warunkach mój przyjazd był dla sztabu prawdziwą rewelacją. Jechałem przecież prosto z Winnicy. Chociaż podróż moja odbywała się drogą okólną i trwała dość długo, nie mniej jednak posiadane przeze mnie wiadomości były bezpośrednie, pochodziły z pierwszego źródła. Żaden kurier gdyby był wysłany z Winnicy, nie przybyłby wcześniej i przywiózłby tylko meldunek piśmienny. Ja zaś przybyłem by złożyć raport osobiście. Jak się okazało, Sztab nie posiadał żadnych danych o wycofywaniu się 18 dyw. piechoty na Lityń—Latyczów. Nie wiedziano w jakiej sytuacji wojsko się wycofuje. Opowiedziałem więc o tym, jak dywizja linii Lityń — Latyczów natrafiła na bagnistą drogę i zmuszona była spalić samochoddy, ponieważ nie było możliwym przeprowadzić je przez tego rodzaju drogę. Opowiedziałem o akcji dywersyjnej na tyłach naszych wojsk, o spaleniu mostu na rzece Boh, wreszcie o tym, co się działo w Żmerynce. Wszystko to dla Sztabu były wiadomości zupełnie nowe, oświetlające sytuację na tamtejszym froncie. Biorąc za podstawę mój raport po naradzie w sztabie Dowództwa postanowiono natychmiast przeprowadzić ewakuację Sztabu ze Starokonstantynowa i wycofać się do Płoskirowa, gdyż wszystkie inne drogi były już niebezpieczne,—stamtąd wycofywać się nadal na zachód. Zaraz zaczęto pakowanie do

skrzyń aktów Dowództwa. Wyjazd ustalono na następny dzień. Dokładnej daty ewakuacji ze Starokonstantynowa ustalić dziś dokładnie nie potrafię. Zdaje mi się, że było to około 20 czerwca. Dowództwa Etapów W. P. na Ukrainie nie było dowództwem operacyjnym, nie dowodziło oddziałami, więc ścisłość dat w danym wypadku nie jest, może, rzeczą najważniejszą. Opisy niniejsze mają za zadanie oświetlić różne wydarzenia i sytuację na tych terenach, na których pracowały Dowództwa, Sztaby i Służby jako elementy równorzędne ze Sztabami operacyjnymi, lecz o zupełnie innym charakterze, o charakterze informacyjno-administracyjnym.

Dzień ten, mimo przygotowującej się ewakuacji był również poświęcony intensywnej pracy informacyjnej. Byłem osobiście świadkiem szeregu przeprowadzonych rozmów telefonicznych i za pośrednictwem Hughes'a, by zdobyć potwierdzenie moich informacji. Wyjazd był zdecydowany nazajutrz i przyspieszony o kilka godzin. Pociąg już stał na stacji. Panował nieustanny ruch furmanek i samochodów od stacji do miasta i z powrotem. W całym mieście było widać napięcie nerwowe. Nie było jednak takiego przygnębienia i takiej rozpacz, jakie panowały podczas ewakuacji Winnicy. Mimo, iż Winnica jest położona o z górą 100 kilometrów na południo-wschód od Starokonstantynowa i większego jej oddalenia od etnograficznych granic Rzeczypospolitej, było to miasto o charakterze wyraźnie polskim. W dniu ewakuacji sztabu i miasta Starokonstantynowa, ja należałem do tych szczęśliwych ludzi, których nazywają czasami „gośćmi”. Otóż ja byłem „gościem”. Zdałem raport, który był obszerny, a jednocześnie treściwy, „bezstronny i obiektywny” jak mi powiedział kpt. Boerner. Było za co otrzymać dzień wolny od zajęć. Mój Komendant (tak nazywaliśmy kpt. Boenera) nie był skory do pochwał, ale wtedy mnie pochwalił, z czego byłem niezmiernie dumny. Zameldowałem również memu przełożonemu, że mam samochód. Tego mi tylko było potrzeba! „Pokażcie go, jak wygląda, a jakie ma biegi, a jakie opony!” Samochód znalazł uznanie w oczach kpt. Boenera do tego stopnia, że mi go zaraz zabrał razem z benzyną o przygotowanie zapasu której tak się troszczyłem. Tyle go już i widziałem. A taką miałem ochotę pojeździć nim po Starokonstantynowie, wrócić do Płoskirowa, gdyż ewakuacja miała odbywać się w tym kierunku, a może nawet i do Kamieńca dojechać. Tymczasem nic z tego, musiałem się z nim pożegnać. Myślałem, że szczerść nigdy się nie opłaca, a bardzo często obraca się ona przeciwko mówiącemu, choć z drugiej strony szczerść żołnierska to to samo co rycerskość.

Tak czy inaczej musiałem przenieść się do pociągu ewakuacyjnego i gnieździć się w ciasnym przedziale wraz z kilku kolegami, siedząc na paczce z dokumentami albo na skrzyni z amunicją. Ale trudno, życie ma swoje dobre i złe strony, piękne chwile i smutne. A życie żołnierskie z takich właśnie momentów się składa. Te wszystkie nieprzespane noce, te wszystkie męczące marsze niejednokrotnie o głódzie, ta troska o zwycięstwo, te kłopoty, smutki i rozpacz, to drapanie się aż do krwi z powodu rojów wszy oblegających nieszczę-

sną ziemską powłokę żołnierza — wszystko to było dosyć smutne. Lecz gdy się o tym wszystkim przypomina, gdy się komuś mówi o tym najcięższym, najgorszym, najsmutniejszym, najniebezpieczniejszym, mówi się wtedy zawsze: „Ale było morowo”!

A oto drugi przykład, który może świadczyć o tym, że szczerść nie zawsze się opłaci. Jak już mówiłem, miałem ten dzień wolny od zajęć. Zajęć coprawda nie miałem, ale dzień wcale nie był wolny. Musiałem się zobaczyć to z jednym to z drugim, kolegą, musiałem im powiedzieć co przeżywałem, co widziałem, czego się dowiedziałem. To mi zajęło sporo czasu.

Gdy już wszystkim wszystko opowiedziałem, znalazłem kilka godzin dla siebie. Chciałem ten czas wypełnić jakąś pożyteczną pracą. W owym czasie dość często zdarzały się wypadki chorób zakaźnych. Jakieś czerwonki, biegunki, tyfusy i temu podobne epidemie. Na własne oczy widziałem dziesiątki żołnierzy i osób cywilnych uciekinierów, jak zapadały na te cierpienia. Strach było na takiego chorego patrzeć, tym bardziej, że nic mu nie było można pomóc. Każdy kto mógł i jak umiał, starał się zapobiegać tym chorobom. Pamiętam, były na ten temat różne wykłady i pogadanki lekarzy i wysłanników Czerwonego i Białego Krzyża. Wszyscy prelegenci w swoich pogadankach zalecali różne leki i różne środki zapobiegawcze. Najważniejszym środkiem, jaki zapamiętałem było dobre i regularne odżywianie, na i jeżeli to było możliwe, jakaś „lekką dezynfekcja organizmu”. Jeżeli chodzi o to odżywianie i „ciepłą strawę”, była to przesada. Nieraz ta strawa przez kilka dni pozostawała w sferze marzeń, a gdy dochodziła, nikt nie przywiązywał do tego wagi czy była ciepła czy zimna, byleby była. Jeżeli zaś chodzi o tę drugą część zaleceń czcigodnych prelegentów przeciwko epidemiom, ja wraz z kilkoma kolegami bardzo wzięliśmy ją sobie do serca i staraliśmy się ten środek dezynfekcyjny w miarę możliwości stosować. Oczywiście, nikt chyba nie wątpi, że chodziło nam wyłącznie o stosowanie się do przepisów lekarskich. Wiedząc, że nasze odstępowanie nie ograniczy się tylko do najbliższych miejscowości, że będziemy odstępować dalej i niewiadomo jak długo, trzeba było zastanowić się nad tym, aby przygotować większy zapas „lekarstwa” przeciwko epidemiom. Zwierzyłem się ze swego kłopotu swemu gospodarzowi kwatery, lekarzowi, który mi przyznał 100%-wą rację i zaofiarował w zdobyciu cennego leku swoją pomoc. Zabraliśmy się do roboty. Płyn dezynfekcyjny według autentycznej recepty litewskiej na czystym miodzie z korzeniami został przygotowany w ilości kilku litrów. Chodziło o to, by mieć większy zapas, by można się było „w razie nieszczęścia” podzielić z kolegami. Przygotowaliśmy i tę drugą część leku antyzakaźnego. Może niezupełnie podług przepisu lekarskiego, ale że to samo lekarz wraz ze swoją żoną i służbą domową przygotowywał, więc na pewno „lekarstwo” musiało być skuteczne. Były to różne kanapki, schab pieczony, kurczęta i na dodatek wspańiałe ciasto. Wszystkie te zapasy przeciwepidemiczne spakowałem do tornistra i nazajutrz gotów byłem do odjazdu. Był, jak i poprzed-

nio, dzień piękny, słoneczny bez jednego obłoczka. Niebo niebieskie, spokojne, jak bezkresne morze w dzień pogodny. Ostatnie przygotowania do odjazdu zakończone. Ruch na ulicach zaczyna słabnąć. Reszta oddziałów wycofuje się ku dworcowi. Robi się na mieście cisza, Nikt nas nie żegna, nie płacze, nie lamentuje, ale i nikt się nie cieszy, bo nikt nie wie co jutro przyniesie. Może jeszcze dziś wejdą do miasta oddziały bolszewickie lub jakie bandy dywersyjne, może rozgorzeje walka o miasto lub bitwa w mieście? Nikt nie wie co będzie za dzień, za godzinę, dlatego każdy siedzi spokojnie, a raczej pełen niepokoju w domu i stara się nieuzewnętrzniać swoich uczuć. Gdyby Polacy nie mieli już do miasta wrócić, a wejdą doń bolszewicy, jakże niebezpiecznie jest okazywać swój żal za odchodzącym wojskiem polskim. Nie można ich też żegnać wrogo, gdyż ostatnie oddziały będą się cofać dopiero za dzień lub dwa i mogliby się zemścić. A gdyby mieli wrócić i pozostać tu na zawsze, tym bardziej nie można okazywać ustępującym swych wrogich uczuć.

Miasto jakby zamarło. Tylko gdzieś widać było pracującego w polu chłopinę, albo pastuszkę pasącego swoje krowy lub stado gęsi. Pociąg ruszył wolno posuwając się w stronę Płoskirowa. Jedziemy. Pociąg jest towarowo-osobowy, złożony z kilkudziesięciu wagonów, ledwo sapie. Oficerowie zebrali się na odprawę do jednego towarowego wagonu. Przedtem jeszcze wsiadając do wagonu, zamieniając ostatnie między sobą słowa, jeden z przełożonych zapytał mnie: „Czy macie jakie zapasy na drogę? Bo ja jakoś nie miałem czasu coś sobie przygotować”!

Odrzekłem, że „owszem, mam, i w każdej chwili będę mógł służyć”. „No to dobrze, będę to miał na uwadze”!

Odprawa jak zwykle krótka. Podano do wiadomości dokąd jedziemy, co kto z nas będzie robił, podział funkcji podczas podróży i w miejscu postoju dokąd przyjedziemy, wreszcie odczytanie rozkazu i koniec odprawy.

Wobec tego, że wczoraj miałem dzień wolny, dziś na odprawie wyznaczono mi funkcję służbowego w pociągu czyli oficera inspekcyjnego. Rozkaz! Otrzymałem krótkie wytyczne i na pierwszym przystanku przeszedłem do następnego wagonu i tak dalej, aż do ostatniego, aby przeprowadzić inspekcję, sprawdzić jak pełnią służbę podoficerowie i żołnierze służbowi w wagonach. Zeszedł mi czas na pełnieniu tej służby aż do przedostatniej stacji od Płoskirowa. Wreszcie wróciłem do swego wagonu, gdzie pod opieką kolegów zostały moje rzeczy. Chciałem się trochę posilić, gdyż wiedziałem, że w Płoskirowie czeka mnie ciężka praca, tym bardziej ciężka, że pełnię funkcję oficera służbowego. Zbliżam się do swego plecaka i oto jeszcze raz się przekonałem, że nie zawsze mówienie prawdy wychodzi na dobre. Okazało się, że po moim odejściu na służbę, po skończonej odprawie, czcigodny mój Szef poczuł, że jest głodny i przypomniał sobie, że ja mam przygotowane zapasy. Zajrzał więc przy pomocy kolegów do mego „arsenału”. Znaleźli tam nie tylko zapasy żywności, ale i ciepłą jeszcze wódkę na miodzie. Zobaczyw-

szy takie cenne dary boże, krzyknął z radości. Tego właśnie tylko było potrzeba! Wszyscy koledzy, ilu ich było, zbiegli się na ten okrzyk i zaczęli podziwiać moją zaradność i zapobiegliwość, moje ścisłe stosowanie się do przepisów lekarskich. I tak do mego przybycia do wagonu wydziwiali, wychwalali... aż do ostatniej kropelki. Bańka została wysuszona. Kanapki, schab, ciasto i wszystko co miałem przygotowane na kilka dni podróży zostało zjedzone do ostatniej okruszyny. Gdy wszedłem do wagonu od razu poczułem jakiś znany mi zapach. Gdy skierowałem się do miejsca, w którym zostawiłem swoje „skarby”, koledzy powitali mnie rykiem śmiechu. Stałem jak wryty zobaczywszy to spustoszenie. Popatrzałem na swego ordynansa, który pełnił funkcję podczaszego. Po chwili razem ze wszystkimi pękałem ze śmiechu. Nie mogłem przecież płakać, choć przez chwilę płakać mi się chciało, bo byłem setnie głodny, a nie zostało już dla mnie dosłownie nic, ani skórki od chleba, ani kropli „skutecznego leku”. I bądź tu człowiecze szczery!

VIII.

Po przybyciu do Płoskirowa żadnego przegrupowania w naszej ekipie oficerskiej, w sprzeczcie, ani w wagonach nie było. Otrzymałem wiadomość, że ten sam skład pociągu pójdzie dalej do Kamiieńca Podolskiego. Nie wiadomo tylko kiedy nastąpi odjazd. Pociąg przesunięto gdzieś poza stację dość daleko. Nie wolno nikomu od pociągu się oddalać. Tylko starszyzna poszła na inspekcję różnych urzędów, dowództw i posterunków. Odchodząc pozostawili swoje adresy oficerowi inspekcyjnemu, ten z kolei poinformował o tym podoficera. Koło godziny 22-jej odebrano ode mnie służbę oficera inspekcyjnego. Byłem wolny. W tym okresie służba u nas trwała tylko 12 godzin. Widocznie uważana była za dość ciężką, dlatego władze wyznaczały ją nie na 24 godziny lecz na 12. Byłem bardzo zmęczony i głodny. Nie wiedziałem co mam robić. Wiedziałem, że podoficerowie mają jakieś zapasy żywności, ale nie wypadało mi ich o nie prosić. Wiedziałem również, że na torach kolejowych był szereg wagonów z różnymi produktami, ale było już zbyt późno, by można tam było cokolwiek dostać. Nawet tak zwane punkty dokarmiania na stacji nie funkcjonowały. Wszystko było pozamykane. Była godzina 23-cia.

Nie pozostawało nic innego, jak udać się do miasta. Znając stosunki na kolei, widząc przeładowanie torów, biorąc pod uwagę fakt udania się starszyny do miasta, która pozostawiła swoje adresy i ja postanowiłem pójść szukać szczęścia. Powiedziałem oficerowi służbowemu: „skoro zjedliście moje zapasy i mnie nic nie zostawiliście, ja muszę iść znaleźć coś do zjedzenia! Idę do miasta”! Poszedłem, zostawiając mu jakiś wymyślony na pogotowiu adres, bo jakże mogłem iść bez pozostawienia adresu. Miasta tak dobrze nie znałem, nie mogłem więc podać adresu prawdziwego. Poszedłem. Udałem się

do dawnej naszej kwatery, w której kilka dni temu zamierzałem wraz z podoficerami przenocować. Przypomniałem sobie pyszną, pozostawioną tam niedojedzoną kolację. Nie wiedziałem na jakiej ulicy ten dom się znajduje, ale byłem pewien, że dom znajdę, gdyż dobrze mi on utkwiał w pamięci. Myślę sobie: zjem kolację, prześpię się i na rano wrócę. Bywają ludzie pechowi i do takich widocznie ja należałem. Gdy się znalazłem w śródmieściu, szedłem, posiłkując się w poszukiwaniach wszystkimi swoimi zmysłami: wzrokiem, węchem, spostrzegawczością, aż wreszcie znalazłem się na tropie. Poszedłem dalej trochę w prawo za jakimś zakrętem, wszedłem do podwórka i nie zastanawiając się, zapukałem do znajomych mi drzwi. Otworzyłem, wchodzę. Służąca bardzo się ucieszyła, bo sobie mnie przypomniała. Dała znać panu i pani, którzy jednym susem znaleźli się przy mnie. Ale podczas chwilowej nieobecności przy mnie służącej zorientowałem się, że nie jestem tu pierwszym gościem. Zauważyłem czapki rogatywki, ozdobione znacznie większą ilością gwiazdek niż moja. Gdy im się bliżej przyjrzałem, nawet jedną z nich wyraźnie poznałem. Zrobiło mi się markotno, ale co było robić? Uciekać nie wypadało. Przecież trzy dni temu byłem tu na kwaterze. Ba, przyjechałem nawet „własnym samochodem” z liczną świtą. Jakże dziś mógłbym stąd wiać? Zobaczymy co będzie. Znam takt mego kochanego Szefa i wiem, że mi teraz nie powie słowa, nawet zrobi zadowoloną minę, że mnie po służbie zobaczył, ale myślę sobie, że potem będę miał za swoje, że opuściłem pociąg. Był zakaz opuszczania pociągu prócz tych oficerów, którzy się udali do miasta ze starszyzną.

Ale, myślę sobie, że jakoś tam będzie. W razie czego powiem szczerze, że jestem głodny. Prawdę najlepiej mój szef lubi: „Poszedłem trochę na prawo, trochę na lewo, bom sobie przypomniał swoją dawną kwaterę, miłych gospodarzy, no i jeść mi się chciało...” Gdy mnie wprowadzono do jadalni, zastałem tam trzech oficerów, zameldowałem najstarszemu, że korzystając z postoju pociągu oraz zdaniu służby oficera służbowego, przybyłem odwiedzić moich dawnych gospodarzy, u których byłem podczas pierwszego pobytu mego w Płoskirowie. Naturalnie Szef przerwał mi meldunek i oświadczył, że „meldunek później, a teraz siadajcie i spożywajcie wspólnie z nami dary boże, które zjeść my sami w żaden sposób nie potrafimy. Dobrzeście zrobili, że przyszliście tu, ale nie dobrze, że opuściliście pociąg” — zakończył mój zacny Szef. Zabił mi tym powiedzeniem klina w serce, że mnie i głód odleciał. I tak humoru nie miałem, a po tym „miłym” powiedzeniu straciłem zupełnie pewność siebie i posmutniałem. Ale zrozumiał to kapitan i zwrócił się do mnie z ciepłym słówkiem, namawiając, bym czuł się tak dobrze, jak to nieraz potrafię. Naturalnie, że i kąt do przespania dla mnie też się znalazł. Rano przyszedł podoficer z meldunkiem i jakimiś rozkazami do podpisania. Wszystko odbyło się w porządku, bo oficer służbowy miał adres Szefa, a ja wraz z nim znajdowałem się na jednej kwa-

terze, więc chociaż podałem memu następcy inny adres, jednak i tak dowiedział się on gdzie jestem.

Na drugi dzień od rana, tak jak i kilku innych oficerów, pełniłem służbę oficera inspekcyjnego na mieście. Po trzech dniach nieobecności mej w Płoskirowie zastałem tam trzykrotnie więcej ludzi i furmanek, trzykrotnie, a może i więcej pociągów, stokrotnie więcej nieporządku. Płoskirów jest dość dużym miastem, mającym duży dworzec kolejowy, szerokie tereny pod torami kolejowymi. Dworzec ten był jakby specjalnie przygotowany na przyjęcie masy pociągów, wagonów, lokomotyw. Ale kłopotu było dużo. Właściwie droga do odwrotu była jedna — na Szepietówkę. Był również tor kolejowy do Kamieńca Podolskiego, ale stąd dalej aż do Borszczowa trzeba było jechać końmi albo maszerować na piechotę ponad 30 kilometrów. Dopiero z Borszczowa pociągiem dalej. Wśród wielu składów pociągów zauważyłem pociąg salonowy o ogromnych rozmiarów lokomotywie. Był to pociąg Wodza Naczelnego wojsk ukraińskich, Petlury. Przez cały dzień bezustannie łąziłem, biegałem z jednego miejsca na drugie, likwidując awantury, które to tu, to tam wybuchały. Dworzec Płoskirowa i tory kolejowe przedstawiały istny ul. Wciąż coś nowego, wciąż jakieś alarmujące wiadomości, jakaś wybuchająca panika. Dobrze się stało, że na dworcu w Płoskirowie jakby specjalnie skoncentrowano większą grupę oficerów. Przyczynili się oni do utrzymania ładu i porządku, do normalizowania na całej linii kolejowej ruchu pociągów. Wprawdzie mój kochany Sze ani słówkiem nie wspomniał o mojej wczorajszej eskapadzie, ale już nie śmiałem iść na wczorajszą kwaterę. Postanowiłem wieczór spędzić z kilku młodymi kolegami. Ze 'wszystkich „znaków na ziemi i niebie” można było wnioskować, że już niedługo będziemy na tym tułaczym dworcu popasać. Dlaczego mówię tułaczym, bo co kilkanaście minut przierzucano nas z jednego miejsca na drugie, by znowu wrócić na to samo. Bałem się więc odchodzić daleko, bo mogło się zdarzyć, że nagle tor mógł się zwolnić i pociąg mógł odejść. Mieśliśmy jechać na Kamieniec Podolski. Zacząłem chodzić pomiędzy pociągami i szukać tzw. czołówki, w której, jakeśmy się dowiedzieli, można było wszystkiego dostać, co tylko jest dla żołnierza niezbędne. Wreszcie pociąg znaleźliśmy. Na czele tego pociągu stał hrabia Grocholski. Pociąg długi jak wąż składał się chyba z kilkudziesięciu wagonów. Znaleźliśmy dyrektora czy komendanta, nie wiem, jak go trzeba było tytułować. Zaczynamy rozmowę. Pytamy się w jakie artykuły i produkty jest ten pociąg zaopatrzony. Otrzymaliśmy odpowiedź, że jest to pociąg, który posiada wszystko, co człowiekowi jest potrzebne. Przyznam się szczerze, że nigdy jeszcze takim pociągiem nie widziałem. Może się nigdy nie interesowałem takim uniwersalnym wozem? A tu okazuje się, że począwszy od czekolady, cukierków, kakao, bułek, chleba, kiełbasy, koszul, kołnierzyków, czapek etc. etc. — wszystko jest! Aż mi się oczy zaiskrzyły! Nie potrzebuję iść do miasta. Tu mogę kupić co mi się żywnie podoba. Gdy do tego pociągu-cuda podszedłem, jedynym moim pragnieniem

było zdobyć coś do jedzenia. Ale gdy usłyszałem o tym, że czołówka posiada bieliznę, poczułem gwałtowną potrzebę nabycia koszuli i drugiej nie mniej ważnej części garderoby. W tym ciągłym ruchu, w ostrym pogotowiu, w stałym napięciu nerwowym, w ciągłej trosce o to, co będzie za dzień, za godzinę, w stałym niepokoju, człowiek zupełnie zapomniał jaką ma bieliznę. Bielizna była brudna, podarta i przepocona tak, że po zdjęciu ubrania wyglądało się jak żebrak lub skazaniec, któremu udało się zbiec z więzienia i który od kilku tygodni tuła się po lasach i wertepach, kryjąc się przed wzrokiem ludzkim. Pytam więc o bieliznę. Pragnę ją kupić i jak najprędzej się przebrać. Czuję, że dłużej już w tym co mam na sobie nie wytrzymam. Mam za co kupić. Mam pieniądze. Wieczór jest ciepły. Można się skrupulatnie umyć i znakomicie doprowadzić do porządku. Cieszę się niepomierne, lecz, niestety, radość moja jest przedwczesna. Okazuje się, że na kupno tego artykułu dziś jest za późno. Bieliznę można kupować tylko do godziny 20-ej. „Obecnie mogę panom sprzedać, bo mam blisko, pod ręką, czekoladę. Dobra czekolada, warszawska! Jest jeszcze jakaś inna. A bielizny dziś sprzedać nie mogę. Trzeba otwierać wagon!” Niech diabli porwą czekoladę i ciebie z nią razem, drabie jeden! Żeby chociaż człowiek nie przypominał, że potrzebuje na gwałt tej bielizny i nie zrobił sobie na nią apetytu! A tu się czuje gwałtowną potrzebę czystości, czuje się ją tak wyraźnie, że wobec otoczenia trudno tę potrzebę ukryć. Ale pan dyrektor nie może sprzedać, bo jest za późno. Ale trudno! Człowiek klnie i w braku bielizny bierze to co jest pod ręką: cukier, czekoladę, sardynki... aby więcej, aby zrobić zapas, bo nie wiemy, kiedy jeszcze na naszej drodze stanie takie źródło wspaniałości. Wróciliśmy do swoich legowisk. Zaczęliśmy się pożywiać zapasami, nabytymi w takiej obfitości. Dzieliliśmy się z podoficerami i żołnierzami, którzy nam się odwzajemniali. O ile sobie przypominam wzamian za moje sardynki i czekoladę dostałem dużą menażkę rosółu z kury. Był znakomity! Piłem ten rosół jak herbatę, jak piwo, wino, jadłem jako rosół. Był to prawdziwy nektar boski! Było nam wesoło. Siedzieliśmy na dużej platformie wagonu. Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy, wszyscy razem. Noc była przepiękna. Zdawało się księżyc chce coś nam powiedzieć. Patrzył na nas taki wyraźny, taki jasny, taki czysty. Na niebie ani jednego obłoczka. Było tak czyste jak łezka dziecięca. Na stacji panowała względna cisza. Nasłuchując dobrze, można było od czasu do czasu gdzieś z daleka słyszeć jęk artylerii i przerywaną muzykę ciężkich karabinów maszynowych. Było to wszystko jeszcze w wielkim od nas oddaleniu. Ale w taką cudną noc, w taką ciszę słyszy się daleko.

Zastanowiłem się przez chwilę, czy nieprzyjaciel, żołnierz bolszewicki, stojący na czujce nie patrzy tak jak ja na niebo i nie czuje czaru tego boskiego otoczenia, czaru tej cudnej nocy czerwcowej? Bo przecież ten nędzny, oberwany dzikus, któremu w ręce włożono karabin i kazano strzelać, jest takim samym człowiekiem jak i ja, ma serce, rozum, dumę, wszystkie ludzkie uczucia. Ma oczy, który-

mi na pewno nieraz płacze, tęskniąc za domem rodzinnym, za żoną, za dziećmi, płacze z nędzy i chętnie rzuciłby swój karabin, poszedł do domu, usiadł na ławce przed chatą lub wyciągnął się na trawie i z całą rozkoszą w tę cudną noc księżycową wpatrywał się w piękne niebo i liczył na nim miliardy gwiazd.

Jak kto potrafił, tak się usadowił na platformie wagonu. Żołnierze dopomogli mi przygotować posłanie. Nie wymagałem od nich tej pomocy, ale żołnierz-ordynans sam chętnie brał na siebie obowiązek usługiwania oficerowi, inaczej byłoby mu przykro, że odrzuca się jego pomoc.

Przyszedł czas, aby się trochę zdrzemnąć. Nad bezpieczeństwem naszym czuwał oficer inspekcyjny, a ponadto czuwał księżyc, czuwały miliony gwiazd, czuwała ta czarowna noc czerwcową, a nad tym wszystkim Stwórca przedwieczny. Od czasu do czasu, może przez sen, a może w przerwie snu, słyszałem sapanie lokomotywy, turkot kół pociągów, które odchodziły jeden po drugim. Były to pociągi towarowe naładowane różnym sprzętem, bronią, amunicją, oddziałami żołnierzy. Nad ranem zobaczyłem jeden pociąg, który szedł w kierunku przeciwnym, niż odchodziły te wszystkie pociągi, w kierunku przeciwnym, niż my mieliśmy odjechać. Szedł do Żmerynki. Był naładowany wojskiem. Widocznie był tam potrzebny. Potrzebna była pomoc. Po co? — myślałem. Przecież nikt nas nie goni, nikt nie naciera. Dokąd i po co uciekamy? — takie zadawaliśmy sobie pytania. Ani mnie, ani moim kolegom nie mogło się w głowie pomieścić, dlaczego się cofamy? O naszym przeciwniku mieliśmy takie lekceważące zdanie, a musieliśmy się przed nim cofać. Rano na stacji wzmógł się ruch. Pociągów przychodziło coraz więcej i coraz więcej ich odpływało na zachód. Już władze nasze znajdują się przy pociągu. Ale widzę, że nie wszyscy jeszcze opuścimy Płoskirów. Za nami stoi cały szereg pociągów, które nie zdążą stąd odejść jeszcze za kilkanaście godzin.

Okolo godziny 10-ej mamy parowóz i kierunek jazdy — Kamieniec Podolski. Opuszczamy Płoskirów. Zatrzymuję o nim miłe wspomnienia chwil spędzonych na gościnnej kwaterze i kilkadziesiąt godzin służby. Jakieś fotografowanie się u tamtejszego fotografa, jakieś przygodne znajomości, zapisywanie nazwisk i adresów z najsolenniejszym przyrzeczeniem pisania listów, utrzymywania kontaktu z osobą, z którą już nigdy się człowiek nie ma zobaczyć, ani jednego listu nie napisze i w chwili kiedy się pożegnał, zerwał ostateczny kontakt. Ale wspomnienia zostały na zawsze, na wieki, i nikt ich nie zdoła z pamięci wykreślić. Pociąg ruszył. Jedziemy. I dziś nie zdążyłem kupić bielizny. Myjąc się rano koło wagonu widziałem swoją nędzę, te ohydne, podarte strzępy. Ale co było robić? Zresztą wtedy człowiek nie bardzo się tymi rzeczami przejmował, nie bardzo się brzydził tego ubóstwa i nędzy. Mówiąc szczerze było mi wszystko jedno, brudna czy czysta, podarta czy cała. Raczej główną rolę odgrywał w tym wypadku wstyd, że pod mundurem oficerskim ma się taką ohydę. Tym bardziej było przykro i wstyd, gdy było nie

do uniknięcia, by ktoś, na kim w tej chwili bardzo zależało, taki stan zobaczył. A tego rodzaju wypadki na froncie nieraz mają miejsce.

Jechaliśmy do Kamieńca Podolskiego. Jechaliśmy w odkrytych wagonach-lorach, gdyż krytych wagonów brakowało. Było nam nie wiem dlaczego wesoło. Bywają takie momenty, w których mimo krytycznej sytuacji jest wesoło. To już tak jest. Jeżeli ktoś zaśpiewa coś wesołego, powie jakiś kawał, od razu humor się poprawia, od razu pierzchają czarne myśli. Tak i wtedy. Widziałem szalony ruch pociągów, pojazdów, przemarsz wojsk, ewakuację urzędów, sztabów, ucieczkę dziesiątków tysięcy obywateli, którzy pędzili masę bydła, koni, wieźli góry inwentarza. Wszystko to wytwarzało atmosferę jak podczas morowej zarazy, jak w oczekiwaniu jakiegoś wielkiego kataklizmu. Kiedy się to wszystko widzi, kiedy się zastanowi nad tą całą sytuacją, nad tragedią jednostek i całego społeczeństwa — wpada człowiek w straszliwe przygnębienie, ogarnia go niezmierny żal, obłądny strach. Bo i było się czego obawiać i martwić. W ślad za nami szła dzika tłuszcza, szła horda pogańska, dla której nie istniało nic świętego, żadna kultura, żadna etyka.

Wiedzieliśmy, że tam, kórędy przechodzili Bolszewicy, zostawiali za sobą ńędzę i rozpacz. Widząc nasz odwrót wyobrażałem sobie co tu się stanie po opuszczeniu przez nas tych terenów. Chciało się jaknajprędzej już stąd odjechać, żeby na to wszystko nie patrzeć. Chciałem jak najprędzej znaleźć się w tym wymarzonej i, z historii tak dobrze znanym, Kamieńcu Podolskim. A tu jak na złość pociąg sunie jak żółw. Zaraz na pierwszym przystanku dowiedzieliśmy się, że w niedalekiej odległości ma znajdować się jakiś większy bolszewicki konny oddział dywersyjny. Zarządzono ostre pogotowie. Dano wytyczne, jak mamy się zachować w razie napadu. Jechaliśmy dalej. Wyczuwa się ogólne podniecenie. Pociąg wiezie nie tylko żołnierzy i tych, co w ten czy inny sposób są związani z wojskiem, lecz jest tu towarzystwo mieszane. Humor się psuje. Podniecenie nerwowe wzrasta. Czekamy napadu. Nie wiadomo tylko z której strony. Studiuję mapę, z której nic się nie można dowiedzieć. To nie linia bojowa, to nie sztab, który otrzymuje meldunki sytuacyjne, to oczekiwanie na napad. A kto, skąd, kiedy i czy w ogóle napadnie, nikt o tym nic nie wie. Czy będzie kawaleria, piechota, czy po prostu banda uzbrojonych chłopów? Czy wreszcie wybuchnie jakaś mina pod pociągiem? Nic nie wiadomo. Gdybyśmy byli wiedzieli z jakiej strony, jaki oddział dywersyjny nam grozi, przybralibyśmy odpowiednią postawę i wiedzielibyśmy jak się bronić. A tu nic tylko pogłoska i ostre pogotowie. Trzeba przechodzić z wagonu do wagonu i tłumaczyć, pouczać, nakazywać spokój. Głupia to sytuacja mieć do czynienia z takim „wojskiem”, z taką mieszaniną społeczeństwa. Ani to wojsko, ani cywilni obywatele. Atmosfera staje się nie do zniesienia. Wyczuwano się, że zbliżamy się do niebezpieczeństwa. Czas mija powoli. Pociąg przejechał już któryś z kolei przystanek. Na każdym sprawdzamy i wszędzie otrzymujemy

informacje o grasującej bandzie dywersyjnej. Naczelnicy stacji urzędują jak na wulkanie. Widać wyraźnie ich zdenerwowanie. Służba kolejowa jest ciężka. W czasie wojny nie tylko jest ciężka i odpowiedzialna, ale jest niebezpieczna. Zawiadowca bodaj najskromniejszej stacji spełnia wielką rolę, jest głównym aktorem sztuki, która rozgrywa się na teatrze wojny. Opuszczenie stanowiska przez tego aktora może spowodować nieobliczalne następstwa. Toteż ci aktorzy bardzo często z narażeniem własnego życia pozostają na swym trudnym, niebezpiecznym posterunku, aż do końca. Tak było i wtedy. Zawiadowca stacji regulował ruch, utrzymywał łączność z sąsiednimi przystankami i ze światem i czekał na jakieś wybawienie: uciec wraz z nami albo pójść naprzód. Musi pełnić swoją odpowiedzialną służbę. Musi ratować tysiące istnień, musi dopomóc do ratowania z rąk wroga majątku państwowego, musi dopomóc żołnierzowi zmęczonemu, wyczerpanemu trudem i znojem wojennym, nieraz rannemu albo ciężko choremu, by prędzej przedostał się w bezpieczne miejsce, albo, przebywając pewną przestrzeń kolejną, mógł zaoszczędzić swe siły do dalszej walki z wrogiem. Jedziemy. Im dalej odjeżdżamy tym bardziej atmosfera się oczyszcza, staje spokojniejsza. Gdzieś tam, w którymś wagonie, powstają jakieś krzyki, jakieś hałasy. Okazało się, że jakiemuś podchorążemu wypadła z wagonu czapka i on usiłuje wyskoczyć po nią, żeby nie jechać z gołą głową. Z tego powodu powstał krzyk, następnie ogólny śmiech. Wreszcie pod wieczór szczęśliwie dojechaliliśmy do Kamieńca Podolskiego. Uradowałem się bardzo na widok wymarzonego miasta. Podróż minęła jak ciężki koszmar. Kilkanaście godzin przeszło w oczekiwaniu krwawej masakry. Jeszcze jedno niezmiernie mnie gnębiło. Mianowicie to, że zarówno ja, jak i inni baliśmy się wszyscy tej bandy. I na to nie było rady. Nie było jakiegoś na ten strach antidotum. Nie było widocznie żadnego oddziały, który by się mógł udać na poszukiwania i likwidację tej bandy. Człowiek był zdany na łaskę i niełaskę jakiegoś anonimowego oddziały bandyckiego. Zastanawiałem się jak to może być, że nasze pozycje znajdują się jeszcze o jakieś kilkaset kilometrów, a tu czyha niebezpieczeństwo. Nie wiem co się stało z moimi towarzyszami podróży, z którymi przyjechałem do Kamieńca Podolskiego. Ja wraz ze swymi podkomendnymi, których miałem do mojej dyspozycji jeszcze od chwili pobytu w Winnicy, udałem się do miejscowych odpowiednich władz wojskowych, gdzie zameldowałem swój przyjazd i zapowiedziałem, że mam tu czekać na przybycie mego przełożonego kpt. Boernera.

IX.

Po ulokowaniu żołnierzy i zajęciu przez siebie kwatery, poszedłem natychmiast zwiedzić miasto. Była już noc, nie więc na razie ciekawego nie mogłem zobaczyć prócz starych domów, karczem i hoteli. Toteż zjadłszy kolację i upewniwszy się, że spokojnie tej

nocy można będzie zasnąć, zostawiwszy swój adres zarówno w Komendzie miasta, jak i w innych dowództwach, które pracowały pełną parą — poszedłem spać. Zbudzono mnie nazajutrz wczesnym rankiem. Podoficer stojąc nade mną zameldował mi o nieszczęściu, jakie wczoraj wydarzyło się na tej linii, po której szedł nasz pociąg ewakuacyjny. Oto w kilka godzin po opuszczeniu przez nas Płoskirowa, wyruszył za nami następny pociąg ewakuacyjny. Był to pociąg-czołówka hrabiego Grocholskiego, naładowany aż po brzegi różnego rodzaju bogactwem. Był to ten sam pociąg gdzie chciałem nabyć bieliznę. Kierownictwo pociągu posiadało nieliczną załogę w postaci kilku żołnierzy, którzy stanowili jego obsługę, lecz bardzo słabą odporność i wartość bojową. Ponadto był tam personel cywilny, który kierował pracą kulturalno-oświatową, prowadził sekcję żywnościową, rachunki itd. Na ten właśnie pociąg napadł oddział dywersyjny, o którym chodziły słuchy, że znajduje się w niedalekiej odległości od linii kolejowej. Widocznie albo dywersanci nie zdążyli przybyć na czas, by zaatakować nasz pociąg, który szedł z Płoskirowa pierwszy, albo nie byli pewni czy podołają nas rozbić, obawiając się, że posiadamy znaczniejsze siły. Chociaż co prawda wartość nasza bojowa była niewielka, jednak opór oddziałowi dywersyjnemu stawilibyśmy. Natomiast pociąg kierowany przez hr. Grocholskiego składał się prawie wyłącznie z osób cywilnych. Stał on się pastwą bandy, która go napadła i doszczętnie rozgabiła. Wszyscy wraz z hrabią Grocholskim na czele, zostali zamordowani. Wiadomość ta upewniła mnie w przypuszczeniu, że nasza sytuacja jest bardzo poważna. Natychmiast udałem się do Komendy Placu, a następnie do miejscowego Oddziału Informacyjnego. Tam otrzymałem potwierdzającą wiadomość o wczorajszej katastrofie. Równocześnie poinformowano mnie, że w okolicy Kamieńca również ukazały się oddziały dywersyjne, lecz nie przedstawiają one większego znaczenia. Oddział informacyjny rozwinął szeroką akcję celem wyłapania uczestników oddziałów dywersyjnych, prosząc mnie o współdziałanie w pracy przynajmniej na terenie miasta, do czasu otrzymania od kpt. Boernerera konkretnego przydziału względnie funkcji. Chętnie się zgodziłem. Wezwałem na odprawę swoich podkomendnych i z nimi omówiłem plan pracy na najbliższy dzień. Należy podkreślić, że podoficerowie oddziałów informacyjnych składali się z elementu inteligentnego i wyrobionego. Każdy z tych podoficerów mógł otrzymać do wypełnienia samodzielne zadanie, które w większości wypadków wykonał bez zarzutu. I dziś znam wielu moich byłych podoficerów czy funkcjonariuszy Oddziału Informacyjnego jako ludzi, którzy zajmują wysokie stanowiska państwowe lub społeczne. Wielu spośród nich pracuje w wolnych zawodach, są adwokatami, inżynierami, lekarzami. Toteż i wtedy, kiedy omawiałem z nimi plan pracy na terenie Kamieńca Podolskiego, otrzymywałem od nich kontr-projekty, plany i propozycje, tak, jakbym odbywał z nimi wspólną naradę. Przy tym należy dodać, że wielu z nich pochodziło z tamtych stron, znali oni miejscowe stosunki i obyczaje, znali psy-

chologię elementu, z którego mogły się rekrutować elementy wywrotowe. Rozpoczęliśmy pracę. Nie mieliśmy ani chwili czasu do stracenia. Należało pracować bez wytchnienia nad usunięciem grożącego niebezpieczeństwa.

Kamieniec Podolski — były to dla mnie magiczne dwa słowa. Nie wiem, czy kto jeszcze tak mocno jak ja pokochał to piękne nawskroś polskie miasto. Kamieniec, to miasto chwały i klęski polskiej. Dawna warownia polska, która piersią swą niejednokrotnie zastąpiła Rzeczypospolitą przed licznymi najazdami Tatarów, Turków, Moskali. Każda piędź ziemi, każdy budynek, każdy kamień tego miasta i jego okolic jest obficie zroszony krwią żołnierza polskiego. Każdemu, kto czytał „Trylogię” Sienkiewicza, przypomina się Kamieniec jako reduta niezdobyta, broniona przez bohaterskiego pułkownika Wołodyjowskiego. On to przez wiele miesięcy wraz z garstką rycerzy bronił skutecznie Kamieńca przed najazdem Turków, aż do chwili przybycia zwycięskiego króla Jana. Kamieniec to brama wypadowa na południowo-wschodnie bezkresne tereny żyznej ziemi ukraińskiej, to droga na złotodajne stepy. Kamieniec Podolski to jak salon bogatego polskiego zamku, który na południu opiera się o morze Czarne, a dookoła jest obramowany w przepyszne łąny zbóż, w czarowne łąki i bogate stepy. W Kamieńcu Podolskim inaczej słońce świeci, jakoś wyraźniej, czystziej, a już na pewno goręcej niż gdzieindziej na Ukrainie. Zda się, jak gdyby księżyc i gwiazdy również były inne, miały inne ruchy i inne drogi, któreśdy płyną. Tak mi się to wszystko wydaje w moim entuzjazmie dla tego miasta i jego okolic.

Z jednej, południowej strony znajduje się tu równina, której oko ludzkie ogarnąć nie jest w stanie, z drugiej, północno-wschodniej strony, mamy park o bogatym, różnorodnym zadrzewieniu, poprzecinany w różne strony idącymi alejami i ścieżkami. Są tam misternie wyrzeźbione w skale przejścia i schodki, które przechodzą przez całe zbocze góry i zwisają nad rzeką jak galerie, jak arkady. W noc księżycową cienie rozłożystych drzew kąpią się w bystrej i czystej jak szkło wodzie Dniestrowej. Park położony jest za miastem po drugiej stronie rzeki. Idzie się do niego przez most. Ma się wrażenie, że most ten wisi w powietrzu, jakby się unosił nad bystrym, szumnym, gwałtownym Dniestrem. A jakież są tam domy, jakie mury, jakim kamieniem chodniki i jezdnie wyłożone! Wszystko zdaje się być zupełnie inne, zupełnie różne od tego co się w innych miastach widziało! Każdy szczegół wydaje się tu być historyczny. Niektóre ulice są wyłożone szerokimi kamiennymi płytami. Płyty te są olbrzymich rozmiarów. Są one jakby powyginane. Uległy wyszlifowaniu i starciu przez kilka wieków chodzenia i jeżdżenia po nich. A robią wrażenie jakby się ugięły pod wpływem działania promieni słonecznych. Albo tak zwany turecki most, zbudowany na Dniestrze w zachodniej stronie miasta. Struktura jego tak ciekawa, że gdyby to było możliwe należałoby zabrać i przenieść do Warszawy do Muzeum Narodowego.

X.

Wreszcie skończył się mój pobyt, moje urzędowanie. Natrafiono i ujęto w komplecie oddział dywersyjny wraz ze wszystkimi dowodami, bronią i planami akcji na tyłach naszej armii. Na czele tego oddziału stał były carski generał, będący na tajnej służbie u bolszewików. W tym czasie front polski coraz bardziej zwiżał się ku zachodowi. Wszystko się przesunęło ku sercu Rzeczypospolitej. Stopniowo, ale obecnie już bardziej planowo i systematycznie jest przeprowadzana ewakuacja. Należało więc ewakuować i tych aresztowanych wraz z całym depozytem. Należeli oni do przestępców pierwszej kategorii. Mieli być sądzeni przez sąd polowy. Należało ich przewieźć do centrali, by później można ich było wymienić na naszych więźniów dreczonych w lochach czrezwyczajek sowieckich. Patrioci polscy często byli wymieniani na tego rodzaju członków band dywersyjnych albo schwytanych komisarzy bolszewickich. Dostałem polecenie zabrania aresztowanych i odtransportowania ich do Warszawy. Eskortę i podwozy nakazane w powyższym rozkazie otrzymałem. Ponadto miałem jeszcze swój aparat złożony z 8 podoficerów, którzy łącznie ze mną mieli otrzymać przydział do jednego z Oddziałów Naczelnego Dowództwa. Rozpoczął się transport.

Odjeżdżałem nie mając w sercu ani radości, ani smutku. Jakoś było mi dziwnie na duszy. Nie rozmawiałem z nikim. Przed oczami wyrastała mi wizja bohaterskiej śmierci Wołdyjowskiego. Mimowoli oglądałem się za siebie, jakbym widział obozujących wkoło miasta Turków. Zjawiała się przede mną panorama zbliżającej się ku Kamieńcowi kolumny rycerzy z królem Janem na czele.

Jakże inna była rzeczywistość! Odwrót wojsk i w konsekwencji wydanie miasta na łup bolszewików. Trzeba było myśleć realnie. Miałem, jak rozkaz opiewał, do spełnienia obowiązek „pierwszorzędnej” wagi. Wiedziałem o tym, że jestem w posiadaniu ważnego „depozytu”, którego muszę strzec jak oka w głowie. Wyjechaliśmy w szczerze pole. Po obu stronach gościńca leżały niezmierzone łąny zbóż. Należało tak konwojentów poprzydzielać do konwojujących, aby nie mogło być mowy o ucieczce żadnego z nich. Wydałem w tym kierunku jak najdalej idące zarządzenia. Sam musiałem być jednocześnie wszędzie, gdyż bardzo się obawiałem stracić choćby jednego jeńca. Miałem wiadomość, że będą oni usiłowali uciekać, jak również należało się spodziewać innych przykrych niespodzianek: napadu band i planowania odbicia aresztowanych. Wszystko to musiałem przewidzieć, na wszystko być przygotowanym. Niebezpieczeństwo było bardzo poważne. Z Kamieńca do Borszczowa szmat drogi. Trzeba będzie jechać w pośpiesznym tempie noc i cały dzień. W dodatku nigdzie nie widać żadnego wojska. Jakby wszyscy uciekli, albo jakby tu nigdy żołnierza polskiego nie było. Po drodze czekał mnie przejazd przez jedno miasteczko. W Kamieńcu specjalnie mnie przestrzegano, bym się miał na baczności jadąc przez nie.

Jechaliśmy. Wszyscy czuwali. Broń mieliśmy w pogotowiu. Każdy z aresztowanych wiedział, że najłżejsza nawet próba ucieczki natychmiast zostanie udaremniona. Toteż tak jakby ta sama czujność co nam, żołnierzom, udzieliła się konwojującym. Posuwaliśmy się naprzód w nastroju pełnym napięcia. Nikt nie mówił ani słowa. Tylko widać było unoszącą się ku górze parę końską i słychać było parskanie koni, lub od czasu do czasu skrzyp koła. Na wozach zaś jedni myśleli jakby tu wybrać odpowiedni moment do ucieczki, drudzy czuwali nad tym, aby temu przeszkodzić. Szarzało. Powoli wstawał piękny, złoty dzień. Było przecudnie. Poranek był niewysłowienie uroczy. Tyle tego piękna dokoła. A jednocześnie na sercu ciężko i niewypowiedzianie smutno. Ludzie jadą na jednym wozie, na jednym nieomal siedzeniu, a jednocześnie są tak od siebie daleko, taka ich dzieli niezgłębiona przepaść.

Słońce zaczyna coraz bardziej prażyć. Tak by się chciało zatrzymać gdzieś w jakiejś oazie spokoju i ochłody, przy jakimś strumyczku, żeby choć trochę odpocząć. Ale o tym na razie nie ma mowy. Nie ma na to czasu. Nie ma zresztą takiego miejsca, gdzieby się można było spokojnie rozlokować.

Zbliża się południe. Furmani zaczynają szemrać. Konie zmęczone. Żołnierze na zmianę to jadą, to idą, biegną. Mimo rynsztunku mają możliwość swobodnego poruszania się. Aresztowanym nie można schodzić z wozów. Przez cały czas muszą siedzieć. Nareszcie widać kontury i jakichś wież miasteczka, przez które mamy przejeżdżać. Wiem doskonale, że zarówno furmani, jak i aresztowani będą się domagać tam odpoczynku. Wiem, że w żaden sposób nie będę mógł na to się zgodzić, bo mógłbym zostać złapany w potrzask i nie wyjść wraz z całą eskortą na żywo z tej całej historii. Moi jeńcy niewątpliwie znaleźliby sprzymierzeńców. Postanowiłem więc zarządzić odpoczynek jeszcze przed miasteczkiem przy pierwszej napotkanej po drodze sadybie. Przede wszystkim chodzi o nakarmienie i napojenie koni. W odległości jakich 2000 metrów widzę jakąś budowlę. Oto co mi jest potrzebne. Podaję moją decyzję do wiadomości jadącym i tłumaczę ją tym, że dlatego nie chcę zarządzać odpoczynku w miasteczku, żeby nie budzić sensacji i marnować drogiego czasu, którego mamy mało, gdyż musimy zdążyć na pociąg do Borszczowa, który odchodzi o którejs tam godzinie (już nie pamiętam, którą po-
dałem).

Wzmagam czujność. Aresztowani w miarę możliwości zaspakajają swoje różne potrzeby. Kontynuujemy podróż dalej. Zbliżamy się do miasteczka. (Było to dnia 6 lipca). Wjeżdżamy na rynek. Ani wojska, ani żandarmerii tam nie ma. Tylko miejska policja zjawiła się od razu na nasze spotkanie, jakby zawiadomiona o naszym przybyciu. Ale wcale nam nie była potrzebna. Mógłbym wykorzystać tę czcigodną miejską straż bezpieczeństwa, ale nie chcę. Postanowiłem nie zatrzymywać się tu i postanowienie spełnić. Co prawda chciałoby się zjeść coś ciepłego, napić się herbaty albo kawy. Na pierwszy rzut oka orientuję się, że mógłbym tu dostać wszystkiego co mi

było potrzebne. Ale nie mogę ryzykować. Nie zatrzymuję się i jedziemy dalej. Zbliża się ku nam grupa wyrostków. Może nastąpić awantura? Łączę rząd furmanek, żandarmi z bagnetami na broń, podoficerowie z bronią krótką w rękę, ja pośrodku transportu, wszyscy na piechotę, z największą ostrożnością, z napięciem nerwów, przemierzamy miasteczko. Policja w naszym oczach uspakaja tłum, który rośnie, wydając nieprzyjemne okrzyki i gestykulując w naszym kierunku. Miałem dobre przeczucie. Dobrze zrobiłem, że się „na wodę” w miasteczku nie zatrzymał. Uniknęliśmy niebezpieczeństwa. Woźnice doskonale orientują się w sytuacji. Aresztowani również. Ale co mają robić? Eskorta była zdecydowana na wszystko, łącznie do użycia ręcznych granatów. Widocznie w tej miejscowości nie było zorganizowanej jacejki komunistycznej. A może to przeciwnie, ludność była nastawiona wrogo względem aresztowanych, a nie względem nas? Może mieszkańcy mieli nam za złe, że ich więzimy z taką paradą, a nie okutych w kajdany? Nie wiem co myśleli. I dziś jednak twierdzę, że dobrze się stało, żeśmy się nie zatrzymali. Od tego miasteczka do Borszczowa było zaledwie 24 kilometry. Nie mieliśmy już więcej niespodzianek. Zaprawiliśmy się w marszu podróżnym. Zbliżamy się do miasta powiatowego, w którym są jeszcze władze powiatowe, starosta, policja państwowa, może wojsko. Tam odpoczniemy. Nie tylko nie będziemy się mieli czego obawiać, lecz będziemy mieć zapewnioną opiekę. Przed zachodem słońca przejeżdżamy przez rzekę i wjeżdżamy od razu do śródmieścia. Poczuję na sercu wielką ulgę. Tu jestem jak u siebie w domu. Tu widzę jest jaki taki porządek. Aresztowanych zatrzymuję na jakimś placu z dala od ludzi, a sam udaję się do władz. Pokazuję rozkaz. Jak na skinienie różdżki czarodziejskiej wszystko otrzymuję. Specjalne pomieszczenie dla aresztowanych, wyżywienie dla nich, przydział odpowiedniej ilości wartowników dla wzmocnienia mojej eskorty, pomieszczenie i wyżywienie dla podoficerów, żandarmów i dla siebie. W ogóle zostaliśmy przyjęci tak jak nakazywał rozkaz. W ciągu pół godziny otrzymaliśmy wszelką pomoc i opiekę. Jeżeli chodzi o jeńców, zarówno o pomieszczenie dla nich jak i o pożywienie musiałem się kilkakrotnie dopominać. Władze miejskie nie mogły wyjść z podziwu, że tacy „przestępcy” dostają darmo jedzenie, opiekę, przejazd.

„Tych łotrów jednej godziny przy życiu bym nie trzymał!” — woła jakaś patriotka. „Tu, ich wiozą, pilnują, karmią! Czy to kary boskiej nie ma na tych heretyków”!?

Nocy w Borszczowie nie widziałem. Spałem jak w trumnie. Po sprawdzeniu i upewnieniu się co do solidności pomieszczenia dla jeńców poszedłem spać. Pociągu w tym dniu nie było. Miał odejść nazajutrz o godzinie 14-ej. Miałem więc dużo czasu na odpoczynek. Zwiedzać miasta nie miałem ochoty, byłem zbyt zmęczony. Spieczony na słońcu i wyczerpany nerwowo. Zresztą cały wieczór miałem zajęty. Nazajutrz, 7-go lipca, wszystko było w porządku. Do apelu stanęli wszyscy zgodnie z raportem. Uzupełniłem wyżywienie

do dalszej drogi. Na dworcu załatwiłem formalności. Wagon zarezerwowano dla mnie telefonicznie. Czekam na pociąg. Wreszcie przyszedł. Ładujemy się do specjalnego o jednym wejściu wagonu. Bezpieczeństwo musi być zapewnione w 100 procentach. Na stacji nie wiadomo skąd, znalazło się dużo starszyny wojskowej. Generał Romer wraz z całym swoim sztabem, kpt. Boerner z szeregiem oficerów, trochę żołnierzy. Widząc swoich przełożonych domyśliłem się, że zaraz będę miał inspekcję. Ładniebym wyglądał, gdybym nie miał wszystkiego w porządku, gdyby chociaż jednemu z eskortowanych udało się uciec. Tak jak przypuszczałem, zaraz po zameldowaniu się moim generałowi i złożeniu raportu, natychmiast kpt. Boerner skierował swe kroki w stronę mego wagonu celem dokonania przeglądu jego „zawartości”. Dzięki Bogu, wszystko było w porządku. Ruszyliśmy w drogę. Jakoś wyjątkowo nie trzeba było czekać. Pociąg odszedł punktualnie.

W wagonie, jak to w wagonie, bezpieczniej jest jechać niż na wozie. Jeńcy są zgrupowani, dookoła jestem zabezpieczony. Cała eskorta siedzi przy lekko uchylonych drzwiach. W dodatku dwóch żandarmów stoi na warcie. W takich warunkach można trochę porozmawiać. Przez samą ciekawość trzeba było pogadać z aresztowanymi. Dotychczas, mimo, iż przebywałem w ich towarzystwie od dwóch dni, nie miałem na to czasu. Okazali się bardzo rozmowni. Pragnęli się dowiedzieć dokąd jada, po co i co z nimi będzie. Przywódca oddziału, nie krępując się, powiadał mi, że był w kontakcie ze sztabem bolszewickim prowadzącym operacje na froncie południowym z którym współpracował. Celem jego było prowadzenie na szeroką skalę akcji dywersyjnej na tyłach naszych wojsk, niszczenie mostów, środków łączności, obiektów wojskowych, wreszcie napady na drobne oddziały wojsk polskich i prowadzenie antypolskiej propagandy w szerokich masach społeczeństwa miejscowego. Pracę tę wykonywał od dłuższego czasu. Teraz dowiedziałem się jakich mam ważnych przestępców, jaki wiozę cenny depozyt. Nazajutrz przybyliśmy do Stanisławowa. Tu mieliśmy krótki wypoczynek. Zostaliśmy umieszczeni w specjalnie przygotowanej oddzielnej sali dworcowej. Ludzie zostali nakarmieni i napojeni. Na dworcu były dyżury wojska i ludności cywilnej. Mimo, iż nie byliśmy jakimś regularnym oddziałem wojska, ani też nie wiozłem rannych, przedstawiciele społeczeństwa przyjęli nas bardzo serdecznie.

Wkrótce ruszamy dalej, do Lwowa, gdyż mam rozkaz aresztowanych tam odtransportować. Stanisławów o ile zdążyłem w ciągu kilku godzin zaobserwować, wcale nie był ogarnięty gorączką wojenną. Życie tu płynęło normalnie. Nie wyczuwało się wyraźnego zdenerwowania. Nie widziało się na ulicach rozprawiających nerwowo grupkę osób. Miasto wyglądało tak, jakby wojna toczyła się o pięć tysięcy kilometrów od niego, w jakimś innym państwie, a nie tuż, tuż. Ludzie żyli tu życiem zupełnie spokojnym.

Tegoż dnia po południu (8 czerwca) wyjechaliśmy do Lwowa. Około godziny 24-ej tego dnia zdałem moich aresztowanych „na

przechowanie” Komendzie miasta, po to, aby nazajutrz oddać ich Wydziałowi Informacyjnemu D.O.G-enu.

Wieczorem Lwów żył. Ruch był bardzo ożywiony. Wszystkie hotele pozajmowane. Trzeba było specjalnego nacisku Komendy Miasta, żebym mógł otrzymać wraz z moimi podoficerami pomieszczenie. Żandarmi dostali kwaterę w koszarach. Do późnej nocy łąziłem po mieście, po restauracjach. Wszędzie panowało przepętnienie. W tym mieście wyczuwało się zupełnie inny nastrój niż w Stanisławowie, Borszczowie, lub Kamieńcu. To miasto nie spało, bawiło się, ale jednocześnie interesowało się wojną, myślało o tym, co się dzieje na froncie wiedziało, jaka jest sytuacja. Pierwszy lepszy lwowianin, widząc obcą ogorzałą twarz młodego oficera, podchodził, zaczepiał i pytał, „co słyhać, skąd pan przyjechał? Jaka tam sytuacja? Nasi biją czy uciekają?” Wyrażał obawę, troskę, radość, zależnie od otrzymanych informacji. Rozmowa była prowadzona w tonie serdecznego niepokoju i zainteresowania się losami państwa, wojska, sytuacją na froncie. W każdej restauracji czy kawiarni, do której się wchodziło, oficer stawał się przedmiotem owacji, sympatii, zainteresowania wszystkich zebranych. Było to miasto o czułym i czujnym sercu.

Przez samą ciekawość, gdy w jednej restauracji spotkały mnie owacje, w godzinę później poszedłem do drugiej, trzeciej, by się przekonać jak mnie tam spotkają. Wszędzie spotykałem się z tym samym serdecznym przyjęciem. Lwowianie jakby się nawzajem wszyscy znali. Obywatela innej dzielnicy, inego miasta zaraz poznają. A może tak mi się tylko zdawało? Ale nie jeden mi to mówił podchodząc do mnie: „Pan porucznik nie tutejszy? pan we Lwowie nie był?” Myślę sobie skąd on wie? No i rozmawiamy, jemy, pijemy wspólnie, jakbyśmy się znali od wieków i kochali jak bracia.

Nazajutrz gdy wyszedłem na miasto stwierdziłem, że nastrój jest wielce pesymistyczny. Na ulicach ruch był duży. Nie było żadnych bezpośrednich przygotowań do obrony miasta, ale wyraźnie wyczuwało się niepokój społeczeństwa. Gdy poszedłem do Sztabu D.O.Genu nie przyjęto ode mnie aresztowanych tylko potwierdzono moje zameldowanie się. Otrzymałem rozkaz odwiezienia jeńców do Warszawy do Sztabu Generalnego. We Lwowie spotkałem kpt. Boernera, który po przeprowadzeniu inspekcji w D. O. G. miał również odjechać do Warszawy. Udałem się więc z aresztowanymi do stolicy. Był to ostatni etap mojej podróży. Jadąc ze Lwowa często spotykałem różne transporty wojsk idące to w jedną to w drugą stronę. Widać było, że się coś daleko na froncie dzieje. Wreszcie dotarliśmy do Warszawy. Było to 11 lipca. Dzień, jak i cały szereg dni przed tym, upalny. Powietrze w Warszawie niemożliwie duszne. Wprost z dworca głównego poprowadziliśmy więźniów na ulicę Bracką. Gdyśmy wyszli z dworca odrazu koło nas zebrał się tłum złożony z kilkuset osób. Zasypywali nas pytaniami kto są ci eskortowani. Podoficerowie zaspokoiли ciekawość pytających.

Absolutnie się nie orientowałem w sytuacji, jaka panowała wówczas w Warszawie. Gdy w tłumie dowiedzieli się kogo prowadzimy, zaczęło się zanosić na wielką awanturę. Tłum wzrastał. Zaczęły padać okrzyki: Precz z komuną! Precz z bolszewikami! Precz z Moskwą! Powiesić zdrajców!" itd. Masy zaczęły nacierać na nas. Chcieli nam odebrać jeńców, żeby ich zlynczować na miejscu. Lada moment mogli przerwać kordon eskortujących. Tutaj dopiero naprawdę się przestraszyłem.

Tyle dni wiozłem „ten skarb”, strzegłem jak oka w głowie, jestem już u celu, a tymczasem mogę go w ostatniej chwili już u celu postradać. W Alejach Jerozolimskich wydzieliłem żandarmów z ogólnego konwoju z rozkazem osłony więźniów przed atakującymi. Widząc jednak, że sam nie dam rady, gwizdkiem zasygnalizowałem policję, która mi przybyła z odsieczą. W ten sposób przy pomocy policji z trudem udało mi się powstrzymać natarcie tłumu. Na szczęście zabrakło wśród tego rozwścieczonego tłumu energicznego przywódcy, któryby zdecydowanie poszedł do ataku. Wówczas nie oparlibyśmy się. W przeciągu kilku minut jeńcy zostali by rozszarpani na kawałki.

Wreszcie krok za krokiem przy czynnym i moralnym uspokojeniu tłumu, udało nam się dotrzeć do ulicy Brackiej, gdzie wprowadziłem aresztowanych na dziedziniec jednego z domów, zamykając jak najprędzej bramę.

Tak skończyło się moje pięćdziesięciodniowe „urzędowanie” i pobyt na szerokich pięknych terenach Wołynia i Podola.

O ile aresztowani podczas więzienia ich pociągami z Borszczowa do Stanisławowa byli w dobrych humorach, mieli różowe nadzieje na przyszłość, snuli różne przypuszczenia co do dalszych tragicznych losów naszej Ojczyzny — o tyle tu w Warszawie w ciągu bardzo krótkiego czasu przejścia z dworca głównego do ulicy Brackiej, gruntownie swoje zdanie zmienili. Przed tym bagatelizowali swoją sytuację. Myśleli, że albo się ich wymieni na polskich patriotów z Rosji Sowieckiej i pojedą sobie do swoich, aby nadal prowadzić walkę z Polską albo też, jeżeli zostaną skazani przez sąd Rzeczypospolitej, wkrótce zostaną zwolnieni przez swoich, którzy jako zwyczajcy w najbliższym czasie zaleją całą Polskę.

Tu w stolicy przekonali się, że w sercu Polski jest nastrój tego rodzaju, że nie ma mowy, by ziemie te się poddały. Prowadząc pracę dywersyjną w okolicach Kamieńca utożsamiali sobie nastroje tamtejszej ludności z nastrojami całego społeczeństwa polskiego. Nie znali ludności Lubelszczyzny, Płockiego, Polesia i innych ziem polskich. Tu na prowadzenie dywersji przez agentów obcego państwa polski chłop ani robotnik nigdyby nie pozwolił. Byłem świadkiem współpracy ludności wspomnianych terenów z wojskiem w czasie inwazji bolszewickiej oraz naszej ofensywy. Była to od-ruchowa akcja społeczeństwa przeciwko najeźdźcom.

Mając chwilę czasu, zanim oddałem aresztowanych w ręce właściwych władz, wszczałem z nimi rozmowę i zapytałem ich co czuli wtedy, gdy tłumy na nich natarły. Szczerze mi odpowiedzieli, iż myśleli, że nie potrafimy ich obronić. Jeden z nich nawet powiedział, że przyszło mu do głowy, że naumyślnie ich tu z Kamieńca się sprowadziło, by pokazać ich tłumom w celu spotęgowania nastrojów antybolszewickich, spowodowania demonstracji i wydania ich w ręce pospólstwa, któreby się dopuściło na nich samosądu. Ani generał, znajdujący się wśród więźniów, ani nikt z prostych „towarzyszy” nie orientował się we właściwych nastrojach nurtujących w sercach miejscowego społeczeństwa.

Ja również, jak zresztą wynika to z mego powyższego opisu, w danym okresie nie znałem nastrojów na terenie Rzeczypospolitej. Przez cały czas znajdowałem się na jej rubieżach, na froncie. Oburzałem się na zachowanie młodzieży ukraińskiej w Winnicy, która nie wzięła masowo udziału w akcji tworzenia ukraińskiej armii narodowej, dziwiłem się masom ludowym na Wołyniu i Podolu, że tak nikły brały udział w pracy nad odbudową swojej Ojczyzny. Widziałem natomiast postawę społeczeństwa polskiego a zwłaszcza młodzieży podczas rozbijania okupantów 1918 roku. Jakże był inny. Byłem stale w kontakcie z elementem polskim w strefach przyfrontowych i wszędzie widziałem ofiarność bez granic i całkowite poświęcenie dla sprawy.

Wycofując się jednak do Warszawy przez Płoskirów, Kamieniec Podolski, Borszczów, Stanisławów aż do Lwowa, nigdzie nie widziałem nic takiego w zachowaniu się społeczeństwa z czego mógłbym wyciągnąć jakieś wnioski. Wszędzie w codziennym życiu był spokój, rzeczowość, żadnych specjalnych przejawów zdenerwowania, ani specjalnej troski o jutro. We wszystkich miastach i miasteczkach byłem wraz ze swoją dziwną grupą punktem zainteresowania i tyle... Aż dopiero stolica, serce Polski, zadrżała oburzeniem na widok przedstawicieli Moskwy. Tu zobaczyłem właściwe odzwierciedlenie myśli, uczuć i pragnień, które nurtowały w sercach milionów Polaków.

Dnia 11 lipca otrzymałem pokwitowanie z przejścia aresztowanych i odjechałem na wschodni front.

K R O N I K A N A U K O W A

Dr ZOFIA KRZEMICKA.

CZECHOSŁOWACJA.

Historia krajów, które tworzyły republikę czechosłowacką może być określona jako historia Czechosłowacji w ścisłym tego słowa znaczeniu, dopiero odnośnie do okresu, który nastąpił po wojnie światowej, gdy Komitet Narodowy w Pradze proklamował 28.X.1918 państwo tej nazwy. Historia Czechosłowacji skupia się dokoła dziejów Czech, które stały się centrum i osią nowo powstałej republiki. Naród czeski bowiem zapoczątkował i zorganizował ruch niepodległościowy, który poczęty jako ruch narodowy i zmierzający początkowo do zaspokojenia dążeń i aspiracji narodowych w ramach monarchii austro-węgierskiej, przekształcił się w dalszej swej ewolucji na ruch rewolucyjny i zmierzał w czasie wojny światowej do wyłamania się z pod austriackiej supremacji i do utworzenia własnej niepodległej państwowości. Wsparty przez Czechów rozgorzał analogiczny ruch narodowy na ziemiach słowackich i zwrócił się następnie przeciw węgierskiej zwierzchności państwowej. Zjednoczenie tych dążeń odśrodkowych przeciw austro-węgierskiej monarchii w związku z koniunkturą polityczną, która wynikła podczas wojny światowej, dało w efekcie niepodległą Republikę Czechosłowacką.

Wychodząc też z tego założenia historiografia czechosłowackiej republiki zdecydowała się przyjąć za punkt wyjścia badań dziejów nowoczesnych swego państwa rok 1914 — początek wojny światowej „kiedy objawiła się w sposób jasny i zdecydowany wola narodu czeskiego w kierunku odbudowy własnej państwowości — a nie w kierunku osiągnięcia narodowych uprawnień w ramach austriackich, co było główną treścią politycznych dziejów okresu 1848 — 1914”, motywuje to stanowisko prof. J. Šusta, jeden z czołowych przedstawicieli historyków czeskich obecnej doby, stawiając pod znakiem zapytania przyjęte uprzednio przełomowe znaczenie roku 1848, — jako momen-

tu, który zapoczątkował w dziejach Czech nową erę — erę obudzenia czeskiej świadomości narodowej.

Jako ośrodek badań dziejów Czechosłowacji 1914—1918 i genezy państwa czechosłowackiego utworzony został w 1929 r. przy Ministerstwie Spraw Wojskowych specjalny Instytut dla badań nad uzyskaniem niepodległości — oficjalna nazwa Památník Osvobození.

Zadaniem tego instytutu było zebranie dokumentów, materiałów i pamiątek odnoszących się do czechosłowackich walk o niepodległość w latach wojny światowej, opieka nad pracą naukowo-badawczą i popularyzatorską w tej dziedzinie. Przyświecają mu cele historyczno-naukowe i narodowo-pedagogiczne. Posiada część muzealną, archiwum i bibliotekę. Instytut powstał z zespolenia trzech organizacji istniejących uprzednio, tj. Wojskowego Archiwum i Muzeum Wojsk Czeskich, walczących za granicą, założonego w 1919 roku, wojennego archiwum utworzonego w r. 1920 przy Muzeum Czechosłowackim i Archiwum Narodowego Oswobodzenia, założonego w r. 1919 przy Ziemskim Muzeum Czeskim (Zemské muzeum české). W ten sposób Instytut ten zgromadzić miał całokształt materiałów odnoszących się do walk niepodległościowych Czechosłowacji w kraju i za granicą. Instytut ten rozpoczął w r. 1935 edycję dokumentów pt. „Prameny k dejinám osvobození (Źródła do dziejów Oswobodzenia). Ze względów aktualno-politycznych, dla podkreślenia wspólnoty ziem czeskich i słowackich wydano jako tom pierwszy wspomnienia generała M. R. Štefánika, Słowaka, bohatera narodowego, który wraz z Masarykiem i Beneszem był przywódcą czechosłowackiego ruchu niepodległościowego w tej dobie.

Dla poznania historii wojny światowej, a na jej tle poczynań niepodległościowych Czechów i Słowaków, zmierzających do odzyskania niepodległego bytu państwowego, założył Czechosłowacki Związek Legionistów w r. 1923 kwartalnik historyczny „Naše Revoluce” (Nasza Rewolucja) pod redakcją czeskiego działacza niepodległościowego i historyka J. Werstadta. Kwartalnik ten w typie zbliżony do naszego pisma „Niepodległość” ma na celu wyświetlenie dziejów oswobodzenia krajów czechosłowackich i walki o niepodległość. Przynosi też materiał dokumentarny, wspomnienia uczestników, dłuższe rozprawy naukowe, krótsze artykuły, miscellanea, a wreszcie sprawozdania i krytyczne recenzje z prac czechosłowackich i obcych, których tematem były kraje czechosłowackie podczas wojny światowej, lub wydarzenia mające wpływ na dzieje tych krajów. Omawia również prace odnoszące się do dziejów wojny światowej.

Zagadnienie walki narodowej w ramach wojny światowej i wszelkie poczynania, zmierzające do utworzenia państwowości czechosłowackiej, wysunęły się na czoło zainteresowań i stały się przedmiotem badań i opracowań. Podczas gdy Naše Revoluce gromadziła przyczynki do poznania tego okresu, powstały staraniem Państwa liczne wydawnictwa, mające na celu już to zobrazowanie poszczególnych fragmentów, już to danie syntezy ruchu niepodległościowego i genezy państwa czechosłowackiego. Do tego typu należy „Památník Odoje” — Pamiętnik walki o niepodległość. Staraniem tego wydawnictwa ukazał się pt. „Česko slovenská revoluce” cykl odczytów wygłoszonych w marcu i kwietniu 1932 przez najwybitniejszych czechosłowackich działaczy niepodległościowych, które miały na celu przedstawienie głównych etapów działań niepodległościowych w dobie wojny światowej. Następnie wydawnictwo „Polityka” pod kierownictwem Zd. Tobolki wydało monografię pt. Česka politika za světové války”, które miało być syntetycznym przedstawieniem zabiegów dyplomatycznych i politycznych czeskich działaczy, zmierzających do odbudowania niepodległej państwowości, wykonuje jednak pewne apologetyczne nastawienie. Wydawnictwo popularno-propagandowe „Knihy pro každého” — Książki dla wszystkich, redagowane przez J. Werstadta i L. Sychravę zainaugurowało swą czynność wydawniczą cyklem 13 książeczek popularnych pt. „Československy odboj” — Walka czechosłowacka o niepodległość, — mających na celu przedstawienie głównych wydarzeń i motorów, które podczas wojny światowej spowodowały wystąpienie narodu czechosłowackiego przeciw Austro-Węgrom i zobowiązanie przebiegu tej walki. Na plan pierwszy wysunięty jest ruch niepodległościowy i wojskowy za granicą. Wymienić jeszcze należy wydawnictwo również popularno-propagandowe „Legionářska Knihovna” — Książnica Legionowa, które do roku 1936 wydało 36 zeszytów, dotyczących rozmaitych zdarzeń od roku 1914.

W ogóle odnośnie do tej epoki (1914—18) istnieje w Czechosłowacji bardzo bogata literatura historyczna. Cechą charakteryzującą ją jest brak obiektywizmu, nawet w tych publikacjach, gdzie obiektywu ujęcie leży w intencjach autora. Także całokształt tej twórczości można uważać raczej za materiał dla przyszłego historyka, a w obecnym jej stanie trudno ją nawet odpowiednio różnicować, tj. wykreślić linię demarkacyjną pomiędzy pracami o charakterze wspomnień i pamiętników a pracami zmierzającymi do pewnej syntezy, do historycznej oceny wydarzeń.

Osobny dział nie podpadający pod żadne ogólne kryteria tworzy twórczość historyczna, a zwłaszcza historiozoficzna T. G. Masaryka, który był organizatorem i realizatorem poczynań niepodległościowych swego narodu. Dzieło jego „Svetová revoluce za války a ve válce 1914—1918” jest poniekąd sprawozdaniem z jego olbrzymiej działalności mającej na celu stworzenie niepodległego Państwa Czechosłowackiego. Jest to dzieło jedyne w swoim rodzaju pod względem historiozoficznej koncepcji, rozległości horyzontów i umiejętności przedstawienia w sposób zwięzły i przekonujący toku wydarzeń. Masaryk był bowiem nie tylko czołową postacią poczynań niepodległościowych, ich twórcą i realizatorem — ale odzwierciedleniem sił społeczeństwa czeskiego, konkretyzacją woli narodu, skryształowaniem jego potencjału umysłowego i społecznego, które sprzęgły się w tej postaci i stworzyły z niej symbol walki o niepodległość. W r. 1925 przystąpiono w Czechosłowacji do wydawania specjalnego pisma, poświęconego omawianiu życia i twórczości pierwszego obywatela Republiki czechosłowackiej pt. „Masarykuv Sbornik”, które wraz z całością prac Masaryka i ogromnej literatury, poświęconej tej postaci jest pozycją nie do pominięcia w badaniach nad dziejami najnowszych Czechosłowacji.

Życie i działalność współpracownika Masaryka E. Benesza tworzy również część z najnowszych dziejów Czechosłowacji. Zbiór prac i artykułów E. Benesza, który ukazał się pod tytułem „Dr. Edvard Beneš spoluzaklade tel nové svobody a tvurce zahranični politiky české” — E. Benesz — współzałożyciel nowej wolności i twórca czeskiej polityki zagranicznej. Zbiór ten i szereg prac innych Benesza, literatura odnosząca się do jego osoby i działalności — stanowi także cenny materiał do poznania dziejów walki o niepodległość i historii współczesnej Czechosłowacji do września 1939. Odnośnie do trzeciego członka historycznego triumwiratu, któremu państwo czechosłowackie zawdzięcza swe powstanie generała M. R. Štefanika — literatura jest szczuplejsza. Dokumentów jest daleko mniej przede wszystkim z tego powodu, że tragiczna śmierć wyrwała go bardzo wcześnie, z pola działalności, a najważniejsze zapiski generała spłonęły podczas katastrofy samolotowej, której ofiarą padł słowacki bohater narodowy.

Materiały te kompletują poniekąd wspomnienia, pamiętniki i pisma poszczególnych pomniejszych działaczy, którzy w części lub w całości przedstawiają dzieje ruchu narodowego czeskiego i słowackiego z punktu widzenia działalności własnej, stronnictwa lub grupy,

do której byli przynależni. Mają one jednak przeważnie raczej charakter publicystyki aniżeli źródeł historycznych i korzystanie z nich wymaga wielkiej ostrożności.

Ośrodkami badań nad najnowszymi dziejami Czechosłowacji stały się archiwa poszczególnych ministerstw, które znalazły się też w posiadaniu cennych materiałów dokumentarnych, przejętych po rozpadzie Austro-Węgier.

Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych — „Archiv Ministerstva věci zahraničních” — zreorganizowane i fachowo zarządzane jest nie tylko placówką gromadzącą i rejestrującą dokumenty, ale zajmuje się również ich edycją.

Najważniejszą publikacją jest zbiór pt. „Svetova válka a naše revoluce” — Wojna światowa i nasza rewolucja — wydany i zaopatrzony komentarzami przez trzech historyków — Wertstadta, Opočenského i Papouška. Poprzedziła wydawnictwo to przedmowa E. Benesza o charakterze polemicznym. Następnie ukazały się dwie serie dokumentów odnoszących się do udziału Słowacji w przewrocie 1918 r. Ponadto staraniem Ministerstwa Spraw Zagranicznych wychodzą syntetyczne opracowania dziejów Czechosłowacji w językach obcych, mające zapoznać zagranicę z przeszłością Republiki jak np. *Histoire Tschecoslovaque* Prokeša, Krofty ii. Od 1920 r. wychodzi subwencionowana przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Biblioteka Słowiańska.

Obok Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych utworzono z inicjatywy E. Benesza specjalne Archiwum zagraniczne rosyjskie. Posiada ono pewien samorząd i pozostaje pod zarządem historyka-socjologa dra Jana Slavika, który zajmuje się opracowaniem stosunków czesko-rosyjskich. Powstało ono z archiwum emigracji rosyjskiej w Czechosłowacji założonego w r. 1923 przez Związek uchodźców rosyjskich Zamgor i rozszerzyło następnie swój zasięg na całokształt materiałów dotyczących się dziejów Rosji XIX i XX wieku.

Staraniem Ministerstwa Spraw Zagranicznych wychodzi miesięcznik „Zahrannični politika” — Zagraniczna polityka — założony z inicjatywy ministra spraw zagranicznych, znanego historyka czeskiego K. Krofty, początkowo też przezeń redagowany, ostatnio pozostający pod redakcją historyka J. Papouška. Pismo to w typie polskiego wydawnictwa „Polityka Narodów”, przynosi rozprawy i dokumenty z dziedziny najnowszej historii Czechosłowacji, przeważnie pod kątem aktualnych potrzeb politycznych. Ma również szeroko roz-

budowany dział recenzji i sprawozdań publikacji historycznych swoich i obcych. Pismem podobnego typu był miesięcznik „Parlament” wychodzący od r. 1921, poświęcony zagadnieniom politycznym i państwowym, gdzie znajdowały się również przyczynki do dziejów nowoczesnych i bogaty dział sprawozdawczy.

Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wydaje Sbornik i publikuje materiały do dziejów poczynań niepodległościowych Czechów w ramach monarchii austro-węgierskiej — akta procesów politycznych, przejęte z wiedeńskich ministerstw itp. Publikacje te mają specjalne znaczenie wobec spłonięcia archiwum Ministerstwa Sprawiedliwości w Wiedniu. Ponadto wydaje Przegląd Archiwalny i rozmaite materiały źródłowe.

Bardzo poważnym ośrodkiem, w którym skoncentrowane zostały badania nad stroną wojskową dziejów najnowszych Czechosłowacji, jednak o zasięgu szerszym, obejmującym całokształt historii wojskowości w krajach czechosłowackich jest Naukowy Instytut Wojskowy — „Vědecký ustav vojenský” przy sztabie głównym. Staraniem Naukowego Instytutu Wojskowego ukazuje się od 1932 półrocznik Przegląd Historyczno - Wojskowy — Vojensko - Historický Sbornik o charakterze naukowym. Historią wojskową zajmuje się też Związek czechosłowackiego Korpusu oficerskiego — „Svaz čs. důstojnictva”. Wydaje on od 1920 r. tygodnik pt. „Důstojnické Listy”, przeznaczony dla ogółu oficerskiego, w którym pomiędzy innymi rejestruje się i omawia dzieła czeskie i zagraniczne, odnoszące się do dziejów wojskowości i zamieszcza artykuły z tej dziedziny. Staraniem Ministerstwa Spraw Wojskowych wychodzą publikacje źródeł nie tylko do dziejów wojskowości, ale i do historii politycznej, jak np. „Spisý politicko-historické” — publikacje polityczno-historyczne wydawane przez Archiwum armii czechosłowackiej.

Badania dziejów najnowszych Czechosłowacji podobnie jak i inne gałęzie wiedzy historycznej skupiają się dokoła odnośnych katedr uniwersyteckich. Poszczególne uniwersytety wydają periodyczne przeglądy „Sborniki”, oraz sporadyczne roczniki — „Ročenka” — publikujące wyniki badań historycznych zarówno na fakultetach historycznych, jak i prawniczych. Największą aktywność wykazują uniwersytety w Bernie i Bratysławie.

Praca historyczno-badawcza wchodzi w Czechosłowacji podobnie jak w innych państwach w zasięg badań i publikacji złączonych z działalnością towarzystw naukowych. Wśród tej działalności znajdują się więc także przyczynki do historii nowoczesnej.

Pierwsze miejsce należy się Akademii Umiejętności w Pradze — Češka Akademia Věd a Umění. Wydaje ona biuletyn — „Vestník” jako sprawozdanie z czynności naukowej, ogłasza rozprawy, które pojawiły się w nieregularnych odstępach (wyszło dotąd 100 tomów), zajmuje się także m. i. publikacją źródeł i studiów historycznych. Punkt ciężkości jednak jest przerzucony na historię średniowieczną.

Staraniem i Akademii ukazały się „Paměti a listař dra Aloize Pražeka 1873—1903” dwa tomy wydane przez Fr. Kamenického. Dodał on biografię Pražeka, w której zestawił tego Czecha — z Moraw, męża stanu opanowanego i zimnego z Riegerem, romantykiem o wybuchowym temperamencie.

„Královska česka společnost věd” istniejąca od drugiej połowy XIX w., wydaje podobnie jak Akademia biuletyny z prac i konferencji naukowych. Ponadto ogłasza prace obszerniejsze oraz roczne sprawozdania i wydaje publikacje źródłowe. W państwie czechosłowackim podjęła wydawnictwo wykazu czeskiego dorobku na polu pracy naukowej dla informacji zagranicy. Dotąd pojawił się obszerny I tom „Revue des travaux scientifiques tchecoslovaques” za dziesięciolecie 1918 — 1928, gdzie jest uwzględniony plon historyczny i tym samym także i publikacje odnoszące się do dziejów nowoczesnych.

Staraniem Towarzystwa Naukowego ukazały się też cykle wydawnictw, zarówno źródeł, jak i opracowań, związanych z uczczeniem pamięci tzw. „budzicieli” narodu czeskiego.

Również czeskie organizacje muzealne nie poprzestawały na leżącej w zakresie pracy kolektorskiej — gromadzeniu dokumentów i pamiątek, tylko wzięły żywy udział w życiu kulturalnym narodowym i naukowym. Chlubną tradycję ma w tej mierze Czeskie Muzeum w Pradze, które w republice czechosłowackiej przybrało nazwę Narodowego Muzeum. Czeskie Muzeum aczkolwiek w początkowej fazie swego istnienia, która sięga wstecz do XVIII wieku, pozbawione było charakteru narodowego i nastawione było raczej na badania przyrodnicze, w dalszej swej ewolucji pod kierownictwem swego generalnego sekretarza Palacký'ego — jednego z inicjatorów czeskiego ruchu narodowego, opartego się na historycznych podstawach, otoczyło szczególną opieką wiedzę o przeszłości Czech. Stało się ważnym ośrodkiem czeskiej nauki historycznej, ważną placówką czeskiego odrodzenia narodowego, w następnym półwieczu realizując narodowo polityczny program Palacký'ego przygotowywało także grunt pod niepodległość polityczną Czech. Organ Muzeum Narodowego „Časopis

Národního Musea”, wychodzący dawniej pod nazwą „Časopis českého Musea”, ostatnio pod redakcją znanego historyka prof. Bildo, zawiera również cenne przyczynki z dziedziny historii nowoczesnej, przeważnie do drugiej połowy XIX w.

Analogicznie powstawały i rozwijały się Towarzystwa Muzealne na Morawach — Brnie i Ołomuńcu, mające na celu gromadzenie dokumentów oraz pamiątek odnoszących się do przeszłości Moraw i Śląska i przeszły też podobną ewolucję — od patriotyzmu regionalnego terytorialnego do narodowego. Muzeum Brneńskie wydaje od r. 1901 periodyk „Časopis Zémskeho Musea”, który przynosi także prace historyczne odnoszące się do rozmaitych epok. Bogata biblioteka tego Muzeum stała się po przełomie 1918 r. zawiązkiem biblioteki nowoutworzonego uniwersytetu w Brnie.

Podobnie też Vlastencké Museum w Olomonci — Muzeum Patriotyczne w Ołomuńcu — zajęło się nie tylko gromadzeniem zbiorów muzealnych, ale w okresie krytycznym, gdy inne pisma czeskie na Morawach zostały przez kilka lat zawieszane na skutek represji rządu austriackiego, kontynuowało wydawnictwo własnego przeglądu, który był przez szereg lat jednym czeskim pismem naukowym na Morawach. Znajdowały się tam m. i. także prace historyczne.

Museálna Společnost w Turczańskim św. Marcinie, założona w 1893 r. staraniem zbieracza starożytności słowiańskich A. Kmety, stała się wnet ważnym ośrodkiem życia narodowego, kulturalnego i naukowego Słowacji. Towarzystwo to również wydawało szereg publikacji odnoszących się do dziejów Słowacji, w których zabierali głos badacze naukowcy i miłośnicy przeszłości tego kraju.

W odróżnieniu od zespołów muzealnych, które w genezie swej i początkowych fazach działalności miały na celu rozwój kulturalny i oświatę wszystkich mieszkańców ziem czeskosłowackich, zarówno Czechów jak Niemców i początkowo nawet posługiwały się językiem niemieckim, a dopiero z wolna uległy znacjonalizowaniu czeskiemu, organizacje kulturalno-oświatowe, które powstawały później pod nazwą Macierzy na tych ziemiach, tj. Matice česka, Matice moravska, Matice opavska i Matice slovenska wysunęły odrazu na czoło program narodowy, pracę w kierunku budzenia, względnie podtrzymywania świadomości narodowej. Powstanie ich oznacza poważny krok naprzód w nacjonalizacji pracy naukowej a zwłaszcza historycznej, która znajdowała szerokie ujście w działalności popularyzatorskiej, propagandowej i wydawniczej.

Matice česka, która początkowo była sekcją Muzeum Czeskiego uzyskała potem autonomię i rozwinęła działalność wydawniczą przede wszystkim w dziale historyczno-popularyzatorskim. Na wzór Macierzy Czeskiej powstała Matice Moravska. Celem jej było przez gromadzenie dokumentów i pamiątek historycznych, popieranie czeskiej twórczości naukowej, budzenie i podtrzymywanie świadomości narodowej czeskiej ludności Moraw, podniesienie kultury, szerzenie oświaty tej grupy ludnościowej, ochrona jej przed germanizacją. Realizowała swe zamierzenia przez wydawanie prac naukowych i popularnych z przeszłości Moraw, organizowanie zjazdów i konferencji naukowych, wydawanie periodyków i pism sporadycznych itp. Organizacja ta w kraju pozbawiona uniwersyteckiego ośrodka spełniała wielkie dzieło oświecenia, skupiała uczonych i miłośników nauki i stała się poniekąd Towarzystwem Naukowym Moraw i wykazać się mogła poważnym dorobkiem. Przy Macierzy Morawskiej funkcjonowała Komisja Historyczna, która zajęła się edycją źródeł historycznych przeważnie jednak do dziejów średniowiecza. Organ Macierzy Morawskiej „Časopis Matice Moravské” założony w r. 1869 był pierwszym pismem w języku czeskim na Morawach. Nie ograniczał się tylko do dziejów Moraw i skupiał nie tylko morawskich ale i czeskich historyków. Zreorganizowany w 1922 r. wychodził do końca 1938 roku pod redakcją trójosobowego Komitetu redakcyjnego i przynosił m. i. przyczynki do dziejów nowoczesnych Czechosłowacji.

Matice Opavska miała spełniać zadania kulturalne i oświatowe wśród ludności czeskiej Śląska wysuwając na czoło obronę jej przed niemiecczym. Organizowała zjazdy i konferencje, zakładała biblioteki, prowadziła działalność wydawniczą, głównie w zakresie popularyzatorsko-propagandowym, zajmowała się szkolnictwem, wydawała periodyki literacko-naukowe i była poważnym czynnikiem obudzenia i podtrzymania świadomości narodowej ludności czeskiej Śląska, nie stała się placówką naukową. Założony w 1871 r. Věstník Matice Opavskiej przynosił także popularne artykuły historyczne, był trybuną czeskich historyków Śląska.

Matice Slovenska założona w 1862 r. miała również przede wszystkim cele polityczne i oświatowe. Została po kilkuletnim okresie trwania rozwiązana przez rząd węgierski. Zrestituowana w państwie czechosłowackim w 1922 r. rozwinęła żywą działalność także i w kierunku badań historycznych i wydawnictw źródłowych. Staraniem Matice Slovenskiej wychodzą periodyki „Sborník Matice Slovenské” i „Slovenské Pohľady”.

Dla skoordynowania prac historycznych w dziedzinie poszukiwania materiałów źródłowych ich rejestrowania i wydawania, które to zadanie spełniały uprzednio Muzeum Narodowe, Archiwum Ziemskie i Towarzystwa Naukowe powołany został w 1920 r. w państwie czechosłowackim Naukowy Instytut Historyczny, którego działalność ograniczyła się dotąd do wydawnictw źródeł do dziejów średniowiecza.

W związku z czechizacją Towarzystw naukowych powstawały na ziemiach czeskich odrębne organizacje naukowo-kulturalne niemieckiej ludności Czech, które rozwijały z kolei akcję podtrzymania świadomości narodowej Niemców czeskich i oparcia jej na fundamentach wiedzy o przeszłości. Opieka nad badaniami historycznymi, prace naukowe, a przede wszystkim publikacje naukowo-popularne z dziedziny historii były również i w ich programie. Otoczone opieką rządu austriackiego, dysponowały znacznymi środkami i urosły do bastionów niemieczyny i jako silne instytucje odegrały poważną rolę polityczną w rozgrywkach narodowościowych, których widownią stały się Czechy w dobie poprzedzającej wybuch wojny światowej. Najznaczniesze z nich były „Deutscher Verein für Geschichte Mährens u. Schlesiens” — Niemiecki Związek dla zbadania dziejów Moraw i Śląska, „Verein für Geschichte der Deutschen in Böhmen” — Związek dla badania historii Niemców w Czechach i wreszcie oparte na szerszych podstawach nie ograniczające się tylko do badań historycznych „Towarzystwo dla popierania nauki niemieckiej — Gesellschaft zur Förderung der deutschen Wissenschaft” i in.

Po przewrocie z 1918 r. Towarzystwa te dostosowały swe statuty do zmienionych warunków politycznych i nie zaprzestały swej działalności. Wnet stały się ogniskiem irredenty niemieckiej na ziemiach czeskich i w tym kierunku nastawiły swą twórczość, która w wiedzy o przeszłości starała się dać podbudowę do aspiracji politycznych niemieckiej ludności Czech. „Verein für Geschichte der Deutschen in Böhmen” wydaje publikacje historyczne o tendencyjnym zabarwieniu. Organem związku tego jest periodyk „Mitteilungen des Vereins für Geschichte der Deutschen in Böhmen” w którym ukazują się mniejsze rozprawy i artykuły, a w rocznikach „Jahrbücher” pojawiają się obszerniejsze prace naukowe z tej dziedziny. Podobnie też w kwartalniku, który wydaje Verein für Geschichte Mährens u. Schlesiens w Brnie „Gesellschaft zur Förderung der deutschen Wissenschaft” zostało przemianowane w r. 1924 na „Deutsche Gesellschaft der Wissenschaft u. Künste für die Tschechoslovakische

Republik" rozszerzyło swój zasięg na wszystkie ziemie czechosłowackie. Sekcja historyczna tej organizacji wydaje publikacje źródłowe i studia historyczne, organizuje badania regionalne, zakłada i podtrzymuje działalność Komitetów regionalnych, dysponuje bogatą biblioteką, subwencjonuje pracę historyczną. W republice czechosłowackiej zaznaczyła się dążność do rozbudowy sieci organizacji niemieckich, powstawanie dalszych komórek i czasopism zajmujących się przeszłością ziem czechosłowackich z aktualno-politycznym nastawieniem. Zgrupowane są one przeważnie w północnych Czechach, gdzie przewagę ma żywioł niemiecki. Organizacjami tego pokroju są Deutsche Wissenschaftliche Gesellschaft — Niemieckie Towarzystwo Naukowe połączone ze specjalnym Instytutem naukowym dla badań nad niemiecko sudecką Ojczyzną — „Anstalt für sudetendeutsche Heimatsforschung” oraz „Deutscher Verband für Heimatsforschung und Heimatbildung in der Tschechoslovakéi”. Związek ten koordynuje i harmonizuje działalność wszystkich niemieckich zrzeszeń na ziemiach czechosłowackich mających na celu zbadanie przeszłości tych ziem i historii tamtejszego żywiołu niemieckiego, organizuje pracę wydawniczą i popularyzatorską. W publikacjach tych są także przyczynki do historii nowoczesnej. W ostatniej dobie, w związku z nasileniem tzw. kwestii sudeckiej, powstała znacznie większa ilość periodyków, które na podstawie wiedzy o przeszłości popierają akcję polityczną irredenty, jak „Zeitschrift für Sudeten deutsche Geschichte” i i. Powstał też w Libercu Instytut dla badań dziejów krajów zachodnich „Anstalt für sudetendeutsche Heimatsforschung der deutschen wissenschaftlichen Gesellschaft in Reichenberg, który ma bogatą bibliotekę i wydaje szereg prac syntetycznych do dziejów ludności niemieckiej w krajach sudeckich. Instytut wydaje w Niemczech w Kassel „Sudetendeutsches Jahrbuch” i kwartalnik „Karpäthenland”.

Utworzenie państwowości czechosłowackiej wzmogło zainteresowanie przeszłością. Szukano w niej nie tylko legitymacji dla teraźniejszości ale też wytycznych rozwojowych przyszłości. Udostępnienie dotąd nie wyzyskanych źródeł przejętych po rozpadzie Austrii, poparcie potężnego aparatu własnego państwa stało się pobudzającym zastrzykiem podniecającym twórczość historyczną, który wywołał silny ruch na tym odcinku pracy. Powstał też szereg nowych organizacji mających na celu pogłębienie badań historycznych, ich rozszerzenie względnie skierowanie ich na nowe tory ku nowym problemom w związku z przestawieniem zainteresowań.

Obok stowarzyszeń historycznych - regionalnych, mających na celu zbadanie przeszłości swoich ośrodków powstają organizacje historyczne dążące do wyświetlenia pewnego specjalnego zagadnienia, pewnych tendencji, które w zmienionych warunkach politycznych nabrały specjalnej wagi lub znaczenia. Organizacje te tworzą nowy etap w pierwotnie jednolitej organizacji pracy badawczej poświęconej poznaniu przeszłości. Organizacją tego pokroju jest projektowana w 1914 r. a założona w 1919 „Společnost Husova Musea” — w związku z pięćsetleciem spalenia Husa mająca na celu zbadanie działalności czeskiego narodowego bohatera, jego epoki i narodowej reformy religijnej. Wydaje ona własny organ i szereg publikacji, które z natury rzeczy nie zajmują się historią nowoczesną.

„Učena Společnost Šafarikova” założona w Bratysławie w 1926 r. z okazji 100-lecia wydania dzieł Šafaryka ma przede wszystkim na celu zbadanie przeszłości Słowacji jako części państwa czechosłowackiego, w kierunku ujawnienia dawnej łączności obu tych szczepów słowiańskich zgrupowanych w czechosłowackiej republice. Towarzystwo Naukowe im. Šafaryka wydaje publikacje źródłowe, organizuje konferencje naukowe itp. Od 1927 r. wydaje też kwartalnik „Bratislava” dla badań nad przeszłością Słowaczyny i Podkarpackiej Rusi.

Wielkie znaczenie i poważny bardzo zasięg działania przypadł założonemu w Pradze w 1928 z inicjatywy Masaryka Instytutowi Słowiańskiemu. Celem tej organizacji — studia nad ludami i krajami słowiańskimi, ich kulturą, dziejami, życiem, stosunkami gospodarczymi, wzajemnym współżyciem itp. „Slovánsky Ustav” w Pradze rozporządza obszerną biblioteką, organizuje konferencje naukowe, inicjuje i subwencjonuje badania naukowe i rozwija na szeroką skalę czynność wydawniczą. Instytut wydaje monografie z rozmaitych domen i epok słowiańskiego świata, podręczniki, zwołuje konferencje poświęcone zagadnieniom słowiańszczyzny i współpracy ludów słowiańskich — wzajemności słowiańskiej — publikuje ich rezultaty i prowadzi specjalne wydawnictwo, w którym ukazują się prace charakterystyczne dla rozwoju myśli i kultury ludów słowiańskich itp. W oparciu o Instytut ukazują się dwa periodyki o starszej już tradycji, która wyprzedziła założenie Instytutu. Najstarszy organ słowiański, wychodzący od 1907 r. „Slovánsky Přehled” w 10 zeszytach rocznie ma przedstawiać „polityczne, społeczne i kulturalne życie słowiańskich państw i narodów”. Posiada też szeroko rozbudowany dział recenzji. Ponadto wydawany w języku niemieckim periodyk „Slavische Rundschau” pismo sprawo-

zdawcze i krytyczne dla przejawów duchowego życia ludów słowiańskich, który był początkowo organem niemieckiego Towarzystwa dla badań Słowiańszczyzny w Pradze, ma na celu „informować o kulturze słowiańskiej i jej znaczeniu najpotężniejszych sąsiadów słowiańszczyzny naród, do którego należeli Herder, Goethe, Grimm, Ranke i in.”, jak obwieszcza programowa ekspozycja tego miesięcznika, założonego w 1928 r. Spełniał też to zadanie w pełni, prowadząc bardzo szeroko rozbudowany dział informacyjny i bibliograficzny i mając w gronie swych współpracowników najwybitniejszych uczonych słowiańskich.

Z inicjatywy Masaryka i Benesa powstały w czasie wojny światowej we Francji i Anglii ośrodki naukowo-propagandowe, mające na celu szerzenie wiedzy o słowiańszczyźnie. W Paryżu wychodził miesięcznik „Le Monde Slave”, ostatnio pod redakcją prof. Eisenmanna i w Londynie analogicznie wydawany przez przyjaciół Masaryka „Slavonic Review”. Pisma te szerzyć mają wiedzę o dziejach i kulturze narodów i państw słowiańskich. Specjalnie rozbudowany jest dział czechosłowacki. Przynosi też przyczynki do czeskiej historii nowoczesnej. W Republice Czechosłowackiej wychodził ukraiński „Naukowyj Sbornik”, wydawany po ukraińsku. Towarzystwo Ukraińskie „Proświta” i węgierski periodyk naukowo-literacki „Cschoslovakiai Magyar Tudományos” ukazujący się od r. 1931 staraniem węgierskiego Towarzystwa w Czechosłowacji, które przynosi przyczynki do dziejów tych mniejszości narodowych także odnośnie do dziejów nowoczesnych.

Osobną, poważną bardzo, pozycję stanowi działalność Towarzystw Historycznych w Czechosłowacji. Odegrały one bowiem wielką rolę nie tylko w ruchu naukowym, w planowej organizacji badań historii, ale stały się bardzo silnym czynnikiem w odbudowie czeskiej świadomości narodowej — przyczyniły się wydatnie do utworzenia tradycji narodowej w epoce poprzedzającej odbudowę własnej państwowości. Pierwszą komórką czeskiej pracy historycznej był założony w r. 1866 Historycký Spolek, który zgrupował najwybitniejszych historyków czeskich, rozpoczął szeroką działalność w kierunku gromadzenia źródeł i ich publikacji, opieki nad archiwaliami itp. W Republice Czechosłowackiej część tych obowiązków przeszła na Instytut Historyczny oraz na ruchliwszy, oparty na szerszej podstawie Klub Historyczny. Zaś Historický Spolek ograniczył się do pracy edytorskiej źródeł. Dotąd ukazało się

7 tomów „*Fontes rerum bohemicarum*”, przeważnie do historii średniowiecznej.

Historický Klub założony w latach 70 ubiegłego stulecia zgromadził nie tylko historyków-naukowców, ale i miłośników historii. Rozwinął bardzo intensywną działalność naukowo-badawczą, popularyzatorską, pedagogiczną i propagandową. A gdy w r. 1904 na jego czele stanął wybitny historyk czeski, prof. J. Pekař, który przeszło ćwierćwiecze kierował jego pracami — najważniejszym ośrodkiem pracy historycznej. Zarówno w okresie poprzedzającym odbudowanie Czechosłowackiej Republiki, jak i przez następne 20-lecie, Klub Historyczny był najważniejszą placówką czeskiej historiografii. Organizował badania naukowe, otaczał opieką popularyzację historii, wywierał przemożny wpływ na nauczanie historii, wydawał monografie czołowych historyków czeskich, podręczniki do szkół średnich i wyższych. Stwarzał podstawy badań naukowych przez wydawnictwo bibliografii. Zapoznawał zagranicę z dziejami Czechosłowacji, ogłaszając wykaz jej dorobku w tych pismach zagranicznych — wydając całokształt dziejów czeskich w opracowaniu najwybitniejszych historyków czeskich w językach obcych — w ogóle był inspiratorem i regulatorem czeskiej twórczości historycznej. Staraniem Klubu Historycznego ukazał się całokształt prac wybitnego historyka czeskiego Jar. Golla. Ponadto korespondencja Fr. Wł. Riegera pt. „*Přispěvký w listaří dra Frant. Lad. Riegera*” w dwóch tomach zebrane i opracowane przez prof. Šustę. Wartość tego wydawnictwa podnoszą komentarze oraz indeks, który podaje z objaśnieniami nazwiska całego szeregu osób mniej znanych, pozostających w stosunkach z Riegerem. Klub Historyczny wydał jeszcze szereg innych publikacji źródłowych do poznania dziejów politycznych okresu czeskiego odrodzenia narodowego 1848—1914. Organem Klubu jest główne czeskie czasopismo historyczne, kwartalnik „*Český Časopis Historický*”, którego założycielem (w r. 1904) i długoletnim redaktorem był prof. Pekař. Obejmuje on całokształt dziejów i badań historycznych Czechosłowacji. Przynosi dłuższe i krótsze przyczynki ze wszystkich dziedzin historiografii, publikuje w miscellaneach dokumenty, daje w recenzjach krytycznych, sprawozdaniach i zapiskach przegląd czeskiej twórczości historycznej. Uwzględnia też w pewnej mierze dorobek historiografii zagranicznej. Od r. 1905 prowadzi ČČH. dział bibliografii. Chlubną tradycję pisma przejął i kontynuował redagujący je po śmierci prof. Pekařa prof. J. Šusta. Staraniem Klubu Historycznego ukazał się indeks do Č. Č. H. za lata 1895—1934,

który wykazuje także i przyczynki do dziejów najnowszych i daje wgląd w problemy i ich ujęcie. Choć w Republice Czechosłowackiej wzrosła w ostatnich czasach znacznie liczba czasopism historycznych, to jednak Č. Č. H. zachował swe przodujące i reprezentujące stanowisko i w gronie swych współpracowników ma nadal najwybitniejszych historyków.

Organizacją oficjalną, mającą koordynować i harmonizować wszelkie poczynania czeskich zespołów historycznych i reprezentować je na zewnątrz, jest powołana do życia w 1935 r. jako organizacja nadrzędna „Československá Historická Společnost”. Organizacja ta zwołuje też w Pradze w maju 1937 pierwszy ogólny zjazd wszystkich historyków Czechosłowacji, który był przeglądem czeskiego dorobku historycznego i zobrazował główne zagadnienia, nurtujące czeską historiografię.

Poza tym zanotować można też kilka zrzeszeń historycznych i periodyków historycznych o zacieśnionym kręgu badań. Do liczby tej należy Koło Historyczne o tendencji katolickiej założone w Pradze w 1893 r. „Historický Kroužek”, który wydaje „Sbornik” — przynoszący przyczynki do dziejów kościoła i ruchów religijnych, także i zakresu historii nowoczesnej.

W r. 1937 zaczął wychodzić kwartalnik poświęcony historii najnowszej „Dějiny a přítomnost” — „Historia i terażniejszość” — pod redakcją historyka socjologa Jana Slavika. Pismo to pozostaje pod wpływem ideologii marksistowskiej. Z pismem tym prowadzi żywą polemikę miesięcznik katolicki „Hlidka” — Warta — wychodzący w Brnie oraz Čacopis Matice Moravské, zajmujący się dziejami Moraw.

Dziejami wsi zajmuje się założony przez ministra Hodzę „Časopis pro dějiny venkova” — Przegląd dziejów wsi — który wydaje Československa Akademia Žemedelska. Pod przewodnictwem ministra, wybitnego historyka, K. Krofty, istnieje Komisja dla historii rolnictwa, która wydaje kwartalnik „Sbornik”, prace naukowe i dzieła do dziejów rolnictwa oraz specjalny Atlas historyczny.

W r. 1928 powstał w Pradze rocznik dla dziejów żydów w Czechosłowacji — „Ročenka špolečnosti pro dějiny zidů v Československé republice”. Liczne są wydawnictwa zbiorowe poświęcone problemowi idei politycznych XIX wieku jak np. wydane przez „Narodní Rada Československa” dzieło „Idee československeho státu”.

Obfitą jest literatura odnosząca się do ustalenia głównych wytycznych, które na przestrzeni wieków znaczyły dzieje narodu cze-

skiego. Spór Masaryka i Pekařa na temat ducha i idei przewodnich dziejów czeskich był do ostatniej doby tematem rozstrząsań historyków czeskich.

Wymienić jeszcze należy szereg publikacji zbiorowych, które ukazały się w związku z uczczeniem rocznic pewnych wydarzeń lub pamięci wybitnych działaczy. Oprócz pism poświęconych działalności Masaryka i Benesza, mnogie pokłosie dał rok 1926, stojący pod znakiem 50-lecia śmierci inspiratora czeskiego odrodzenia narodowego i wybitnego historyka Fr. Palacky'ego, co dało assumpt do reedycji całości jego dzieł. Pojawiło się z tej okazji wiele prac historycznych. Równocześnie obchodzono też mnogimi publikacjami jubileusz „Čapisu Narodniho Musea”, którego założycielem był Palacky, a jednym z redaktorów Šafařik.

Dziesięciolecie Państwa Czeskosłowackiego w 1928 r. uczczono również szeregiem wydawnictw z dziedziny nowoczesnej historii, których tematem były nie tylko walki o niepodległość ale i wydarzenia walki te poprzedzające.

Publikacjami historycznymi uczczono też m. i. w 1936 r. działalność Kollara, szermierza idei wzajemności słowiańskiej. W r. 1938 dla upamiętnienia 20-lecia powstania Republiki Czechosłowackiej i 90-lecia zniesienia pańszczyzny ukazała się publikacja zbiorowa „Od svobody selské k svobode statni 1848—1918—1938”.

Dla nas bardzo interesujące są liczne rozprawy prof. Jana Kaprasa odnoszące się do dziejów Śląska Cieszyńskiego i Opawskiego, które wydała „Slezska Knihovna”.

Miesięcznik „Československo-Jihoslovenské Revue”, wychodzące od 1930, poświęcony był stosunkom Czechosłowacji i Jugosławii. Czasopismo „Duch Novin” miało za przedmiot historię dziennikarstwa w Czechosłowacji. Kwartalnik „Dunaj”, wychodzący od r. 1922, miał podać wyniki badań stosunków czechosłowackich w ramach monarchii habsburskiej. Ponadto w czasopismach naukowych i kulturalno-społecznych, jak „Naše veda” — Nowa wiedza, „Česka revue”, „Nova česka revue”. „Křest'anska Revue”, „Naše Dobá” i in., jako też na łamach prasy codziennej uwzględniane były w szerokiej mierze problemy historyczne, ukazywały się również przyczynki do najnowszej historii, co dowodzi wielkiego zainteresowania historią w Czechosłowackiej Republice.

Historiografia czeska miała też poważny udział w wskrzeszeniu państwa czeskigo. Dostarczyła broni do narodowych i politycznych

walk Czechów w w. XIX. Historycznie ugruntowane były postulaty i dążenia Czechów w 1848 r. Historyczną była podstawa ich żądań państwowo-prawnych. Historia była ośrodkiem narodowego myślenia i odczucia, które miało stać się drogowskazem odbudowy państwowości. Toteż kiedy w 1918 powstało państwo czechosłowackie, mógł Český Časopis Historický napisać nie bez słuszności „Kampanię o niepodległość Czech prowadziła przede wszystkim czeska historiografia. Gdyby nie ona, pozostalibyśmy gromadą bez wyższego samopoczucia — narodem bez celów i ideałów. Te właśnie zaczerpnęliśmy z przeszłości”.

Czeska historiografia przygotowała się też do odegrania dalej czołowej roli w odrodzonej państwowości i wytyczenia jej szlaków rozwojowych zgodnych z duchem dziejów.

M I S C E L L A N E A

O NIEMIECKIE ROZWIĄZANIE SPRAWY POLSKIEJ.

MEMORIAL POLITYKA NIEMIECKIEGO Z R. 1916.

Podał Henryk Wereszycki.

W papierach adiutanta gen. Beselera, kpt. Heynitz, znajdujących się częściowo w Archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego¹⁾, zachowało się kilkanaście listów i memoriałów barona Fryderyka von der Roppa, który — jak właśnie z tych papierów wynika — odegrał niemałą rolę w okresie, kiedy tworzyła się koncepcja aktu 5 listopada. Von der Ropp²⁾ był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli tych działaczy niemiecko-kurlandzkich, którzy po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej w r. 1914 zdecydowali się popierać myśl oderwania prowincyj bałtyckich od cesarstwa rosyjskiego. Dlatego też po paru miesiącach wojny von der Ropp wyjechał z Rosji i zamieszkał na stałe w Berlinie. Rozwinął tu żywą działalność polityczną, mając dostęp do czołowych postaci rządowych. Znaczenie sprawy polskiej zrozumiał od razu, bo zdawał sobie sprawę, że jedynie przez stworzenie państwa polskiego da się oderwać prowincje bałtyckie od Rosji. Toteż już w r. 1915 zetknął się z Polakami, a w pierwszym rządzie nawiązał kontakt z aktywistami takimi jak Michał Łempicki i Władysław Studnicki. Zresztą jako poddany rosyjski, chociaż Niemiec, miał on lepszą możliwość porozumiewania się z politykami Królestwa i dlatego dość łatwo przyszło mu odegrać rolę pośrednika między sympatyzującymi z Niemcami politykami polskimi a czynnikami rządowymi niemieckimi, w pierwszym rządzie z Beselerem. Gdzieś od połowy lata³⁾ 1916 r. wchodzi on w bliższy kontakt z ge-

¹⁾ Patrz „Niepodległość” XVIII, str. 135, 458; XIX, 154, 470.

²⁾ Informacje o osobie br. Fr. v. d. Roppa zawdzięczam uprzejmości p. Wł. Studnickiego.

³⁾ Pierwszy datowany dokument z dossier br. v. d. Roppa zachowany w Arch. Inst. J. P. nosi datę 6 sierpnia 1916, pierwszy jego list do nadkwatermistrza gen.-gub., majora Helfritza, nosi datę 12 sierpnia 1916.

nerał-gubernatorstwem, pisuje bezpośrednio do Beselera, krąży między Berlinem a Warszawą. On to ułatwia Beselerowi montowanie delegacji, która w październiku udała się do Berlina, aby prosić o ogłoszenie niepodległego państwa polskiego. On załatwia wszelkie personalne szczegóły tej akcji. Po ogłoszeniu manifestu dwu cesarzy z 5 listopada wyjeżdża z polecenia gen. Ludendorffa najpierw do Sztokholmu, a potem do Szwajcarii, aby tam wśród działaczy polskich spod zaboru rosyjskiego propagować ideę współpracy z Niemcami na zasadach aktu 5 listopada⁴). Ambicją jego było stać się niejako półoficjalnym przedstawicielem Polaków w Berlinie. Wkrótce stosunki jego z polskimi politykami się oziębiły. Powodem tego była sprawa litewska. Aktywiści polscy, którzy w oparciu o Niemcy chcieli budować państwo polskie, musieli rezygnować z polskich ziem zaboru pruskiego. W takim razie ekspansja polska musiała skierować się na wschód, na ziemie dawnego W. Ks. Litewskiego. W ich pojęciu przyłączenie — takie czy inne — Litwy do Polski było jedyną możliwą kompensatą za utratę Poznańskiego i Pomorza. Tymczasem zaś dla barona kurlandzkiego Litwa musiała być bezpośrednio poddana wpływowi niemieckiemu, ponieważ tylko w ten sposób Rzesza miała otwartą drogę do Rygi i Rewla. Tak więc w roku 1917 kontakty Roppa z Polakami się kończą, a jego żywa i energiczna natura zwraca się teraz do sprawy litewskiej, którą istotnie wówczas podejmuje rząd niemiecki. Jak z tego widać br. von der Ropp był jedną z tych postaci politycznych, która za kulisami odegrała nie małą rolę i dość wiernie reprezentowała ogólne tendencje niemieckiej polityki na wschodzie w okresie Wielkiej Wojny.

Memoriał, który poniżej ogłaszamy w polskim tłumaczeniu, był napisany na początku lipca 1916, a jak się można z zachowanej kopii domyślać, przedłożony wkrótce potem gen. gub. Beselerowi. Dla kogo był pisany pierwotnie nie wiadomo, z tekstu można się domyślać, że nie dla Beselera, a dla politycznych osobistości berlińskich. Nie mniej zapewne zapoznanie się z tym elaboratem przez Beselera skłoniło generałgubernatora do nawiązania bliższego kontaktu z von der Roppem, ponieważ właśnie do połowy sierpnia rozpoczyna się seria listów pisanych przez niego dla generała.

Memoriał jest dlatego ciekawy, ponieważ omawia sprawę polską w ujęciu niemieckim z punktu widzenia czysto politycznego. Zasadniczo — jak wiadomo — Niemcy podchodzili do zagadnienia polskiego

⁴) Br. v. d. Ropp do ppłk. Helfritza, Stuttgart 21.XI.1916. Arch. Inst. J. P.

raczej od strony wojskowej, to znaczy, albo widzieli możliwość uzyskania świeżego materiału ludzkiego, albo też przez podjęcie sprawy polskiej pragnęli rozwiązać pewne zagadnienia strategiczne, związane z przyszłą wschodnią granicą Niemiec. Pisany jest w okresie, kiedy Berlin zdawał sobie sprawę, że ujęcie przez stronę niemiecką polskiego zagadnienia w swe ręce może mu przynieść wielkie korzyści, ale kiedy jeszcze sposób podejścia do tego trudnego problemu nie był zdecydowany. Autorowi tego memoriału trzeba przyznać, że orientował się w sytuacji całkiem dobrze, że rozumie jakich metod politycznych trzeba użyć, aby sprawę polską rozwiązać z korzyścią dla niemieckiej racji stanu. Nie wolno jednak zapominać, że memoriał był przeznaczony dla ludzi, którzy byli przyzwyczajeni do Polski i Polaków, przystępować ze zgoła innym nastawieniem. Stąd znajdują się pewne — żeby się tak wyrazić — macchiavelistyczne akcenty w tym memoriale. Mają one uspokoić sumienia i nawyki tych niemieckich polityków, którzy do tej pory nigdy nie liczyli się z Polską jako z samodzielnym czynnikiem. Jeśli idzie o stronę personalną, a więc o osobę posła do Dumy, M. Łempickiego i Klub Państwowców Polskich, to odnosi się wrażenie, że autor nierozróżnia tu austrofilskiej Ligi Państwowości Polskiej, w której główną osobą był M. Łempicki, od Klubu Państwowców Wł. Studnickiego, szukającego zbliżenia z Niemcami. Wynika więc z tego, że w czasie pisania tego memoriału autor jeszcze nie znał dokładnie wewnątrzpolskich stosunków, zresztą władze okupacyjne niemieckie również zrazu nie orientowały się w austrofilskich tendencjach L.P.P. Z tekstu memoriału wynikałoby, że przyczyną tego była zapewne taktyka M. Łempickiego, który w rozmowie z Niemcami udawał ich gorącego zwolennika ⁵⁾.

O SPRAWIE POLSKIEJ.

Przez *Fr. v. d. Ropp*.

Dotychczas przedstawia się sprawa polska całkiem niejasno. Istnieją najrozmaitsze wersje, nie wchodzimy w jej szczegóły. Ze strony niemieckiej uznano tylko niektóre zasady, a mianowicie, że Polska

⁵⁾ Zresztą takim samym złudzeniom odnośnie do L.P.P. ulegały okupacyjne władze niemieckie o czym świadczy rozmowa Art. Śliwińskiego z szefem niemieckiej policji w Warszawie, komisarzem Schulztem, który zarzucał C.K.N. „że pozwolił tak wyrosnąć L.P.P., która po to tylko istnieje, aby zabezpieczyć wpływy austriackie na to co się w Polsce dzieje”. Na to Art. Śliwiński odpowiedział, „iż jednak Niemcy forytowali L.P.P., co się wyraziło chociażby w wyborze osób do delegacji berlińsko-wiedeńskiej [październik 1916]”. Wyjątek z listu W. Sławka do J. Piłsudskiego z 5.XII.1916. Arch. Inst. J. P. — Wiadomość o tym liście zawdzięczam uprzejmości p. mgr. T. Pelczarskiego.

austriacka⁶⁾ jest nie do przyjęcia, ponieważ nie możemy znieść otoczenia nas przez Austrię od południa i od wschodu, dalej, że w Polsce nigdy nie nastąpią uregulowane stosunki pod panowaniem austriackim i że Polska austriacka zniszczy przyjaźń między Niemcami a Austrią.

A zatem my, Niemcy, nie możemy się w żadnym wypadku uchylić od zadania, by rozwiązać sprawę polską. W stosunku do Austrii idzie tylko o to, aby znaleźć drogę do uniknięcia z nią sporu. Właśnie teraz, kiedy Austria tak ciężką klęskę odniosła od Rosji⁷⁾, wydaje się korzystny moment, aby oprzeć się na prawie silniejszego i prawie obrońcy [Beschützenden] i rozpocząć samodzielne rozwiązanie [anzuschneiden] sprawy polskiej.

Ale i inne powody przemawiają za tym, abyśmy jeszcze w czasie wojny rozwiązali sprawę polską. Po wojnie będzie położenie nieskończenie cięższe. Austria nie będzie wtedy zagrożona i będzie mogła swoje pretensje bezwzględnie postawić. Rządy wojenne mogą dziś w samej Polsce łatwo przytłumić opozycyjne czynniki, podczas gdy po wojnie nie da się uniknąć wzmieszania się wszystkich partij. Polska wtedy nie będzie odcięta od całego świata; a komunikacyj z zagranicą użyje na to, aby tworzyć nastrój przeciw jakiegokolwiek ograniczeniu jej wolności. Ze wszystkich stron, z Ameryki, Francji, Anglii i zewsząd będą się nam do polskiej sprawy mieszać. Pod naciskiem tego zamieszania doprowadzimy do jakiegoś kompromisu i nie będziemy mogli dostatecznie naszych własnych niemieckich interesów wziąć pod uwagę.

Ale teraz, podczas wojny, nie jest możliwe to szkodliwe mieszanie się. Musimy więc obecne położenie wyzyskać.

Nie można natychmiast odpowiedzieć na pytanie jak należy sprawę polską rozwiązać. Uznano tylko jedną podstawową zasadę: Polskę o ile możliwości odstręczyć od Rosji. Jest to równoznaczne z niepodzielnością Polski rosyjskiej. Gdyby Polska została podzielona między Niemcy i Austrię, albo między Niemcy i Rosję, w takim razie nie da się uniknąć tego, by rozerwane części nie dążyły do ponownego połączenia, i wówczas nienawiść tym spowodowana zwróci się przeciw Niemcom, jako przeciw tym, którzy dokonali podziału; jakiegokolwiek zatem podział musi z powrotem Polaków rzucić w ramiona rosyjskie.

Stanowisko polskie zostało ostatnio otwarcie sprecyzowane przez postać Dumy Łempickiego na kongresie narodowościowym w Lozannie⁸⁾. Jasno dał do poznania dwa żądania:

- 1) Oderwanie się od Rosji.
- 2) Niepodległość państwa i niepodzielność.

⁶⁾ To znaczy austro-polskie rozwiązanie sprawy polskiej.

⁷⁾ Mowa o przełamaniu frontu IV armii austriackiej pod Łuckiem w dniach 4—9 czerwca 1916 przez ofensywę gen. Brusilowa.

⁸⁾ W dniach 27—29 czerwca 1916 odbył się w Lozannie Kongres narodowości pod przewodnictwem Belga P. Otlet'a. Polskę reprezentowali M. Łempicki, W. Sieroszewski i Wł. Studnicki. Dość wybitną rolę odegrał na tym kongresie v. d. Ropp, który sformułował rezolucję wyrażającą sympatię dla Francji i Anglii, ale ostro zwróconą przeciw Rosji.

Łempicki jest zbliżony do nowoutworzonego polskiego związku, mianowicie „Klubu zachowania polskiej państwowości w Warszawie”⁹⁾. Klub ten, uznany przez Generałkubernatorstwo, stara się o zbliżenie do Niemiec, a nie do Austrii. Ludziom tym przyświeca myśl stworzenia — po pewnym stadium przejściowym — samodzielnego państwa pod rządami jakiegoś niemieckiego księcia (Hohenzollern - Sigmaringen) przy demokratyczno-parlamentarnej konstytucji. Na razie chcą stworzyć państwo tylko z Kongresówki wraz z częściami południowej Litwy i Białorusi¹⁰⁾, wychodząc z założenia, że Galicja się później sama do nich przyłączy, a z Poznańskiego rezygnują ostatecznie. Idee te wymagają jeszcze bardziej gruntownej rewizji i zapewne licznych obciążeń¹¹⁾, ale należą do tej grupy, która najbardziej służy niemieckim interesom. Jest niemożliwym stworzyć polską państwowość w pewnej mierze choćby nam przyjazną bez współdziałania samych Polaków. Każda poddyktowana konstytucja, każdy narzucony władca będzie niepopularny. Musimy przyciągnąć Polaków do formowania ich państwa, ba, musimy ich tak nastrajać, aby propozycje dla ich przyszłego ustroju o ile możliwości od nich samych wychodziły. Tylko wtedy będzie rozwiązanie polskiego zagadnienia popularne w samej Polsce.

Korzystnie przedstawia się okoliczność, że pod obecnym wojskowym naciskiem powszechne wybory w wielkim stylu są nie do przeprowadzenia. Mamy jednak możliwość stworzenia pewnej namiastki [Ersatz] przedstawicielstwa narodowego, którą my możemy sami uformować tak, aby była zdatna do układów z nami. Wykorzystajmy zatem istniejące czynniki polityczne w rodzaju powyżej opisanego Klubu, rozbudujmy go do pewnego rodzaju namiastki parlamentu i dajmy mu sami przywódcę przez to, że wyróżnimy jakiegoś wybitnego Polaka i będziemy go traktowali jako przedstawiciela Polski, jak np. poprzednio wymienionego Łempickiego, wybijającego się zdolnościami i uznaniem. Ułatwmy temu człowiekowi i jego zwolennikom ugruntowanie stanowiska wśród własnych rodaków i nadajmy jego dążeniom dobry kierunek. Później będziemy mogli wespół z tą grupą wypracować projekt stworzenia polskiej państwowości i wywołać w ten sposób wrażenie, że propozycje w większej części pochodzą od nich samych.

⁹⁾ Ma tu na myśli autor Klub Państwowców Polskich założony w lecie 1916 r. przez Wł. Studnickiego, co było w ten sposób tłumaczone na niemiecki język, jako że dosłownie przetłumaczyć się nie da. Ale to właśnie tłumaczenie utrudniało rozróżnienie nazwy tego Klubu od nazwy Ligi Państwowości Polskiej, założonej jeszcze w marcu 1915 r. w Łodzi, będącej pewnego rodzaju ekspozyturą polityczną N.K.N. na zabór rosyjski, a której głównym działaczem był poseł do Dumy, Michał Łempicki.

¹⁰⁾ To znaczy Wileńszczyznę.

¹¹⁾ Idzie tu o korekturę granicy Królestwa Polskiego na rzecz Prus, o czym stale mówiono w wojskowych sferach niemieckich. Odnosi się wrażenie, że autor memoriału bynajmniej nie był z taką korekturą granic, ale zdając sobie sprawę z nastrojów panujących wśród tych, dla których memoriał był przeznaczony, umieścił to zdanie wbrew swemu istotnemu przekonaniu. Jest ono bowiem sprzeczne z duchem całości jego wywodów.

Z tą przez nas stworzoną namiastką parlamentarną można będzie wszystkie kwestie polskiego zagadnienia rozważyć, bez wciągania na razie Austrii. Jeśli się potem uda znaleźć wspólnie opracowane rozwiązanie, wtedy przedstawi się je Austrii, a opór jej będzie tym mniejszy im więcej sami Polacy będą ujmowali się za realizacją tego projektu.

Podobnie i pod kątem widzenia światowej polityki ma rozwiązanie polskiego problemu wielkie znaczenie. W ostatnich dziesięciu miesiącach usiłowało nasze mocarstwo zadawać na peryferii olbrzymiej areny wojennej ciosy, od których oczekiwano rozstrzygającego skutku: w Serbii¹²⁾, Małej Azji¹³⁾, Włoszech¹⁴⁾, pod Verdun¹⁵⁾, na Morzu Północnym za pomocą floty i łodzi podwodnych¹⁶⁾. Wszystkie te próby doprowadziły do większych albo mniejszych powodzeń, ale żadna nie mogła doprowadzić do jakiegoś rozstrzygnięcia. Z konieczności zatem zwraca się uwaga nasza na Wschód, na gigantyczny teatr największych czynów wojennych Niemiec. Szczególnie silnie zwrócona jest tam uwaga w obliczu obecnych fatalnych klęsk austriackich, które u nas wszystkich na nowo obudzają uczucia niebezpieczeństwa na Wschodzie. Wschodni teren wojny jest jeszcze dlatego popularny w narodzie niemieckim, ponieważ tam rozwinął się największy geniusz niemiecki¹⁷⁾, a także i dlatego, ponieważ nas Niemców przyjmują w nowo zajętych prowincjach nie jako wrogów i zdobywców, ale jako oswobodzicieli. Z konieczności wszystko łączy się w życzeniu aby przerwana działalność Hindenburga została na nowo podjęta i doprowadziła tam do rozstrzygającego zwycięstwa¹⁸⁾.

Takie wojskowe wystąpienie byłoby energicznie poparte pod względem politycznym przez równoczesne stworzenie państwa polskiego zewnętrznie wykończonego; taki twórczy akt, zwłaszcza jeśli by znalazł uznanie wśród Polaków, udowodnił by całej zagranicy, że Niemcy są

¹²⁾ Idzie tu o ofensywę austro-niemiecko-bułgarską, rozpoczęto 6.X.1915, która doprowadziła do zajęcia całej Serbii.

¹³⁾ Nie wiadomo o czym myśli autor; zapewne idzie mu o walki na półwyspie Gallipoli, ewakuowanym 10 stycznia 1916 przez wojska angielsko-francuskie.

¹⁴⁾ Mowa tu zapewne o operacjach austriackich między Adygą a Brentą między 15 maja a 3 czerwca 1916.

¹⁵⁾ Pierwsza faza gigantycznej bitwy pod Verdun rozpoczętej 21.II.1916 a skończonej pod koniec czerwca t.r.

¹⁶⁾ Bitwa w Skagerraku 31.V.1916, jedyna wielka bitwa morska w czasie Wojny Światowej, skończona zresztą strategicznym niepowodzeniem niemieckim. Walka łodziami podwodnymi rozpoczęta została przez Niemcy jeszcze 18 lutego 1915. Najgroźniejszym było zatopienie okrętu pasażerskiego „Lusitania” 7 maja 1915.

¹⁷⁾ To znaczy Hindenburg.

¹⁸⁾ Zdanie to jest echem tych rozważań w decydujących sferach niemieckich, które doprowadziły do tego, że w lipcu 1916 Hindenburg otrzymał dowództwo nad całym prawie frontem rosyjskim, wskutek czego podlegały mu też niektóre armie austriackie. Zresztą już 29 sierpnia objął po gen. Falkenhaynie szefostwo sztabu generalnego, to znaczy faktyczne naczelne dowództwo.

oswobodzicielami i pomniejszył by ciężar zarzutu, że są zaborcami. Ba, istnieją Polacy (Studnicki), którzy chcieliby natychmiast po stworzeniu polskiego Królestwa wypowiedzenia wojny Rosji przez to nowo utworzone państwo polskie, zwiększenia Legionów Polskich z 60.000 do 600.000 ludzi do walki z Rosją i w ten sposób stworzyć niemiecko-polskie braterstwo broni¹⁹⁾.

Może ten plan być fantastyczny*), a z powodów wojskowych nawet nie pożądanym, to jednak świadczy on, że idea natychmiastowego stworzenia państwa polskiego i to jeszcze w czasie wojny wywołała wielki entuzjazm wśród Polaków, a zatem pozwoli, by ekspansja niemiecka na Wschód mogła wydać się sympatyczną dla całego świata.

Powyższe wywody mają uzasadnić następującą propozycję:

- 1) Natychmiastowe stworzenie zdolnego do rokowań ciała polskiego i jego przywódcy**) (Klub państwowości polskiej, Łempicki).
- 2) Zapoczątkowanie rozwiązania polskiego zagadnienia przez współpracę z tym ciałem.

Wszelkie dalsze niezdecydowanie i przeciąganie tych prac wychodzi nam na szkodę. Czym dłużej czekamy, tym będzie trudniej rozwiązać polskie zagadnienie. A gdyby się szczęście wojenne od nas odwróciło, i musielibyśmy oddać Rosji Polskę z powrotem, to pomimo to praca ta nie poszłaby na marne, ponieważ zdobędziemy sobie sympatie Polski na wszystkie czasy, jeśli pokażemy praktycznie dobrą wolę, by tworzyć państwo polskie.

¹⁹⁾ Wiedzieli o tym austriacy, a świadectwo temu daje A. Hausner w swej książce „Die Polenpolitik und die Mittelmächte” (Wien 1935), pisząc na str. 67: Po niemieckiej stronie wyzyskano katastrofę pod Łuckiem, za którą powszechnie odpowiedzialność rzucano na austro-węgierskie dowództwo, aby wykazać polityczną i wojskową słabość Austro-Węgier. Pan Studnicki, założyciel „Klubu zwolenników państwowości polskiej” (K.P.P.) starał się skrzętnie podniecać nastroje przeciw Austro-Węgom i korzystał ze sprawy Łucka, aby otwarcie omawiać konieczność stworzenia polskiej armii pod niemieckim kierownictwem i tym samym stworzyć problem, który miał potem przez długi czas zajmować Polskę.

*) Wedle zdania wielu wojskowych plan ten nie jest bynajmniej fantastyczny, jak się autor później dowiedział [dopisek własnoręczny autora].

**) Jak się później okazało, klub ten jest sam do tego nie zdolny [dopisek własnoręczny autora]. Tym samym złudzeniom oddawał się Beseler, co wynika z jego raportu do cesarza z 22 lipca 1916. — Archiwum Inst. J. P.]

S P R A W O Z D A N I A

Z mynulo. (Z przeszłości). T. I. Warszawa 1938, str. 157. (Prace ukraińskiego Instytutu Naukowego).

Nowe wydawnictwo którego tom pierwszy omawiamy, nosi specjalny charakter, a celem jego jest zbieranie i publikowanie materiałów do historii ruchów społeczno-politycznych na Ukrainie w XIX w. oraz, odnoszących się do walk wyzwoleniczych w latach wielkiej wojny. Konieczność takiego wydawnictwa powstała także z chęci udostępnienia i ewidencji materiałów ze zbiorów prywatnych, które na skutek emigracji z Ukrainy mogłyby zagań. Prezentowany w omawianym tomie materiał nosi charakter dość różny i chronologicznie obejmuje okres od połowy XIX w. do 1920 r. Na zawartość tomu składają się następujące prace. J. Mikkola — „Wspomnienia charkowskie”. Krótkie wspomnienia z lat 1889/90 z czasu pobytu autora, obecnie profesora uniwersytetu w Helsinkach (na studiach w uniwersytecie charkowskim). D. Doroszenki — „Dyplomata pruski o separatyzmie ukraińskim w r. 1861”. Szkic ten dotyczy relacji sekretarza poselstwa pruskiego w Petersburgu v. Schlözera, o możliwościach oderwania Ukrainy od Rosji (Klein Russland). W. Lewyńskiego — „Dragomanow i dragomanowcy w świetle tajnych dokumentów austriackich”. Jest to szereg opublikowanych ciekawych listów i dokumentów, pochodzących ze spalonego przed kilku laty archiwum austriackiego ministerstwa sprawiedliwości, skąd jeszcze przed pożarem poczynione zostały ich odpisy. W. Sieroszewskiego — „Ukraińcy zesłańcy na Syberii”, — zawierają osobiste wspomnienia autora z czasów pobytu jego na zesłaniu. O. Łotockiego — „Przyczynek do światopoglądu ukrajinofila starej daty”, zawiera szereg listów z korespondencji J. Rudczenki-Biłyka z M. Dragomanowem, dotyczących w treści ruchu ukraińskiego z lat siedemdziesiątych ub. w. Listy, pochodzą z archiwum Dragomanowa, D. Doroszenki — „Ruch ukraiński w dziewięćdziesiątych latach ubiegłego stulecia w oświetleniu konsula austriackiego w Kijowie”. Fragment ten dotyczy aresztowań przeprowadzonych przez Rosjan wśród Ukraińców w 1893 w Kijowie i naświetlenie ich przyczyn w raporcie konsula austriackiego Sedlaczka. Szereg ciekawych momentów dla pierwszych prób organizacyjnych ukraińskich daje artykuł W. Leontowicza pt. „Wspomnienia moich spotkań z działaczami ukraińskimi starszego pokolenia”. K. Bezkrówny w swoim wspomnieniu daje obraz życia i działalności W. Skydana na Kubaniu w ll. 1900—1911. W. Kozłowski zamieszcza wspomnienie o ukraińskim stowarzyszeniu muzyczno-dramatycznym p. n. „Hromada” w artykule pt. „Z życia kolonii ukraińskiej w Moskwie na początku bieżącego stulecia. Bardzo ciekawy jest artykuł D. Doroszenki pt. „Przed

trzydziestu laty" w którym zamieścił referat W. Lipińskiego wygłoszony na nielegalnym zjeździe w Kijowie w lutym 1909 r. Zjazd ten odbył się w związku z myślą wydawania „Przeglądu Krajowego” które to czasopismo po wydaniu 14 numerów przestało wychodzić. Wydrukowany także „Prospekt Przeglądu Krajowego” łącznie z referatem daje ciekawy materiał i rzuca charakterystyczne światło, na sposoby i możliwości, oraz kolaborację polsko-ukraińską na terenie Ukrainy. Omawiany tom zamyka F. Matuszewskiego „Z dziennika ukraińskiego posła. Są to wyjątki z pamiętnika przewodniczącego misji ukraińskiej, wysłanej do Grecji w 1919 r. opracowane przez syna, który zresztą jako kilkunastoletni chłopiec bawił podówczas w Grecji ze swoim ojcem.

J. S.

ANRICH ERNST: Europas Diplomatie am Vorabend des Weltkrieges. Eine Bilanz der Wissenschaftlichen Forschung über die Vorgeschichte des Weltkrieges und die Julikrise 1914. Berlin, 1937, str. 85.

Historiografia nowych, narodowo-socjalistycznych Niemiec nie ma jeszcze dość wyraźnego oblicza. Powody tego są całkiem proste. Historycy dojrzałi, historycy, którzy w r. 1933 mieli już pewien poważniejszy dorobek naukowy prawie wszyscy zostali usunięci i jeśli nie wyemigrowali, to w kraju nie mają ani zbyt wielu możliwości pracy i ogłaszania wyników swych badań, ani zapewne i zbyt wielkiego zapału do pracy w warunkach tak sprzecznych z tym wszystkim co do tej pory uważali za podstawowe warunki rozwoju niezależnej nauki. Młode pokolenie narodowo-socjalistycznych uczonych stawia natomiast pierwsze kroki i jeszcze nie stworzyło takich dzieł, któreby pozwoliły tę nową historiografię bliżej określić. Dlatego też należy powitać z zainteresowaniem prace niemieckie, które są pewnego rodzaju podsumowaniem badań. A właśnie praca docenta uniwersytetu w Bonn, dra Anricha o europejskiej dyplomacji w przededniu wojny światowej stawia sobie jako cel danie bilansu badań naukowych nad tym naczelnym problemem najnowszej historii niemieckiej, jakim jest kwestia odpowiedzialności za wojnę, kwestia preliminarzy dyplomatycznych 1914 roku i tego wszystkiego co się stało w lipcu owego pamiętnego roku.

Anrich ma w tej dziedzinie własny i to poważny dorobek, a mianowicie ogłosił już w r. 1931 książkę pt. *Die jugoslawische Frage und die Julikrise 1914*, w której przedstawił rolę problemu południowej słowiańszczyzny w przyczynach wielkiej wojny, określając wagę i możliwości tzw. trializmu austriackiego, a w r. 1934 obszerne dzieło pt. *Die englische Politik im Juli 1914*, gdzie starał się zbadać rolę Anglii w przełomowych tygodniach w przededniu wybuchu wojny, przy czym szczegółowo zanalizował sam przebieg owych dramatycznych tygodni, będący jak wiadomo do dziś dnia jednym z najbardziej spornych zagadnień historyczno-politycznych. Te dwie pozycje bibliograficzne czynią Anricha kompetentnym wyrazicielem nowej nauki niemieckiej, a jego prace o charakterze ideologicznym wskazują, że jest on również kompetentnym jako wyraziciel ogólnych tendencji ideowo-politycznych obecnych Niemiec. Dlatego przystępując do czytania wywodów Anricha można z góry założyć, że daje on wyraz nie tylko swoim własnym, osobistym poglądom, ale że jego poglądy w mniejszym czy większym stopniu będą autorytatywne, to znaczy obowiązujące dla innych jego kolegów, pracujących nad tym samym zagad-

nieniem. Nie można bowiem nie brać pod uwagę zasadniczego dla nauki niemieckiej zjawiska, że jest ona podporządkowana pewnym ogólnym wytycznym, pewnym obowiązującym tendencjom, do których musi przystosować wyniki swych dociekań. Można więc przejawiając ten stan powiedzieć, że każde dzieło nauki niemieckiej jest zarazem reprezentatywnym jej dziełem. Jeśli jednak idzie o pracę Anricha, to jest ona niewątpliwie reprezentatywna, jako że daje „bilans”, a więc ogłasza pewne tezy ogólne, te zaś przypuszczalnie były uzgodnione z instancją decydującą.

Jakie więc są tezy tego „bilansu”? A więc po pierwsze autor przeciwstawia sobie najbardziej zasadniczo dwa systemy europejskie w okresie przedwojennym. Pierwszy system to był system Bismarcka, a drugi system Ententy. Bismarck stworzył system, który miał na celu utrzymanie pewnego porządku europejskiego, porządku, któryby dał Europie pokój przy czym dla żelaznego kanclerza decydującymi nie były egoistyczne interesy niemieckie, ale głębokie poczucie religijne. „Pokój europejski był zapewniony, oczywiście także w niemieckim interesie, ale nie tylko w niemieckim interesie, ale także w poczuciu głębokiego obowiązku wobec Europy i pokoju” — tak formułuje Anrich (str. 12) charakter systemu bismarckowskiego. Nie można oprzeć się przekonaniu, iż Anrich ten bismarckowski system idealizuje i oto w podwójnym tego słowa znaczeniu. Po pierwsze każdy badacz epoki bismarckowskiej wie doskonale, iż po wojnie z Francją dla Bismarcka głównym dążeniem było izolowanie Francji, a jego największą obawą była koalicja antyniemiecka — ten słynny „cochemar de la coalition”. Niemcy były potęgą — jak się sam kanclerz wyrażał — „saturowaną”, nasyconą, więc nie chciały wojny, w której nie mogły wiele zyskać, a mogły wiele stracić. Jednym słowem te same pobudki nim kierowały, które na dalszych stronach swej pracy potępia autor przy omawianiu okresu po wersalskiego, gdzie znowu mocarstwa zachodnie jako „saturowane” pragnęły pokoju i izolowania Niemiec. Ponadto idealizuje autor doskonałość systemu bismarckowskiego w innym znaczeniu tego słowa. Zamilcza bowiem fakt, iż przy końcu był on niesłychanie skomplikowany i tak splątany w wewnętrznych sprzecznościach, iż jedynie nadludzka zręczność i olbrzymi autorytet jego twórcy mogły ten system już chromający utrzymać. Toteż nic dziwnego, że system ten upadł w ciągu kilku odrazu tygodni po upadku Bismarcka. Był najwidoczniej dojrzały do upadku, skoro bez Bismarcka nie mógł przeżyć nawet kilku miesięcy.

Natomiast bardzo przekonywująca jest krytyka polityki niemieckiej okresu Wilhelma II. Tu autor nie kępuje się w wykazywaniu wszelkich błędnych posunięć kierowników Rzeszy w okresie poprzedzającym Wielką Wojnę; błędy te jednak nie są wedle autora zbyt doniosłe ze stanowiska europejskiego, jako że Niemcy straciły w Europie hegemonię, posiadaną za czasów Bismarcka. Natomiast analizując tzw. system Ententy Anrich pragnie uwypuklić dziejową odpowiedzialność Anglii wobec Europy. W ogóle polityka angielska jest naczelnym zagadnieniem tej książki. Nie jest tak jedynie dlatego, że Anrich jest autorem pracy poświęconej specjalnie Anglii, ale dlatego, że tendencja jego wywodów jest wybitnie zwrócona pod adresem Anglii. Jest to bowiem pewnego rodzaju apel do Anglii. Autor stara się wykazać niewspółmierną z istotnym stosunkiem sił materialnych zależność Anglii od przymierza franko-rosyjskiego. Kierującym czynnikiem w Europie wobec istnienia dwu przeci-

wstawnych sobie grup — austro-niemieckiej i franko-rosyjskiej — powinna była być w okresie przedwojennym właśnie Anglia. Tymczasem Anglia nie potraktowała swej roli jako arbitra ale stanęła zdecydowanie po stronie antyniemieckiej wbrew swym interesom i interesom Europy i pokoju. Autor tak się zapala do tej tezy, że chwilami wątpimy czy istotnie w głębi duszy myśli o latach 1907—1914 czy też przypadkiem — świadomie albo i nieświadomie — nie obraca się w kręgu pojęć i sytuacji z okresu pisania swej pracy, kiedy istniało przymierze franko-sowieckie, a Anglia niedość zdecydowanie starała się zająć stanowisko łagodzące konflikty europejskie, dla obrony pokoju.

Bardziej przekonujące są wywody na temat tworzenia się systemu Ententy przez likwidowanie antagonizmów peryferycznych, a skierowywanie ekspansji mocarstw w kierunku dośrodkowym. Kiedy po upadku Bismarcka w latach 90-y zeszłego stulecia sytuacja europejska zaostrzyła się, kiedy zdawało się, iż zbliża się konflikt niemiecko-rosyjski, a równocześnie tworzył się związek franko-rosyjski, wówczas narastająca ogólna pożoga europejska dość niespodzianie odsunęła się z kręgu aktualnych możliwości. Stało się to dlatego, ponieważ zainteresowane państwa rozpoczęły ekspansję pozaeuropejską. Rosja zwróciła się na daleki Wschód, gdzie miała zetrzeć się wkrótce z nową potęgą światową, z Japonią, a Niemcy rozpoczęły żywy ruch kolonialny, który im dał resztki krajów pozaeuropejskich, niebędących jeszcze w posiadaniu starszych potęg kolonialnych. Wówczas wytworzyła się taka sytuacja, iż kontynentalne państwa europejskie niejako zapomniwały o różnicach je dzielących, a zwróciły się dość solidarnie przeciw Anglii. Wtedy to sprawa Faszody omal nie doprowadziła do wojny francusko-angielskiej. Ten okres ekspansyj pozaeuropejskich skończył się jednak dość szybko. Francja nie zapominała o Alzacji i Lotaryngii, a Anglia nie chciała narażać się na wojnę z całą Europą. Doszło więc po paru latach do porozumienia anglo-francuskiego w r. 1904, a równocześnie klęska Rosji na Dalekim Wschodzie zaryglowała Rosji możliwość posuwania się w tamtym kierunku. Rok 1907 likwiduje antagonizm rosyjsko-angielski w Azji. Zarówno Rosja jak i Francja pogodziwszy się z Anglią nie mają już możliwości pozaeuropejskich, wracają do Europy. I to jest sytuacja, która w ciągu paru lat doprowadza do Wielkiej Wojny.

Oczywiście najtrudniejszy dla każdego niemieckiego badacza będzie kwestia często nazywana „Lipiec 1914”. Na zasadzie przebiegu tych kilkunastu dni z końca lipca 1914, w traktacie wersalskim znalazło się stwierdzenie winy niemieckiej w wywołaniu wojny. Z tezą tą jak wiadomo walczy nauka i publicystyka niemiecka od 15 lat. Anrich ma tu więc zadania o tyle ułatwione, iż może się oprzeć na bogatej i poważnej literaturze. Stwierdza on więc w pierwszym rzędzie, że o winie wybuchu wojny w znaczeniu kryminalnym w odniesieniu do żadnego właściwie państwa mowy być nie może. Nie idzie wprawdzie tak daleko jak najwybitniejszy do niedawna protagonista sprawy niewinności Niemiec, A. v. Wegerer, który doszedł do przekonania, że w ogóle żadne państwo europejskie nie chciało w r. 1914 wywołania wojny. Anrich uważa bowiem, że wojny pragnęła Serbia i Rosja — przy czym uznaje, iż aspiracje tych dwu państw z ich punktu widzenia były usprawiedliwione — oraz Francja. Francja wedle Anricha nie ma jednak uzasadnienia dla swych wojennych aspiracji, ponieważ dążyła do odzyskania Alzacji i Lotaryngii, a prowincje te są wedle niego etnicznie niemieckie. Nato-

miast wielką winę historyczną ponosi Anglia, bo dała się kierować swym sojusznikom, a nie kierowała nimi, nie miała tej roli kształtującej jaką w poprzednim okresie sprawował dla dobra Europy i pokoju Bismarck. Ponadto według Anricha na Anglii ciąży jeszcze inny zarzut. Jej bowiem dyplomacja, świetnie zorientowana w istotnym przebiegu zdarzeń, od początku tworzyła świadomie legendę o winie Niemiec. Ona to zatruła atmosferę europejską swoją propagandą, która oczerniała Niemcy i dlatego pośrednio Anglia odpowiedzialna jest za to wszystko, co po zakończeniu wojny dzieje się w Europie. Oczywiście te ostatnie twierdzenia Anricha są mało przekonywujące, ale świadczą wymownie, jak dalece to, co się w Niemczech pisze w dziedzinie nauki, zawsze jest związane z dniem dzisiejszym i potrzebami aktualnymi polityki państwa niemieckiego.

Jeśli więc naukowiec takie nastawienie razi, to jednak trzeba przyznać, że rzecz postawiona jest na wysokim poziomie, że argumenty wszelkie mają swoje oparcie w materiale źródłowym, że ponadto książka ta pisana jest żywo i bardzo inteligentnie. W ten sposób spełnia ona zadania jakie autor postawił, a mianowicie nie ma to być studium analityczne. „Opracowanie to — jak zaznacza autor (str. 54) — ma za zadanie uwypuklić rzeczy istotne. Jest ono wynikiem, a nie dowodem”.

Henryk Wereszycki.

Ks. KAROL BANSZEL ew. kapelan W, P.: **Komendant Batalionu Pierwszej Brygady Eugeniusz Słomka-Dreszer.** Warszawa 1939. Wyd. Koła Opieki nad żołnierzem ewangelickim przy ewangelickim kościele Garnizonowym w Warszawie.

Jakoś niepostrzeżenie minęło ukazanie się tej broszury o jednej z piękniejszych postaci żołnierskich Legionów, a jednocześnie... niesłusznie jakby zapomnianej: Słomce-Dreszerze.

Krótkie było jego życie, jeszcze krótsza służba żołnierska. Urodzony 2 września 1895 r., mając lat zaledwie 17, jako uczeń gimnazjalny, należy do Strzelca, a niebawem do Związku Walki Czynnej. Zwrócił na siebie uwagę Józefa Piłsudskiego, który pozwolił na przyjęcie go do Szkoły Oficerskiej mimo młodocianego wieku. Szkołę kończy w 1913 r. i zostaje jej instruktorem i wykładawcą we Lwowie. Jednocześnie organizuje w okolicach podwarszawskich oddziały strzeleckie z młodzieży robotniczej, rzemieślniczej i chłopskiej. Po wybuchu wojny bierze udział w mobilizacji okręgu lwowskiego strzelców, a następnie 28.VIII podąża z transportem ochotników do Krakowa. Chce jechać natychmiast do Kielc, lecz rozkaz zatrzymuje go na miejscu. Dopiero w połowie września z oddziałem uzupełniającym spieszy ku przeprawie na Wiśle w Szczucinie, dokąd maszeruje właśnie z Kielc Józef Piłsudski ze swymi strzelcami. W Szczucinie nie pozostaje bezczynny: wykonywuje z plutonem śmiały wywiad w stronę Połańca, spotyka się z patrolami kawalerii rosyjskiej — otrzymuje chrzest ogniowy. Nie dopuszcza wroga na linię odwrotu strzelców, broni przepawy przez Wisłę. Pełen radości witał za parę dni strzelców i swego Wodza. Już był pewien, że pozostanie w koleżeńskim gronie żołnierskim w bezpośrednim zetknięciu z wrogiem, ale rozkaz Komendanta przeznaczył go narazie do innej służby. Wysłany zostaje do dyspozycji organizujących akcję

werbunkową w uwolnionych od Moskali okolicach Królestwa „Rysia”-Trojanowskiego i Boenera. Jedzie więc ze ściśniętym z żalu sercem do Krakowa, skąd dalsze etapy jego służby — jeszcze pozafrontowej — to Zawiercie, Częstochowa, wreszcie... Łódź. Tu dopiero znalazł większe pole do popisu. Licznie zgłasza się tu młodzież pragnąca walczyć „o Polskę pod Piłsudskim”. Tworzy się batalion ochotniczy. Słomka zostaje adiutantem dowódcy batalionu Boenera, dowodzi kompanią, organizuje, ćwiczy. Jest przeniknięty nadzieją, że teraz napewno z przygotowanym przez siebie żołnierzem zostanie „na froncie”. Istotnie batalion przybywa w październiku do Krakowa, stąd dochodzi pod Krzywopłoty. Słomka przeżywa tę wielką i krwawą bitwę, widzi poraz pierwszy okrucieństwo bitwy, oplakuje pierwsze bliskie sercu ofiary. Szczęście mu służy tym razem. Z bitwy wychodzi cało, a następnie po reorganizacji w Szafarach rusza ponownie ku strzelcom, którzy po pełnej chwały „Kampanii Podhalańskiej”, już jako I Brygada Legionów, stali w Nowym Sączu. Nim jednak tu doszedł, Brygada zaalarmowana podążyła na północ pod Tarnów. Batalion mjr. Ryłskiego spieszy za nią i dogania forsownym marszem w trakcie boju pod Łowczówkiem. No, już teraz zostanie napewno w Brygadzie. Tymczasem bitwa rozwija się, pochłania coraz to nowe i coraz cięższe straty. Ginią żołnierze i oficerowie, padają dowódcy batalionów. Do Komendy Brygady przychodzi żałobna wiadomość o śmierci dowódcy I Batalionu Kuby-Bojarskiego. Dowodzący bitwą płk. Sosnkowski wyznacza mu dowódcę osieroconego batalionu Słomkę-Dreszera. Na polu walki został dowódcą batalionu odrodzonego Wojska Polskiego. Ziszczają się najgłębsze jego marzenia! Batalionem dowodził... kilka godzin.

Broszura zawiera relację towarzysza broni, legionisty Józefa Grzybą o śmierci Słomki. Warto ją za nią powtórzyć: Dnia 25 grudnia objął komendę I Batalionu po zabitym dnia poprzedniego w kontrataku ś. p. kpt. Kubie-Bojarskim ob. porucznik Słomka-Dreszer, co nas bardzo ucieszyło, bowiem ob. Słomkę znaliśmy jeszcze ze Lwowa i on był naszym przełożonym, instruktorem i wychowawcą w związku strzeleckim — pisze Józef Grzyb. — Około godziny 9 zauważyliśmy przesuwanie się nieprzyjaciela pojedynczo do obok położonego lasu, co wywołało u nas otwarcie ognia karabinowego, który został przerwany przez zapadającą bardzo gęstą mgłę. Była ona tak gęsta, że na kilkanaście kroków nie było nic widać... Korzystając z przerwy w walce, niektórzy z nas poszli zgotować sobie herbatę lub zagrzać konserwę do opodal palącej się (wskutek uderzenia granatu) chałupy, gdyż w całej bitwie pod Łowczówkiem żywiliśmy się wyłącznie zimnymi konserwami mięsnymi. Kiedy powróciłem do okopów, mgła zaczęła się podnosić i obustronna strzelanina rozpoczęła się na nowo, gdyż oddziały rosyjskie podeszły do nas na około 150 m. Będąc już w odległości szturmowej, Rosjanie do szturmu nie ruszyli, a nawet jeden z nich podniósł rękę do góry (w drugiej trzymał karabin) z krzykiem, by nie strzelać, gdyż oni chcą się poddać. Przestaliśmy strzelać, a kiedy kilku z nas podniosło się z okopów w celu wyjścia i zabrania ich do niewoli, ówczesny komendant komp. ob. por. Dąb-Biernacki wydał zakaz wychodzenia po nich z okopów, wzywając Rosjan do złożenia broni. W odpowiedzi na to cała linia rosyjska poderwała się z okrzykiem „hurra” do szturmu. Przyjeliśmy ich atak, jak na staropolską gościnność świąteczną, zgola niegościnnie, zasypując ich gradem kul z karabinów maszynowych i ręcznych tak, że byli zmuszeni szturm.

przerwać i szukać w terenie schronu przed rażącymi ich pociskami. W tym samym czasie ob. Słomka wybiegł z Komendy Baonu w kierunku okopów, dając nam jakieś znaki czy rozkazy, których z powodu strzelaniny nie mogliśmy zrozumieć, a równocześnie zauważyliśmy, że ob. Słomka od czasu do czasu odwraca się i strzela z rewolweru do kogoś dla nas niewidocznego. Wówczas ob. Dąb-Biernacki podbiegł do komendanta baonu, od którego otrzymał rozkaz natychmiastowego cofania się. Maszerując w tym całą linią ostrzelaliśmy przeciwnika przed nami. Po wyjściu na wzgórze okazało się, że Rosjanie pod osłoną gęstej mgły rozbili oddziały austriackie, stojące na prawo od nas, i przez powstałą wskutek rozbitcia lukę dostali się na nasze tyły. Sytuacja przedstawiała się dla nas bardzo groźnie, gdyż wszyscy, nie wyłączając sztabu pułku i brygady, znaleźliśmy się w saku (w formie litery V) atakowani z trzech stron, przy czym w niektórych miejscach, walka dochodziła do starcia wręcz... W walce tej zginął śmiercią bohaterską ob. por. Słomka-Dreszer... przy czym ogólne straty I Brygady w całej bitwie wynosiły około pięciuset zabitych i rannych łącznie z oficerami”.

Jak wiadomo zwłok Słomki nie odnaleziono. Najprawdopodobniej ciężko ranny dostał się do niewoli, w której niebawem zmarł, nierozpoznany i pochowany przez Rosjan w nieznaney dziś mogile.

Prócz tej relacji broszura zawiera garść wiadomości o rodzinie Słomki, niestety nie we wszystkich szczegółach ściśle, oraz ilustracje m. in. 2 podobizny jego samego w mundurku gimnazjalnym i w mundurze strzeleckim oraz podobizny rodziców.

Rażą błędy korektorskie, jak np. pod podobizną Słomki na czołowej stronie Toruń zamiast Tarnów.

Dr Stefan Pomarański.

JAN ROGOWSKI: „W obronie Lwowa”. Lwów 1939. Str. 143.

Książka Rogowskiego jest uzupełnionym i rozszerzonym trzecim wydaniem jego dawniejszej pracy pt. „Z walk o Lwów”. Dzieli się na dwie zasadnicze części, z których pierwsza jest historycznym przedstawieniem bojów lwowskich, zaś druga zawiera osobiste wspomnienia z kampanii polsko-ukraińskiej 1918/19. Jeżeli chodzi o źródła, to autor może nie wykorzystał je w zupełności, jednakowoż uwzględnił najważniejsze nie tylko polskie ale i ukraińskie. Tak samo rzecz ma się z literaturą przedmiotu. Można się nie zgadzać z autorem co do konstrukcji pracy, w której wyodrębnił osobno stronę ukraińską, przez co oczywiście osłabił wartość pracy, jednak nie stworzył przez to obrazu zniekształconego. Jako zarys historii Obrony Lwowa stanowi książka Rogowskiego pozycję dodatnią. Tak samo część druga gdzie zamieszczone zostały wspomnienia osobiste jest bez zarzutu. Pisana żywo, dobrym stylem, czyta się łatwo. Również pod względem zewnętrznym ma wygląd estetyczny. Trochę może szwankuje korekta (str. 11 — zamiast Profirogenety winno być Porfirogenety) jak też określenie geograficzne np. str. 11 — „granica biegnie w wielkich załamaniach aż do granicy Królestwa” co stwarza niejasność. Nie wydaje mi się również szczęśliwym i odpowiadającym istocie rzeczy określenie autora, ruchów kolonizacyjnych na teren Wschodniej Małopolski „ludność rzymsko-katolicka” (str. 12), ale są to rzeczy drobniejszej wagi. Ustępowy pod tytułem „Znaczenie

Małopolski Wschodniej dla Polski str. 14—16 zawiera osobiste zapatrywania i sądy autora, będące jego prywatną własnością, z którymi napewno wielu ludzi by się nie godziło. Równocześnie sprawy te pod kątem widzenia takim jak je ujął autor, nie powinny raczej znaleźć się w książce, która ma być przeznaczona dla młodzieży, ponieważ stwarzać mogą sugestię o przynależności Małopolski Wschodniej jako kwestii dyskusyjnej.

Z drobnych uwag zaznaczyć trzeba, że autor na wstępie rozdziału o przygotowaniach polskich i ukraińskich (str. 17) idzie za daleko w wyciąganiu wniosków, o polityce Niemców w stosunku do Ukraińców, tym bardziej że w późniejszych partiach pracy sam stwierdza słabość organizacyjną Ukraińców. Autor za słabo uwydatnia tło i mało mówi o ówczesnym położeniu ogólnoswiatowym, rewolucjach austriackiej i niemieckiej. Mimo tych usterek praca przedstawia wartość jako podręcznik popularno-naukowy z dziedziny historii Obrony Lwowa.

J. S.

Obrona Lwowa 1—22 listopada 1918. T. III. Organizacja listopadowej obrony Lwowa. Ewidencja uczestników walk. Lista strat. Lwów 1939, str. 590.

Tom trzeci Źródeł do dziejów walk o Lwów i województwa południowo-wschodnie obejmuje zasadniczo listę uczestników obrony Lwowa, wraz z listą strat. Ewidencja, którą ustalono drogą weryfikacji przez komisje przy Zw. Obrońców Lwowa, została sporządzona odcinkami względnie pododcinkami, co dało możliwość zarówno kontroli jak i pełnego wykazu uczestników obrony. Strona techniczna książki przedstawia się wzorowo. Wykazy i tablice statystyczne dają obraz bardzo plastyczny i pouczający. Indeks alfabetyczny pozwala na szybką orientację w materiale i wyszukanie odpowiednich pozycji.

Skład osobowy każdego pododcinka, czy w ogóle komórki organizacyjnej został poprzedzony przez redaktorów krótkim wstępem podającym w zarysie czas sformowania, zasięg działalności, przebieg działań bojowych względnie pracy. W ten sposób zostały uchwycone i zestawione wszystkie momenty i elementy składające się na obronę Lwowa. Tom trzeci stanowi uzupełnienie dwu poprzednich, które zawierają relacje uczestników i wraz z nimi stanowi zamkniętą całość. Redaktorami tomu byli J. Klink i dr E. Wawrzkowicz. Bardzo bogaty dział ilustracyjny ożywia i wzbogaca tom.

J. S.

EUGENIUSZ WAWRZKOWICZ i JÓZEF KLINK: Walczący Lwów w listopadzie 1918 r. Warszawa 1939, str. 121 (146 rycin i 1 mapka).

Niewielka książeczka pod względem objętości, jest odbitką tych partii tekstu z III t. Obrony Lwowa, które stanowią wstępy do poszczególnych ewidencji odcinków Obrony Lwowskiej. Umieszczone zostały w niej również wszystkie fotografie, które stanowią materiał ilustracyjny trzeciego tomu Obrony. Pojawienie się tej książki jest bardzo pożądanym zjawiskiem, ponieważ spełni rolę wprowadzającą przyszłego badacza zarówno w materiał historyczny jak i ogólną historię Obrony Lwowa.

J. S.

v. d. GOLTZ GRAF Rüdiger: „Als Politischer General im Osten” (Finland und Baltikum) 1918 und 1919. Lipsk 1938, str. 173.

Wspomnienia generała Goltza, głównodowodzącego sił niemieckich w Finlandii, Estonii i na Łotwie w latach 1918 i 1919, pojawiły się po raz pierwszy w druku w 1920 roku pt. „Moja misja w Finlandii i nad Bałtykiem”. Zostały one jednak w swej obecnej reedycji nie tylko uzupełnione i rozszerzone, ale zgoła przefasonowane. Autor nadał im charakter aktualno-polityczny w związku z dążeniami ekspansywnymi Niemiec III Rzeszy ku Wschodowi. Generał Goltz we wspomnieniach swych zatytułowanych „Jako polityczny generał na Wschodzie” formułuje poniekąd akt oskarżenia przeciw rządowi niemieckim z lat 1918 i 1919, że hamując jego akcję na tym terenie i zastanawiając ją wreszcie, zupełnie zmarnowały wielkie możliwości ekspansji Niemiec i wydały z ręki poważne atuty bez żadnej zgoła rekompensaty.

Generał Goltz nie poprzestaje na przedstawieniu swych militarnych poaciągnień i sukcesów, ale omawia przede wszystkim swe osiągnięcia i plany polityczne, i podkreśla, że właśnie ściągnięcie go z zajmowanej placówki uniemożliwiło zrealizowanie projektowanej wielkiej antibolszewickiej kampanii. W ten sposób rozprawia się generał Goltz z tymi, którzy zniesławili go swego czasu i zarzucili mu, że jest „politycznym generałem”, i przekroczył swe kompetencje. Goltz uważa, że słusznie zarzut ten jest tytułem do chwały. Czuł się niejako z tradycji rodzinnej predestynowany do tej roli, gdyż wywodzi się z kresów wschodnich, a ród jego „przez szereg pokoleń występował w obronie niemieckości i wiary protestanckiej przeciw zakusom słowiańskiego szowinizmu i jezuitów zarówno w kraju samym, jako też w charakterze przywódców „dysydentów” na polskich sejmach. Za zasługi na tym polu przodkowie jego uzyskali w r. 1772 od królów pruskich tytuł hrabiowski”.

Polski czytelnik znajdzie we wspomnieniach generała Goltza interesującą wiadomość, że w lecie 1919 zgrupowano nad granicą niemiecko-polską znaczniejsze siły niemieckie, gdyż liczone, że w razie niepodpisania przez Niemców traktatu wersalskiego wojska polskie przekroczą granice. Autor twierdzi, że właśnie akcja jego uratowała Europę przed zalewem bolszewizmu. Motywuje to w sposób mniej więcej taki (str. 162): „W 1919 roku bolszewizm został wyparty z zasiedlonych przez Niemców ziem nadbałtyckich i odepchnięty w głąb Rosji. We Francji i w Polsce starają się przedstawić zwycięstwo francuskiego generała Weyganda i polskiego Marszałka Piłsudskiego nad bolszewikami latem 1920 jako ratunek zachodniej kultury... Jednak tylko niemieckie zwycięstwo nad bolszewikami w 1919 roku stworzyło takie warunki, że Polacy mogli po raz wtóry odrzucić bolszewików do Rosji”... Tak więc, wedle Goltza, jego zastępom nadbałtyckim należy się przede wszystkim tytuł obrońców kultury zachodnio-europejskiej. W ten sposób stali się też ci ostatni niemieccy frontowi żołnierze, pionierami i bojownikami III Rzeszy, która walkę z bolszewizmem wypisała na swych sztandarach. „Także i inny cel dzisiejszej Rzeszy, przywrócenie jej obronności (Wiederwehrhaftmachung) zawdzięcza swój początek szeregom nadbałtyckim, które walczyły do ostatka w imię honoru i wolności”.

Dziwną wymowę mają enuncjacje hr. Goltza, który przyznaje, że celowo przeciwstawiał się ze wszelkich sił zarządzanej przez Ententę ewakuacji kra-

jów nadbałtyckich. Zamierzał bowiem stworzyć tam bazę operacyjną, aby obalić ugodowo nastawiony rząd niemiecki, a następnie zaś reżim bolszewicki w Rosji, by z pomocą wprowadzonego tam „rządu białego”, podległego niemieckim wpływom organizacyjnym, przeciwstawić się wreszcie skutecznie państwom zachodnim i zrealizować wielką misję kulturalną Niemiec na wschodzie.

Z. Krzemicka.

LLOYD GEORGE: Wspomnienia wojenne. T. III. Warszawa 1938, str. 431.

Omawiany tom trzeci „Wspomnień” odpowiada w treści 5 i 6-mu tomowi oryginału angielskiego. Chronologicznie obejmuje okres od końca 1917 do zawieszenia broni tj. listopada 1918 r. Treść tomu podobnie jak poprzednich bardzo ciekawa, tekst przeplatany szeregiem dokumentów współczesnych dobitnie ilustruje nastroje panujące wśród kół kierowniczych Ententy, zarówno cywilnych jak i wojskowych. Co do tych ostatnich to ogólny sąd L. Geорга wypadł tak samo surowo jak i w tomach poprzednich. W walce jaka rozgrywała się między sztabem angielskim a rządem posunięto się nawet do zdrady tajemnic wojskowych, co specjalnie ostro autor podkreśla. Z ogólniejszych poruszanych kwestii, to sprawa jednolitego dowództwa nad wojskami Ententy, która wywoływała wiele niechęci i musiała być przewlekana, jak tłumaczy L. George przede wszystkim ambicjami personalnymi zarówno Haiga jak i Petaina — naczelnych dowódców Anglii i Francji. Charakterystyka Focha podana przez autora dość ogólna, niemniej L. George od samego początku zdecydowanie kandydaturę Focha na Naczelnego Wodza popierał. Tom omawiany zawiera stosunkowo wiele miejsca poświęconego działaniom wojennym, co nie jest dziwne z uwagi na doniosłość bojów przeprowadzonych w 1918 r. zarówno ze strony niemieckiej jak i koalicyjnej. Szereg kapitalnych uwag i myśli kreślonych na marginesie właściwego opowiadania bardzo ożywia tekst. Sądy autora i ocena, szeregu zjawisk jest trafna i spokojna zarówno jeżeli chodzi o stronę przeciwną jak i własną. Natomiast charakterystyka ludzi, zwłaszcza tych, którzy nie byli jego zwolennikami, ostra, nierzadko surowa.

Polskiego czytelnika zainteresują przede wszystkim sprawy polskie, o których kilkakrotnie wspomina, jednak bez przywiązywania do nich większej wagi. Mówi o sprawie polskiej przy okazji przedwstępnych rokowań, które nawiązywała Austria, przy czym w cytowanym raporcie z drugiej ręki, wyrażona jest opinia, że na wypadek zawarcia pokoju Austria rozwiąże sprawę polską w duchu tzw. austro-polskiego pomysłu. Na innym miejscu mówi o Polsce w związku z organizacją nowych sił niemieckich, pisząc że Niemcy mieli już kilka dywizji polskich, co jak wiadomo nie jest prawdą. Widoczne, że wiadomości autora o organizowaniu przez Niemców „Polnische Wehrmacht” były bardzo niedokładne.

Pamiętniki L. Geорга czyta się z dużym zainteresowaniem. Przynoszą dużo ciekawego materiału i nowych oświeśleń do historii wielkiej wojny.

J. S.

BOLESŁAW WALIGÓRA: Walka o Wilno. Okupacja Litwy i Białorusi w 1918—19 r. przez Rosję Sowiecką. Wilno 1938, str. 476 + szkice 8 + 4 fot.

Autor omawianej pracy ma już za sobą szereg studiów z okresu lat 1918—20 wydanych drukiem, z których kilka wiąże się z Wilnem i Wileńszczyzną. Stąd też mógł zdobyć się w stosunkowo krótkim czasie na bardzo obszerną pracę wydaną jako t. 9 Biblioteki wileńskiej. Treścią zasadniczą pracy Wali-góry jest opis wypadków i zdarzeń od końca 1918 r. do 19 kwietnia 1919, które zaszły przede wszystkim na terenie samego Wilna oraz obszaru tzw. wileń-szczyzny i Białorusi z wyłączeniem Mińska. Chronologicznie zatem obejmuje praca okres od wycofania się armii niemieckiej do zajęcia Wilna przez Pola-ków. Ponieważ tekst pracy przedstawia głównie wypadki wewnętrzno-polityczne pod zarządem bolszewickim w tytule powinno raczej nastąpić przesunięcie i t. Walka o Wilno powinna być w podtytule. Jest to zresztą rzecz drobna.

Praca dzieli się na trzy części, które prócz wstępu obejmują 13 rozdzia-łów dzielących się z kolei na krótsze ustępy w których omawiane są poszcze-gólnie zagadnienia interesujące autora. Referowanie drobniejsze treści pracy jest niepotrzebne z uwagi na b. dokładny spis treści książki, który pozwala na dokładne zapoznanie się z zawartością pracy. Sam temat jako poruszający właściwie stosunki obce, choć na polskim terenie, jest pewnym novum i z tego tytułu zasługuje na podkreślenie. Tutaj też można podnieść że korekta pracy w wielu wypadkach pozostawia wiele do życzenia.

Źródła archiwalne pracy to przede wszystkim zbiory archiwum wojskowego a także archiwum miejskiego m. Wilna. Ponieważ brak jest omówienia ma-teriału, nie wiadomo czy autor robił poszukiwania w archiwum M.S.Z. Cha-rakterystyka zarówno archiwalnego materiału jak i relacyjnego jest konieczna z uwagi, że materiał jest po raz pierwszy wykorzystany. Dobrze by było gdyby autor podał wykaz nazwisk relacjonistów wraz z datami powstania relacji. Odnośnie literatury i źródeł drukowanych, to wykorzystał je autor bardzo su-miennie i jak widać z zestawienia zebrał właściwie wszystkie pozycje. Także i w tym wypadku brak charakterystyki jest poważnym brakiem. Autor zna także współczesną prasę bolszewicką z której czerpie bardzo wiele wiadomo-ści. Również i tu omówienie chociażby ogólne jest potrzebne. Żeby uzupełnić wszystkie zarzuty dodać należy częsty brak stron w odnośnikach oraz niepo-trzebne cytaty manifestów itp. w tekście.

Omawiana praca przynosi szereg wiadomości nowych. Zachodzić może pytanie, czy są one potrzebne w tak szczegółowej formie jak je autor zebrał. Niewątpliwie skondensowanie ich, uczyniło by pracę bardziej przejrzystą i bar-dziej żywą. Znajdują się w pracy wiadomości, które zainteresują wielu czy-telników jak np. garść uzupełnień o formacjach kom. polskich w Rosji czy o działalności P.O.W. w Wilnie i okolicy. Do ciekawych ustępów zaliczyć trze-ba genezę Rad delegatów robotniczych oraz walkę o władzę w Wilnie między komunistami a Niemcami o wydanie broni i władzy nad miastem, do tej ostat-niej walki przystąpili i Polacy którzy 28.XII wyraźnie demonstrowali przeciw powrotowi Rosjan pod jakąkolwiek formą.

Dzieje Samoobrony wileńskiej przedstawił autor na podstawie istniejącej literatury, przyczym szkoda, że nie zajął się ustaleniem liczbowym sił polskich. Daje wprawdzie na inny mmiejscu pewne dane liczbowe ale odnoszą się one

już do czasu, po krótkim epizodzie Samoobrony (5.I.1919) więc istotnego obrazu sił w dobie przygotowań nie dają.

Przeważną część pracy to opis życia i warunków pod bolszewikami ze wszystkimi przejawami eksperymentów nowych rządów i metod.

Nie mając możliwości całkowitej i pełnej kontroli, podnieść trzeba, że praca Waligóry jest sumienna. Być może styl autora, trochę ciężki i rozwlekły sprawia, że przeczytanie książki nie daje tak dodatniego wrażenia jak powinno z uwagi na szeroką skalę podanych wiadomości oraz faktów. Niewątpliwie też autor należy do najlepszych znawców dziejów wileńszczyzny w pierwszym okresie walk o Wilno.

J. S.

MALICKI JULIAN: Marszałek Piłsudski a sejm. Historia rozwoju parlamentu polskiego 1919—1936 z przedmową Antoniego Boguckiego b. wice-marszałka Senatu R. P. Warszawa 1936, str. V + 546 + 1 tablica.

W okazałej objętościowo książce chciał autor równocześnie, jak wskazuje tytuł poruszyć dwa tematy z których jeden jest już zamknięty, zaś drugi w takiej formie jak został ujęty, do traktowania historyczno-naukowego nie nadaje się. Niewątpliwie bowiem parlamentaryzm polski przeszedł na przełomie lat 1918—30 kryzys, którego proces rozwojowy zakończony jeszcze nie jest. Z pojętego bardzo obszernie tematu, nie mógł też autor wywiązać się zadowalniająco wskutek nawału kwestii pokrewnych, które same dla siebie wymagają osobnych studiów.

Autor nie jest historykiem, lecz dziennikarzem-publicystą i metoda jego pracy nosi wybitne piętno publicystyki. Z tego tytułu rzecz biorąc, sama książka nie podpada pod krytykę naukową, może raczej być traktowaną jako literatura polemiczna, co prawda w lepszym gatunku. Postać Józefa Piłsudskiego starał się autor ująć na tle jego walki z Sejmem, którą sprowadził na tory walki Narodowej Demokracji nie tylko zresztą na terenie sejmowym prowadzonej. Z takiego potraktowania tematu, wyłoniła się konieczność poruszania szeregu ogólnych rzeczy, nie związanych bezpośrednio z zagadnieniem, które stanowią akcesoria głównego rozważania. Temperament autora zmusił go do stałego niemal polemizowania ze stanowiskiem sejmu utożsamionego z Narodową Demokracją, po zamachu majowym 1926 r. rozszerzonym i na tzw. lewicę.

Niepotrzebnie przeładował autor książkę masą szczegółów, nie dających nic istotnego, jak też długimi cytatami. Źródłem dla autora były sprawozdania sejmowe i dzienniki, choć nigdzie nie wspomina na czym się opierał. Bardzo rażące są używane przez autora zwroty pod adresem posłów, które przy polemicznym stylu wartość książki obniżają. W ujęciu autora temat objął całość życia wewnętrznego Polski, co musiało odbić się na jakości pracy. Dążność do syntezy historycznej musi być poprzedzona szeregiem studiów analitycznych, jeżeli ma dać zrozumiałą i rzeczywisty obraz przeszłości.

J. S.

SCHAUB CONDAR JOACHIM: „Kämpfer für ihr Volk”. Berlin 1938. Str. 367.

Autor stara się w pięciu obrazach odtworzyć w wielkim skrócie, w najogólniejszych zarysach, dzieje (den Werdegang) pięciu najwybitniejszych mężów, przywódców narodów, którzy stali się symbolami doby obecnej. Auto-

rowi nie idzie o biografie samych bohaterów, ani o ich ewolucję osobistą. Celem jego jest nakreślenie etapów ciężkiej walki, uwieńczonej zwycięstwem, którą stoczyć musieli niejako już z góry predestynowani na wodzów swoich narodów — Benito Mussolini, gen. Franco, Marszałek Piłsudski, Mustafa Kemal-Pasza i Chiang Kaishek.

W korowodzie „Führerów” oddanych bez reszty sprawie swego narodu, brak dwóch nader charakterystycznych postaci tego typu: dyktatora Czerwonego Kremlu — Stalina i twórcy III Rzeszy Adolfa Hitlera. Pominiecie wodza bolszewizmu, będącego na indeksie III Rzeszy tłumaczy się samo przez się, zwłaszcza, jeżeli się weźmie pod uwagę, że autor książkę swą przeznaczył na użytek jak najszerszych mas, ma niewątpliwie propagandowo-wychowawcze aspiracje i pretenduje do roli totalnego Plutarcha.

Brak sylwety Hitlera na czołowym miejscu wyjaśnia autor na wstępie. Uważa bowiem, że sam w najdoskonalszej i najautentyczniejszej formie przedstawił etapy swej walki („Mein Kampf”), a obraz ten uzupełnili jego najbliżsi współpracownicy (Goebbels „Vom Kaiserhof zur Reichskanzlei” i szef prasowy Dietrich „Mit Hitler in die Macht”); nie czuje się tedy na siłach by jeszcze naświetlić „przebieg tych wielkich wydarzeń o ogólnie światowym znaczeniu”.

Jak wypadło ujęcie postaci Wielkiego Marszałka w reportażowym skrócie niemieckiego autora? Zadanie jego było tam trudniejsze, że działalność Budowniczego Polski nie tylko nie szła po linii interesów niemieckich ale wprost była w jawnym konflikcie z niemiecką racją stanu.

Autor na ogół wyszedł obronną ręką i starał się o możliwie obiektywne podejście do tematu. Sumiennie podkreślił jako rys najistotniejszy niezłomną wytrwałość, z jaką Piłsudski realizował swą myśl przewodnią odbudowy Polski Niepodległej. Autor korzystał z udostępnionych mu przekładem pism Wielkiego Marszałka i w usta osób działających wkłada jego własne słowa i myśli. Podaje autentyczne rozkazy i enuncjacje. Zapoznał się też z pracami Lipińskiego i Kadena.

Piłsudski w szkole — w domu rodzicielskim, wśród kolegów w Wilnie, następnie osądzony za działalność rewolucyjną, zesłany na Sybir, w buncie więźniów w Irkucku spiskujący przeciw caratowi. Za powrotem do kraju, aresztowany podczas drukowania „Robotnika” w Łodzi, osadzony w X-tym pawilonie. Umieszczony w szpitalu skąd udaje mu się uciec. Następnie misja w Japonii i wystąpienie na kongresie parti socjalistycznej we Wiedniu przeciw kosmopolitycznym uniwersalnym dążeniom swych towarzyszy — to szereg barwnych obrazów, które zapoznają niemieckiego czytelnika z dziejami Marszałka.

Z kampanii legionowej podaje autor tylko fascynującą przeprawę z pod Uliny Małej do Krakowa, której opis zaczerpnął niemal dosłownie z „Pierwszych bojów” Piłsudskiego. Odnośnie do dalszych wystąpień wojennych legionów zadowolili się wzmianką, że „polski Legion walczył w pierwszych szeregach sprzymierzonych państw centralnych. Z pierwotnych strzelców wytworzyła się z czasem mała, wartościowa armia polska”...

Z pobiciem Rosji i zajęciem Królestwa przez Niemcy wyłania się dla niemieckiego autora moment krytyczny. Trudniej mu zdobyć się na obiektywną ocenę działalności Piłsudskiego. Pisze tedy „Piłsudski zmierzał do stworzenia



* 010259

armii polskiej i za jej cenę miały Niemcy zagwarantować Niepod-
 'olski.... Ale Piłsudski przecenił siły, któreby mógł wydobyć z Polski...
 i Austria nie łatwo też byłyby skłonne spełnić wielkie polityczne ża-
 ńsudskiego za małą i nie zawsze dobrze wyszkoloną armię polską...
 wany, że plany jego nie znajdują uwzględnienia uczynił Piłsudski
 olityczny zwrot. Celem jego jedynym była niepodległość Polski: Choć
 wczoraj jeszcze był sprzymierzeńcem Niemiec i Austrii, choć wczoraj jeszcze
 myślą jego było stworzenie armii polskiej, dziś za pomocą tajnego rozkazu
 hamuje dopływ ochotników do Legionów, i żaden Polak się nie zgłasza....
 „Tworzy tajną wojskową organizację P.O.W. jako podstawę i trzon przyszłej
 armii narodowej”. A omawiając podanie o dymisję i pismo Piłsudskiego z 30.
 VI.1916 pisze w dalszym ciągu: „wreszcie zagrał Piłsudski w otwarte karty...
 Polskie żądania były w tej formie nie do przyjęcia, jednak w wielu punktach
 zgadzały się z planami państw centralnych... W sześć tygodni potem nastąpił
 akt 5 listopada 1916, którym mocarstwa centralne proklamowały Królestwo
 Polskie podległe wojskowemu zarządowi Niemiec... Piłsudski zostaje kierow-
 nikiem departamentu wojny Tymczasowej Rady Stanu. Niezadługo jednak
 „napięcie między Piłsudskim a władzami niemieckimi osiąga punkt kulmina-
 cyjny — sprzeciwia się on zaprzysiężeniu Legionów, P.O.W. poczyną działać
 wedle jego tajnych wskazówek... Legiony otrzymały nowe wytyczne do dal-
 szej walki... Przychodzi do otwartego konfliktu — następuje kryzys przysię-
 gowy, który doprowadza do zerwania”. Ażeby zachować nieodzowną dyscy-
 plinę, pisze Schaub „władze wojskowe niemieckie były zmuszone internować
 legionistów z Królestwa, i rozmieścić innych w armii austriackiej” a wreszcie
 osadzić Piłsudskiego w Magdeburgu.

Obszernie i wiernie opisany dzień 8 listopada, zwolnienie i wyjazd Piłsud-
 skiego z twierdzy magdeburgskiej, to obraz następny zakończony przyjazdem
 Piłsudskiego do Warszawy i objęciem władzy Naczelnika Państwa. Następny
 fragment to już rok 1920. Obrona Warszawy. Cud nad Wisłą. Przyznać na-
 leży, że autor w pełni podkreślił przodującą i decydującą rolę Wielkiego Mar-
 szałka. Z kolei przedstawia autor w bardzo ogólnym zarysie rok 1922, zamor-
 dowanie Narutowicza, zatargi Piłsudskiego z sejmem zakończone wycofaniem
 się zbolełego bohatera w zacisze domowe na okres trzyletni.

Opisem przewrotu majowego kończy autor sylwetę Twórcy Polski słó-
 wami „z tą chwilą rozpoczęła Polska dzisiejsza nowy odcinek swych dziejów,
 określony działaniem Marszałka Józefa Piłsudskiego”.

Książka Schaub'a należy do działu tak poczytnej obecnie beletrystyki hi-
 storycznej. Dla lepszej plastyki korzysta autor niejednokrotnie z licentia poe-
 tica (np. z Kanczera robi prowokatora, mającego zwabić w sidła Piłsudskiego,
 dramatyczna rozmowa Piłsudskiego z Dmowskim w Tokio itp.), ale trudno
 o te i inne niedociągnięcia mieć do niego pretensje. Liczył się z mentalnością
 swoich czytelników i starał się dla nich przede wszystkim dostosować lekturę.

Z. K.



ADRÈS REDAKCJI I ADMINISTRACJI

INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO, POSWIĘCONY
BADANIU NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

„NIEPODLEGŁOŚĆ“

WARSZAWA, AL. UJAZDOWSKIE 1.

Redakcji: 710-34
Administracji: 710-36

SKŁAD GŁÓWNY:

KSIĘGARNIA GEBETHNERA I WOLFFA.

WARUNKI NABYCIA I PRENUMERATY WRAZ Z KOSZTAMI
PRZESYŁKI, OBOWIĄZUJĄCE OD DN. 1 STYCZNIA 1938 R.

W kraju: rocznie (6 zeszytów)	Zł. 18.—
„ „ półrocznie (3 zeszyty)	„ 9.—
„ „ zeszyt w prenumeracie	„ 3.—
„ „ komplet od zesz. Nr. 1 do Nr. 44	„ 100.—
Za granicą: rocznie (6 zeszytów)	Zł. 24.—
„ „ półrocznie (3 zeszyty)	„ 12.—
„ „ zeszyt pojedynczy	„ 5.—

koszty polecenia — ponosi żądający.

Prenumeratę należy wpłacać na konto P. K. O. Nr. 3.306.

Cena księgarska zeszytu pojedynczego zł. 4.—.



II 29594/20/1939

NIEPODLEGŁOŚĆ

UKAZUJE SIĘ 6 RAZY ROCZNIE

1-go STYCZNIA, 1-go MARCA,

1-go MAJA, 1-go LIPCA,

1-go WRZEŚNIA, 1-go LISTOPADA

KAŻDY ZESZYT OBJĘTOŚCI 10-ciu ARKUSZY DRUKU Z ILUSTRACJAMI
TRZY ZESZYTY STANOWIĄ TOM

Zamieszczając materiały historyczne o charakterze osobistym, jak pamiętniki, wspomnienia, relacje i t. p., Redakcja NIEPODLEGŁOŚCI nie odpowiada za sposób przedstawiania faktów i ich oświetlenia przez autorów. Wszelkie uzupełnienia i sprostowania, ułatwiające wszechstronne wyjaśnienie sprawy i ustalenie obiektywnej prawdy historycznej, będą przyjęte z wdzięcznością.

NIEPODLEGŁOŚĆ poświęcona jest dziejom Polski epoki najnowszej, a w szczególności popowstaniowemu ruchowi niepodległościowemu i związanym z nim bezpośrednim lub pośrednim przejawom życia polskiego.

NIEPODLEGŁOŚĆ zamieszcza:

1. Rozprawy ogólne, syntetyczne, poświęcone okresom, epizodom, prądom ideowym, objawom społecznym, pracom organizacyjnym, walkom i osobistościom wybitnym tej doby.
2. Wspomnienia, wyjątki z pamiętników, korespondencję i t. p. działaczy tego okresu.
3. Relacje, materiały i dokumenty historyczne z komentarzami.
4. Sprawozdania z literatury, dotyczącej tej doby.
5. Ilustracje (portrety, facsimilia i t. p.).
6. Bibliografię książek, broszur, rozpraw i artykułów historycznych, odnoszących się do okresu 1865—1935.